

PIOTR POCHURO

DZIEWIĘĆ MILIMETRÓW DO NIEBA

Treść książki jest fikcją literacką
a wszelkie podobieństwo do osób lub wydarzeń
jest zupełnie przypadkowe

Wydawnicza JDI CIIJIC1

BYDGOSZCZ 2009

Redakcja i korekta Ewa Wedel-Maciejczak

Redakcja techniczna Czesław Rygielski

Redaktor prowadząca Monika Frąckowiak

Projekt okładki Piotr Grzanka

Copyright by Oficyna Wydawnicza BRANTA 2009

ISBN 978-83-61668-08-4

Oficyna Wydawnicza BRANTA - Rok założenia 1990 85-959 Bydgoszcz, ul Królowej
Jadwigi 18 tel./fax (052) 322 89 19, (052) 322 75 34 e-mail: oficyna@branta.com.pl

www.ksiegarnia.branta.com.pl

Wydanie I Ark. druk. 10,5.

Druk ukończono w czerwcu 2009 r. Skład i łamanie:

Scriptor DTP, Adam Korzus, tel. 509 811 817

www.scriptor-dtp.pl

Druk i oprawa:

Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL 88-100 Inowrocław, ul Cegielna 10/12 tel./fax
(052) 354 27 00 www.pozkal.com.pl

.Auto pędziło z rykiem silnika, rozpraszając grupki przechodniów. Siedzący za kierownicą młody mężczyzna wygolony na łyso, w sportowej bluzie z kapturem, był wyraźnie spanikowany. Gnał na oślep, zupełnie nie zważał na światła, po prostu pędził.

- Uważaj, Czaja, pozabijasz nas!

- Już jesteśmy martwi! Dopadną nas, dopadną! - wrzeszczał. Siedzący obok niego na fotelu wielki jak smok, ważący 150

kilo Kruszyna z rozmachem walnął Czaję otwartą dłonią w wygoloną czachę, aż plasnęło.

- Zamknij tę gębę, tchórze.

- Czego się czepiasz!

- Zwolnij kretynie.

- Bo co!

- Bo jajco, zwolnij, mówię!

- Odwal się, ja prowadzę.

- Zwolnij, fujaro, bo jak cię gwizdnę...

- Dobra, dobra - Czaja wyraźnie zmiękł widząc wzniesioną do ciosu pięść.

- Delikatnie jedź, z Kondziem niedobrze, a jak tak będziesz szalał, psy nas namierzą...

- Kondziu, no jak trzymasz się? - Kruszyna odwrócił się i badawczo spoglądał na trzeciego pasażera, leżącego bezwładnie na tylnym fotelu. Kondziu był kredowo blady, miał spierzchnięte usta. Prawą dłoń przyciskał do piersi, spod palców wolno ściekała ciemnoczerwona krew.

- Trzymam się - na wpół otworzył oczy i wyszeptał te dwa słowa. Na więcej nie miał już siły.

- Kondziu, nie umieraj, jesteś twardy, nie daj się - zaklinał go Kruszyna, jakby słowa mogły coś zmienić.
- Po cholere strzelałeś do gliniarzy, zwialibyśmy i bez tego - Czaja znowu wszedł na wysokie obroty.
- Bo ja lubię tylko zdechłe psy, kapujesz? I teraz, jeśli nas namierzą, to żywy się nie dam. Nie pójde pierdziec w pasiaki, kumasz?
- A mnie o zdanie nie spytasz? - Czaja spojrzal spode łba na wielkiego towarzysza. Kruszyna gwałtownym ruchem wyciągnął zza pasa pistolet, przyłożył Czai do skroni.
- Gównu mnie obchodzi twoje zdanie, gnojku. Masz robić to, co każe, gnido! Nie kombinuj. Jeśli tylko coś zrobisz nie tak, pierwszą kulą rozwalę ci łeb. Wybieraj, odpalę cię teraz, albo będziesz ze mną do końca! Wybieraj! - wrzeszczał tak, że aż kropelki śliny wylatywały mu z ust, opryskując Czaję.
- Dobra, czego się drzesz, w porządku.
- Wyciągnę nas z tego.
- Tak jak Szarama?
- Ty też tam byłeś !
- Ale to ty kazałeś nam zwiewać! - Czaja zdążył uchylić się przed pierwszym ciosem, dwa następne rozbiły mu nos.
- Masz szczęście, że prowadzisz, złamasie, bo bym cię zabił -Kruszyna znowu wrzeszczał.
- Szaram wiedział gdzie i po co jedzie. Stało się, jak się stało. Za dużo było psiarni wokół, musieliśmy wiać. Szaram ma giwerę, to sobie poradzi. A jak nie, to jego ból. Jak go wkitrają do celi, dostanie dobrą papugę, posmaruje się kogo trzeba i Szaramek wyjdzie. On jest git chłopak, nie złamie się. - Kruszyna uspokoił się.
- Czaja, skreć w tę przecznicę.
- Kondzio, daj swoją klamkę.

Kondzio ledwie widocznym ruchem głowy wskazał na prawy bok. Kruszyna sięgnął do tyłu, wymacał pistolet tkwiący za pasem Kondzia i zabrał go.

- Masz dowód osobisty, prawo jazdy, portfel? - przeczący ruch głowy Kondzia uspokoił Kruszyne. Szybko przemieścił się na tylny fotel, sprawnie obszukał kieszenie rannego, mruknął zadowolony, gdy niczego nie znalazł.

- Trzymaj się, Kondziu. Gęba na kłódkę. Jak coś piśniesz, to wiesz, co cię czeka. Jak przeżyjesz, Horko będzie o tobie pamiętał. Zatrzymaj wóz Czaja! - krzyknął Kruszyna, Czaja nie mówił nic. Zorientował się w planach kompana. W tej sytuacji to było jedyne rozsądne wyjście, być może Kondzio uratuje się. Ma przynajmniej szansę. Zatrzymali się przed bramą szpitala. Kruszyna otworzył drzwi i lekko wypchnął bezwładne ciało na wpół nieprzytomnego Kondzia na zewnątrz. Po czym Czaja dodał gazu i auto ruszyło z piskiem opon i zniknęło z oczu kilku przypadkowych gapiów za najbliższym zakretem.

Jak zwykle w takich chwilach, ktoś, gdzieś poruszył kamyczek, który spadając potraçał kolejne, coraz większe, aż wszystkie razem runęły lawiną gniotąc i miażdżąc wszystko po drodze. Lawina ruszyła. Przyjrzyjmy się temu zjawisku. Zobaczmy, kto ruszył pierwsze kamyczki. Ta powieść nie ma początku, nie ma końca. Pokazuje ludzi, których łączy wydarzenie. Kataklizm. Losy każdego z nich mogłyby stać się kanwą osobnej opowieści. Przyjrzyjmy się, jak powstaje lawina, najpierw mała, niewinnie i wolno opadająca, nagle przeradzająca się w zjawisko groźne i niszczycielskie. Po jej przejściu nic już nie jest takie same.

6

7

Rozdział 1

o godzinie 4 włączyło się radio i zaskrzeczało szumem źle zestrojonych fal. Chińskie badziewie ze stadionu, największego targowiska w Europie, pełnego śmieci i rupieci zwożonych tu z całego świata.

Karol otworzył oczy i odruchowo wyłączył skrzekulca. Używał go do budzenia się, bo w miarę łagodnie przywracał go do świata żywych z objęć Morfeusza. Radio nastawił sobie za moment w kuchni, aby nie budzić żony i dzieci. Inne dźwięki wydawane przez budziki, jak piszczenie, dzwonienie powodowały, że wyrывał się ze snu w panice, potrzebując kilku chwil by zrozumieć gdzie jest i dojsć do siebie. Dlatego używał radia jako budzika, choć nigdy na tym odbiorniku nie słuchał żadnej audycji. Nastawienie pokrętki na odbiór jakiejś stacji powodowało, że rano radio i tak szumiało. Miało swoje życie.

Przetarł oczy i z ociąganiem wstał z łóżka. Toaleta, coś na ząb i kawa, stawiająca na nogi.

Gdy wychodził z domu, szarzało, słońce szykowało się do codziennej wędrówki, ptaki świergotały, w sennej godzinie o świcie. Karol niechętnie człapał do swojego samochodu.

Odpalił silnik i wsłuchał się w jego miarową pracę.

- O tej porze normalni ludzie jeszcze śpią - pomyślał niechętnie - O rany, jak mi się nie chce - tłuć się po głowie. Po czym ruszył przed siebie w jaśniejący świt warszawskiego lipcowego poranka 1996 roku, jeszcze jeden świt z wielu, jakie już przeżył w swym 37-letnim życiu. Wraz z Karolem mniej więcej o tej samej porze ruszało ze swoich domów do tego samego szarego bu-

9

dynku Komendy Rejonowej w jednej z dzielnic Warszawy kilkunastu mężczyzn, aby o godzinie 5.30 ruszyć w miasto. Policjanci z I plutonu Kompanii Patrolowej Komendy Rejonowej. Zaczynał się dzień. Dzień jak co dzień. Budynek komendy tętnił własnym pulsem, nieregularnym, szarpanym niczym sen potępieńca. Przez cały czas, godzina za godziną, dzień za dniem, piątek, świątek, czy niedziela wyznaczał rytm życia ludzi z nim związanych. Jedni, jak policjanci z plutonu patrolowego dopiero go rozpoczynali. Inni właśnie wychodzili do domów, bo przez ostatnie 24 godziny byli zmuszeni do rycia w cudzych życiorysach. Jeszcze inni, czekali na przejściówce, aż jakiś konwój zabierze ich do nowego, otoczonego kratami życia. Siedzieli cisi i zrezygnowani, inni gniewni i krzykliwi - owoc pracy dnia poprzedniego. Gdy Karol dotarł do dusznej, ciasnej salki, w której upchano mnóstwo metalowych szafek ubraniowych zastał tam już parę osób. Usiłowali nie przeszkadzać sobie, ubierając mundury i oporządzenie. Krótkie powitania, banalne gadki o tym, co słyhać. Karol przebił się do swojej szafki. Starał się uniknąć ciosów przebierających się sąsiadów. Taka mała zaprawa poranna przed dniem, w którym wszyscy będą starali się cie zabić - pomyślał z przekąsem. Gdy wbił się już w mundur poszedł na górę, do sali odpraw. Starszy sierżant Karol Marak rusza do akcji.

Andrzej siedział już od dłuższej chwili w sali, popijając lur-kę z papierowego kubka, gdy dostrzegł Karola wchodzącego na salę. Lurka pochodziła z automatu ustawionego na korytarzu i tylko optymista zarządzający tym szmelcem mógł nazwać ją kawą. A może to jest tak zwany chwyt marketingowy? W każdym razie picie tego czegoś było rytuałem Andrzeja przed każdą służbą. Patrzył na Karola, który sunął dostojnie na koniec pomieszczenia, gdzie znajdowała się oblażona płatami starych farb szafa pancerna. Przed odprawą dowódca plutonu, stary, poczciwy Noi przynosił z magazynu od oficera dyżurnego ich broń i notatniki. Andrzej swoją pukawkę miał już w kaburze i rozpisyswał notatnik. Andrzej obserwował, jak Karol zanurza się

w czeluściach szafy, aby po chwili trzymając w ręku swoje ulubione P-83 rozejrzeć się po sali. Kiwnęli sobie głowami i Karol powoli zaczął przeciskać się ku Andrzejowi. Odkąd Andrzej znalazł się w Kompanii, w patrolu jeździł najczęściej z Karolem. Spędzali długie, dwunastogodzinne służby razem, przemierzając ulice miasta w starym „stutysięczniku” marki Polonez udającym, że jest radiowozem. „Stutysięcznikami” nazywali samochody, które

przejechały ponad sto tysięcy kilometrów. Co prawda, każdy z kierowców odprawiał swoje „czary” nad licznikami tych pojazdów, chcąc jakoś uniknąć płacenia z własnej kieszeni za „przepały”. Jeśli samochód palił więcej benzyny niż przewidziany limit, kierowca musiał pokryć różnicę z własnej kieszeni. W zależności od pory roku, wieku i stanu samochodu paliły różną ilość benzyny, najczęściej przekraczając odgórne limity. Z tego powodu kierowcy, czynili „czary” nad licznikami, wychodząc na swoje, a nawet czasami więcej niż swoje. Pomimo, że pojazdy zużywały paliwa ponad normy w papierach nic takiego nie wykazywano. Kierowcy i urzędnicy byli szczęśliwi. A w szczególności autorzy tych wspaniałych pomysłów limitujących benzynę w pojazdach służbowych nie baczący na charakter służby, pogodę i stan techniczny. Dzięki temu, że było dobrze, mogli w kolejnych raportach wykazać swoim przełożonym, zasuszonym logistykom z wydziału transportu, że wszystko gra i radośnie pogrążyć się w dalszej twórczości wymyślając limity na nożyczki dla pracowników pionu dochodzeniowego i wiele, wiele innych, oczywiście biorąc sowite premie od komendanta za wkład i zaangażowanie. Andrzej i Karol niewiele te sprawy obchodziły. Traktowali te dziwne zarządzenia jak dopust boży, na który nie ma się wpływu, tak jak rolnik nie ma wpływu na gradobicie i trąbę powietrzną. Trzeba przetrwać i już.

Andrzej zdążył przez ten czas polubić spokojnego i wyważonego Karola. Spędzali ze sobą wiele czasu podczas służby, w czasie wolnym niejedną flaszkę razem wypili. Andrzej był pełen chęci do czynu, wołał gdy obywatel stawiał czynny opór. A Karol lubił perswadować, ku utrapieniu Andrzeja. Potrafił tak zagadać, że agresywni młodzieńcy po wylegitymowaniu rozchodzili się do domów z uśmiechem na ustach, wyrzucając puszki

10

11

po piwie do kosza. Karol mawiał wtedy do Andrzeja sakramentalne słowa: napisz w notatniku, że zostali pouczeni. Następnie przez stacje meldował radiooperatorowi zakończenie interwencji: Pouczyłem i nadałem kierunek do domu.

Karol już się przez swoje 15 lat służby naszarpał i cenił sobie wygodę. Zawsze powtarzał Andrzejowi: służba jest zakończona sukcesem wtedy, jeśli w twoim rejonie panował spokój, a ty cało wróciłeś do domu, młody. A Andrzej cierpiał. On uwielbiał się szarpać. Uwielbiał akcje, gdy z bronią w ręku wrzeszczał - Na ziemię! Policja! A to się działo tak rzadko. A szczególnie z Karolem, który starannie unikał kłopotów. Ciężkie jest życie młodego, ale w głębi ducha przyznawał Karolowi rację. Andrzej cenił go i podziwiał za spokój, opanowanie i pewną zimną i wyrachowaną bezwzględność, zdaniem Andrzeja graniczącą z okrucieństwem. Andrzej w chwilach zagrożenia unosił się, czuł przyływ adrenaliny, z emocji drżały mu ręce i nogi. Karol zawsze był w takich chwilach po prostu zimny. I robił tylko to, co niezbędne. Andrzej wielokrotnie łapał się na myśli, że nie chciałby kiedykolwiek stanąć w walce przeciw Karolowi.

Wzdrygnął się mimowolnie, przypominając sobie noc sprzed kilku miesięcy. Pamiętał jak z Karolem gonili bandziora, a ten zagoniony w ślepią uliczkę obrócił się nagle i nożem zaatakował Andrzeja. Stanął wtedy sparaliżowany, tępo wpatrywał się w ostrze, godzące w jego brzuch. Karol nie tylko obezwładnił tamtego, ale zrobił coś, czego Andrzej nigdy nie zapomni. Karol zrobił to bez emocji, z wyrachowaniem. Było potem trochę smrodu, inspektorat Komendy Stołecznej Policji wezwał Andrzeja na długą rozmowę. Położyli przed nim czystą kartkę i powiedzieli, że jak napisze jak było naprawdę, to jemu, Andrzejowi pozwolą zwolnić się na własną prośbę i nie będzie miał sprawy. Mówili, że chodzi im o ukaranie takich drani w mundurach, jak Karol. Bo szeregi policji muszą być czyste, jak łąza. Andrzej przyjrzał się ich gładko wygolonym twarzom, a potem wyszedł trzaskając drzwiami. Prokurator coś tam przeczuwał, toczyło się wewnętrzne postępowanie. Przez to wszystko sierżant Noi chodził dwa tygodnie błądzący, mówił do Karola - No i, no i dograłeś się Karol. - Heniu, o co ci chodzi - pytał Karol z błyskiem rozbawienia w oku.

- Mówię, ci Karol, to się kiedyś dla ciebie źle skończy. No i, no i zobaczysz. Ja ci nic, do jasnej Aniela, nie pomogę. Rozumiesz. No i, no i będzie klops.

- Heniek, do diabła, przecież ja z młodym dopadliśmy bandziora. Klient na naszych oczach skopał dzieciaka, sam wiesz jak ten chłopak potem wyglądał, do dziś leży szpitalu, a my po prostu dogoniliśmy go - mówił spokojnie i rzeczowo. Sierżant Noi nerwowo podskakiwał na krześle za swoim biurkiem, opierał łokcie o blat, a dłońmi gładził się po łysinie zaczesując wymaginowaną czuprynę,

- Czy to moja wina, że gość, zamiast po ludzku nam się poddać, wyciągnął nóż wielkości miecza samurajskiego i chciał nam flaki powymyć? - Karol mówił coraz głośniejszym głosem - To co, mieliśmy go puścić, po główce pogłaskać? - Karol stał opierając się o biurko, nachylony górną połową ciała, swoją twarz przysunął bardzo blisko twarzy Noiego, patrząc mu ciężko w oczy. Noi widać było jak bije się z myślami, nie wiedząc, co powiedzieć. Stary, poczciwy Noi nie był gejerem intelektu.

- Karol, ty dobrze wiesz, o czym mówię - Noi machał wskazującym palcem. Ja cię znam. Ja cię bardzo dobrze znam. No i, no i lubię cię, ale komendant kazał Sosnowskiemu, jako dowódcy tej kompanii osobiście nadzorować postępowanie wyjaśniające. Prokurator przesłuchał tego waszego bandytę, no i, no i powiedział, że nie będzie tolerował gangsterów w mundurach! No i, no i co ja mam zrobić, no? No muszę to cholerne postępowanie wszczać. Ci z inspektoratu wylażą wprost ze skóry, aby coś znaleźć. No i, no i doigrałeś się!

- Heniek, przestań płakać. Jakie postępowanie? Jaki prokurator? - Karol podszedł do okna kanciapki, która służyła za gabinet dowódcy plutonów i kompanii aktualnie pełniących służbę na dzielnicy. Odsunął szarą firankę, która dziesięć lat temu, gdy ją wieszano po ostatnim praniu, pewnie była biała. Andrzej stał błądzący w kącie salki, patrzył na rozmawiających mężczyzn.

To wszystko się dzieje? - myślał - To chyba jakiś film.

12

23

Pamiętał opuchniętą, zmasakrowaną i zapłakaną twarz okradzionego chłopca, czekał z nim na przyjazd pogotowia, chłopak cały był umazany we własnej krwi i smarkach. Pytał - Dlaczego on mi to zrobił, dlaczego? Przecież oddałem mu portfel i plecak. Dlaczego? - Andrzej nie umiał znaleźć na to pytanie rozsądnej odpowiedzi. Wiedział jednak, że przestało go gryźć sumienie za to, co zrobił Karol napastnikowi. Wtedy, gdy go powalił na ziemię. Wystarczyło założyć kajdanki. Zapamiętał do końca życia wyraz oczu tamtego, złapanego przez nich. Najpierw były to oczy dzikiego zwierza, pragnącego kąsać i gryźć. Nad nim stojący Karol trzymający rękę napastnika w fachowym chwycie. I nagle to spojrzenie. Andrzej stał tak, że widział twarze Karola i tego drugiego.

Grzegorza S. jak się później okazało. Oczy Karola nagle stały się bardzo zimne. Wtedy u Andrzeja pojawiło się przeczucie, że Karol nie jest wcale takim miłym misiem, za którego go miał. W ułamku sekundy oczy Grzegorza S. zmieniły swój wyraz z dzikich w zdziwione. Gdy Grzegorz S. po kilku minutach odzyskał przytomność, jego twarz i oczy wyrażały tylko i wyłącznie paniczny strach. Przeczucie Andrzeja, co do Karola zmieniło się w pewność. To nie jest prawda - Rozpaczliwie starał się zakłąć rzeczywistość - To się wcale nie dzieje, mnie tu nie ma! Wtedy Andrzej kipiał nienawiścią do tego bandziora i jeszcze większą do Karola. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, popłakać się, wyrzygać, czy pobić swojego sierżanta. Potem znalazł się przy tym napadniętym. Wezwał przez stację pogotowia. W tym momencie Andrzej zrozumiał, że już nigdy nie będzie grzecznym chłopcem chcącym zbawiać świat. Zrozumiał to, o czym w pierwszym dniu służby mówił Karol. Zrozumiał, że nastąpił moment, od którego nie ma odwrotu. Aby zwalczać zło, czasami trzeba być bardziej złym, niż ci, których się zwalcza. Zrozumiał i pogodził się z tym.

- Drogi Heniu, pomyśl tylko - głos Karola brzmiał słodko niczym miód - Grzesio S. ulubieniec całego osiedla, notowany już za rozboje, latał popierdzieleniec z tym majchrem, na flaszkę zbierał jak mu zbrakło. Dwa razy prokurator umorzył przeciw niemu sprawę, a cała reszta osiedla dała sobie spokój ze skargami na niego. Karolek, stary cwaniaczek zdążył przedwczoraj na wolnym „zrobić flaszkę” ze swoim kumplem z kryminalnego, dzięki temu już wszystko wiedział.

- Dlatego ten to właśnie wzorowy obywatel, dziecię bite w dzieciństwie przez rodziców alkoholików, prześladowany w szkole przez nauczycieli, odrzucany przez koleżanki na potańcówkach, jednym słowem biedny, nieszczęśliwy, pokrzywdzony przez los człowiek postanawia nagle kupić bochenek chleba, bo od dwóch dni nic nie je. A w nowiutkich butach adidasa popyla. Poprosił przechodzącego nieopodal 12-letniego Krzysia o drobną pożyczkę. Odmowa tego rozwydrzonego malca tak go zezłościła, że po prostu wziął sobie sam. Dlatego że nerwy mu puściły, wziął też plecak z walkmanem, kluczami do mieszkania i paroma drobiazgami. A ten smarkacz Krzysio zamiast z ochotą wspomóc Grzesia jeszcze stawiał opór - coraz śmiej ironizował Karol, dając upust swoim oratorskim fantazjom - rzeczywiście, ma komu dawać wiarę pan prokurator. Bandyci w mundurach, też coś - prychnął - prawda jest taka, Heniu, że Grzegorz S. dokonał rozboju, a następnie stawiał czynny opór dokonując czynnego zamachu przy użyciu niebezpiecznego narzędzia w postaci noża na życie interweniujących policjantów. Dzięki postawie interweniujących funkcjonariuszy, został obezwładniony za pomocą chwytów policyjnych w wyniku czego doznał uszczerbku na zdrowiu w postaci otwartego złamania z przemieszczeniem prawej kończyny górnej - wszystko to Karol mówił na jednym wydechu, z błazeńsko triumfalnym wyrazem twarzy - w stawie łokciowym, Heniu - Karol uśmiechał się błogo - już nie będzie mógł, popapraniec machać kozikami.

Sierżant Noi wodził wzrokiem za przechadzającym się w rytm swoich słów Karolem, na twarzy zagościł mu aprobujący uśmieszek, gdy Karol parodiował napuszony, urzędowy styl z notatek, protokołów i sprawozdań, styl prokuratorów, sędziów i innych pismaków, którymi Henio zwany pieścizotliwie Noim, szczerze gardził. Uważał, że są to ludzie, jego zdaniem, oderwani od życia na ulicy. Życia, które znał i rozumiał i któremu poświęcił kiedyś, dawno temu swoje.

- Dlatego drogi Heniu - tu Karol ponownie nachylił się nad Noim, patrząc mu głęboko w oczy jak kochankowie patrzą sobie

14

15

przed spełnieniem - Ty nie wszczynaj żadnego postępowania, tylko pisz do komendanta wniosek o nagrody dla nas.

Uśmiech natychmiast odpłynął z twarzy Henia, zerwał się ze swojego krzeselka nagle poczerwieniały na twarzy zaczął wrzeszczeć - No i, no i, ja ci dam nagrodę, ja ci dam nagrodę! Dobrze wiem, co z ciebie za ziółko! Ty się jeszcze doigrasz, won w rejon - Głos Noiego wibrował na wysokich tonach - dobraliście jak w korcu maku, ty i ten twój załogant - Noi łypnął gniewnie na Andrzeja, stojącego w kącie i starającego się być niewidzialnym.

- Heniek, przecież to ty dałeś mi go do załogi - wtrącił Karol.

- Won, powiedziałem, bo nogi z dupy powyrywam! - pieklił się Noi - Karol, nie mydl mi oczu, znamy się jak łyse konie - Noi powiedział to bardzo spokojnie. Noi faktycznie znał Karola, jeździł z nim w załodze przez pięć lat, zanim został dowódcą plutonu.

- Heniu, ta prawda, co na papierze, to dobra prawda. Sam wiesz - powiedział Karol, wziął w rękę czapkę i skierował się do wyjścia - Sam wiesz, że dla takich bydlaków nie można mieć litości, Grzesio za miesiąc wyjdzie na wolność z aresztu, bo się okaże, że jest chory, albo

mamusię ma w szpitalu, na sprawę będzie czekał sześć lat na wolności, aż ktoś sobie o nim przypomni. Wiesz, Heniu, jak będzie.

Henio stał, przy tym samym oknie, co Karol przed chwilą patrząc na przejeżdżające samochody, ludzi, na zaparkowane pod komendą radiowozy. Henio zwany Noim wiedział, cholernie dobrze wiedział, że jest tak, jak mówi Karol. I to go właśnie wkurzało. Jeszcze bardziej był zły, gdy uświadamiał sobie, że nie chce znać innej prawdy, niż ta opisana w notatce Karola. Bo to była dobra prawda. Każdy gliniarz w tym kraju powiedziałby mu to samo. Noi wiedział, że policjanci szarpia się z lujami dzień w dzień, a potem byle łachmyta machnie skargę i robi problem. Byle pismak obsmaruje go w gazecie, a prokurator zawlecze przed sąd. Z Grzesiami tego świata prokuratorzy i sędziowie cackają się jak ze zgniłym jajem, a jak się trafi policjant, to jest gratka. Media piszą, społeczeństwo się obrusza, można łatwo zdobyć prestiż i uznanie. A to wszystko nie narażając swojego tyłka, będąc zabarykadowanym w twierdzach swych biur z dala od brudnego życia ulicy.

- Czas już mi chyba na emeryturę - myślał zgnębiony Noi. Karol z Andrzejem zamknęli za sobą drzwi, zostawiając go ze swoimi myślami. Zrobili dwa kroki, a Karol, coś sobie przypomniawszy zawrócił. Przez wpół uchylone drzwi wsadził głowę do sali odpraw z wciąż gniewnym Noim.

- Heniu, mogliśmy zastrzelić drania, zgodnie z prawem. Dopiero miałbyś ból zęba, co? - Karol szybko cofnął głowę gwałtownym ruchem zamykając drzwi, o które coś z hukiem rozbiło się z drugiej strony. Wrzaski i przekleństwa Noiego dobiegały ich jeszcze piętro niżej, gdy biegli śmiejąc się do radiowozu.

Andrzej przekonał się później, że tego typu starcia pomiędzy Noim a Karolem, należały do ich stałego repertuaru. Półtora miesiąca później wewnętrzne postępowanie zostało zakończone, prokuratura, pomimo usilnych starań musiała umorzyć czynności przeciwko policjantom z braku dowodów winy. Społeczeństwo nie dopisało, przejawiając dziwną niechęć do współpracy z urzędem prokuratorskim. Od tego czasu Andrzej był gotów szarżować nawet na kompanię czołgów. Więcej już nie przytrafił mu się taki paraliż, jak wtedy, z Grzegorzem S. Podczas ich pierwszej służby, gdy wsiadł do radiowozu jeszcze jako „trzeci,” czyli douczający się członek załogi, Karol powiedział mu słowa, które mocno zapadły mu w pamięć.

- Pamiętaj - mówił - tu, w policji będziesz robił różne rzeczy. Będziesz musiał kogoś uderzyć, zabrać z domu przy płaczącej matce, a może nawet zastrzelić. Jeśli nie jesteś na to gotów, to masz czas, wycofaj się, zrezygnuj ze służby. Bo tu nie ma żartów. Być może staniesz przed wyborem, albo ty, albo on. Na podjęcie decyzji będziesz miał tylko tyle czasu, ile na mrugnięcie okiem. A potem może być tak, że będą cię osądzać ludzie, którzy mają mnóstwo czasu. Oni siedzą za biurkiem, mają papiery przed sobą i czytają je na tysiąc sposobów. Oni mają miesiące, ty miałeś ułamki sekund. Powiedzą ci, że można było tak, albo jeszcze inaczej. Być może nawet za to, że udało się przeżyć tobie, a nie temu drugiemu, staniesz przed sądem. Wtedy marny twój los. Dla sądu jesteś tylko gorszym gatunkiem człowieka. Jesteś psem, policjantem. Dla nich policjant to nic innego, tylko noszący mundur bandyta, który dzięki cwaniactwu unika sprawiedliwości. Jak wpad-

16

17

niesz w ich łapy, to po tobie. Ale cokolwiek zrobisz, nie wolno ci tego żałować, rozumiesz? Zrobiłeś, stało się, czasu nie wrócisz - Karol wyrzucał słowa z goryczą.

- Dlaczego więc pan, sierżancie jeszcze tutaj jest? - Andrzej z ciekawością patrzył na Karola. Ten odwrócił się twarzą do niego i popatrzył w oczy. Miał dziwne, twarde i zmęczone spojrzenie. Silnie kontrastowało z dobroduszną twarzą tego człowieka. Tak jakby za kolorową zasłoną skrywał się mrok. Andrzej nie wytrzymał tego wzroku, spuścił oczy w dół. Karol uśmiechnął się, nieznacznie podnosząc kąćki ust.

- Sam się nad tym zastanawiam, młody - odparł i ponownie spojrzął przed siebie. - Jedziemy zwalczać patologię społeczną, młody - powiedział - a wiesz, co to patologia społeczna? - ponownie odwrócił się przez ramię, rzucając szybkie spojrzenie na Andrzeja. Siedzący obok Karola Śliwa, w owym czasie załogant Karola również odwrócił się z uśmiechem. Skubany szczerzył zęby, najwyraźniej on już znał tę definicję. Andrzej bał się wyjść na idiotę, był w ogóle zdenerwowany tym pierwszym patrolem. Świeżo odbyta zasadnicza służba w koszarach oddziałów prewencji wpoila mu podstawowe zasady musztry przejawiające się między innymi tym, że do starszych stopniem mówiło się „tak jest”, niezależnie od tego, co oni mówią. Tu była sytuacja inna, która peszyła Andrzeja. Czuł, że cokolwiek powie, to się wygłupi. Wrzasnął więc dziarsko - Nie panie sierżancie! - o mało nie robiąc przy tym dziury w suficie radiowozu, chcąc przepisowo poderwać się na baczność.

- Patologia społeczna, mój drogi - ciągnął Karol nie odrywając wzroku od jezdni i prowadząc samochód - jest to wszystko to, co nas otacza za szybami tego radiowozu - przerwał na chwilę, rozglądając się na boki i szybko kręcąc kierownicą, pokonując zakręt. Po czym dodał melancholijnie - oprócz naszych żon, matek i kochanek. A tak w ogóle, to mam na imię Karol.

To było zaledwie pół roku temu, a Andrzejowi wydawało się, że minęły całe wieki. Siedzieli teraz w dusznej sali, wciśnięci w krzeselka za obdrapanymi stoliczkami. Wokół nich na takich samych krzeselkach siadali inni mężczyźni, niektórzy z parującymi kubeczkami kawy.

Panował gwar i śmiech. Przerzucali się

żartami i docinkami, jak uczniowie na przerwie. Pomimo szorstkości i często niewybrednych żarcików, których sobie nie skąpiono, widać było, że ci ludzie się lubią. Za moment wyruszą na wzburzone oceany ulic swego miasta, na swych rozklekotanych okrętach. Panowało między nimi poczucie wspólnoty i świadomości, że przez najbliższe dwanaście godzin będą zdani wyłącznie na siebie. Wśród salw śmiechu i gwaru rozmów czekali na odprawę.

Sierżant Noi, dotąd siedzący za swoim biurkiem za stołem różnych ważnych ksiąg, które mozolnie wypełniał przed rozpoczęciem i po zakończeniu każdej służby łypnął znad okularów wiszących na czubku nosa na zegarek. Czekał na dowódcę kompanii z rozpoczęciem celebry odprawowej.

- Heniek ! - ktoś krzyknął z sali - lotnik, kryj się ! - Noi, jak zwykle, nie zdążył skryć się i papierowy samolotek tradycyjnie puknął go w łysinę.

-Jak dzieci, zupełnie jak dzieci - gderał Noi, ponownie zagłębiając się w papiery - tylko dziwki i wódka im w głowie -mruczał, zasłaniając się przed rozbrykaną salą starym kawałem z brodą. Sierżant sztabowy Henryk Kowalczyk, zwany potocznie przez swoich podwładnych Noim, służył w tej formacji od dwudziestu lat. Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej wstąpił do Milicji Obywatelskiej, przemianowanej w 1991 r. na Policję. Przez całe swoje życie patrolował ulice, zbierając pijaczków, robiąc porządki na melinach, godząc zwaśnionych małżonków i masowo dostarczając do „cioci Kolskiej” - warszawskiej izby wytrzeźwień przy ulicy Kolskiej zwanej również najdroższym hotelem nietrzeźwych mieszkańców stolicy.

Nie zrobił kariery, nigdy mu zanadto na tym nie zależało, lubił to, co robił. Na ulicy życie było proste. Albo to, albo tamto. A jak nie, to pałą w łeb i człowiek nie komplikował sobie życia zbędnymi papierami. Wróg był wrogiem a swój swoim. Noi święcie wierzył, że jak lump dostał pałą po grzbiecie, to został należycie pouczony o niewłaściwości swych dotychczasowych

18

19

występków. Po co zawracać sobie głowę jakimiś aresztami, potem tylko kłopot z pisaniną i tymi wszystkimi badaczami pisma świętego, karmiących się tonami protokołów i notatek. I co to zmieni: lump jest lumpem, wie, że jak przeszkrobał a pan wła-dza go przydybał, swoje na

grzbiet musi przyjąć. I lumpy i Noi przestrzegali tego niepisanego regulaminu. Starzeli się przez lata, u \ cierając te same bruki i darząc się nawzajem pewnym rodzajem szacunku. Gdy Noi wstępował do milicji, młody byczek po krakowskich czerwonych beretach, przełożeni naciskali, by wstąpił do PZPR, jedynej wiodącej i słusznej siły. Jakoś udało mu się od tego wymigać. Popularności wśród zwierzchników nie przysporzył mu fakt, że wziął ślub kościelny a potem dzieci dawał do chrztu. Nawet nachodzili go jacyś smutni panowie, pogadanki urządzali o jego niewzorowej i niesocjalistycznej postawie. Ale w końcu dali mu spokój. Czasami Noi łapał się na myśli, że tęskni za tymi dawnymi czasami, gdzie życie było prostsze. Teraz, za demokracji wszystko się pokomplikowało.

- Co to za czasy, że do policjantów się strzela - nie mógł tego zrozumieć - on jak wchodził na rejon, to nawet ptaki przestawały ćwierkać i stawały na baczność. Jak w knajpie zachlął, menele zbierali ich „pana władzuchnę” i dostarczali pod drzwi komendy, wraz z oporządzeniem i czapką służbową. To było proste: złodziej jest po to, by kraść. Władza jest po to, by był porządek. Jeśli się szanujesz nawzajem, to jest git i wszystko gra. A teraz, wszystko się zmieniło. Dawne lumpy i dawni milicjanci ze swoimi kodeksami i zasadami wymierali, jak kiedyś wymarły dinozaury. Pozostały jeszcze gdzieś żywe skamieliny. Pozostał jeszcze Henryk Kowalczyk zwany Noim. Ale i on szykował się do emerytury, jak bociany szykują się do odlotu pod koniec lata. Dlatego jakiś rok temu przyjął propozycję objęcia posady dowódcy plutonu. Zawsze to parę groszy do emerytury więcej. Dowodził ludźmi, z którymi jeździł jako zwykły policjant i których niejednokrotnie uczył roboty. Stary, poczciwy Noi był lubiany przez swoich podwładnych, ale wielkiego posłuchu u nich nie miał.
* *

Otworzyły się drzwi sali, energicznie pchnięte z drugiej strony. Przeciąg zawirował kartkami w księgach Noiego.

- Całość baczność! - huknął, podrywając swoje duże i ciężkie siedzenie z krzesła. Zaszurało i zazgrzytało w salce hurgo-tem odsuwanych krzeseł, wszystkie oczy zwróciły się na drzwi, którymi majestatycznie wkroczył komisarz Sosnowski. Szczupły, młody w idealnie przylegającym wyjściowym mundurze, z gładko wygolonymi policzkami i twarzą wyrażającą troskę i namaszczenie, stanął w połowie szerokości sali. Za nim wsunął się młodzieniec okutany w połowy uniform, wiszący na nim jak ciuchy stracha na wróble. Zza szkieł okularów spozierały modre oczęta, lustrujące z ciekawością obecnych na sali. Noi wygramolił się zza biurka, zrobił regulaminowy krok naprzód. Stanął w postawie zasadniczej, na baczność i gromkim głosem składał meldunek.

- Panie komisarzu. Starszy sierżant sztabowy Henryk Kowalczyk melduje I pluton na odprawie przed służbą - rozpoczęły się rytualne jasełka, zwane odprawą.

- Dajcie spocznij - Sosnowski przyjął pozę amerykańskiego żołnierza podpatrzoną w filmach, stając w lekkim rozkroku a ręce zaplatając z tyłu.

- Spocznij, proszę siadać! - zagrzmiał Henio. Sala ponownie zaskrzypiała szuranymi krzeselkami.

- Witam wszystkich obecnych, cieszę się, że wszyscy zdrowi - komisarz Sosnowski przemawiał starannie wymodulowanym głosem. Komisarz Sosnowski miał wszystko starannie wymodu-lowane i wymodelowane. Staranną fryzurkę, starannie zaczesaną na boczek, starannie wyprasowany mundur, ze starannie wyprasowanymi w kant spodniami. Starannie modelował też swą karierę.

- Na wstępie pragnę przedstawić wam naszego nowego kolegę - nieznacznym ruchem ręki wskazał na przybyłego z nim mężczyznę - posterunkowego Rafała Wolejskiego - Wolejski skinął nieznacznie głową.

- Znamy się z Rafałem od dłuższego czasu, po ukończeniu przez niego studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim osobiście namówiłem go, by wstąpił do policji. Potrzeba nam młodych, wykształconych ludzi, którzy zmienią obraz naszej

20

21

formacji w oczach społeczeństwa - ciągnął Sosnowski, delektując się brzmieniem swego głosu. Komisarz wstąpił do policji pięć lat temu. Dzięki rodzinno-towarzyskim układom od razu wylądował w Wyższej Szkole Policynnej w Szczytnie. Po czterech latach studiów na tej szacownej uczelni uzyskał stopień podkomisarza. Dzięki niemu, z marszu objął dowództwo kompanii patrolowej, a jak wieść gminna niosła szykował mu się awans do Komendy Stołecznej. Komisarz Sosnowski był z siebie dumny. Z czystym sumieniem złożył wniosek na wcześniejszy awans dla siebie i teraz majestatycznie obnosił się z dystynkcjami komisarza. Spokoju jego sumienia nie obciążał fakt, że nie sporządził wniosków o premie dla podległych sobie ludzi, których zasługami tak chętnie się chwalił.

- Postawa tego młodego człowieka jest godna szczególnej pochwały w czasach zaniku postaw prospołecznych i pogoni za własnym sukcesem. Ten młody człowiek ze swoim wykształceniem i kwalifikacjami mógł znaleźć dobrze płatną pracę w prywatnej firmie, ale wybrał zaszczytną służbę w policji. - Kilkanaście par oczu zawisło na nadziei polskiej policji, która z uwagą śledziła akrobatyczne wyczyny czterech much latających wokół żyrandola. Patrzył na niego starszy posterunkowy Krzysztof Kruzel, dwa lata temu wyciągnięty przez kolegów z płonącego radiowozu gdy pościg zakończył się na latarni. Jego ówczesny partner sierżant Paweł Dyluk na zawsze pożegnał się tamtego dnia ze służbą, zbyt ciężko poparzony i połamany. Patrzył z ciekawością starszy sierżant Kazimierz Grędkowski. W zeszłym roku jego załoga dogoniła skradzionego opla, szczęśliwie omijając latarnie i inne drogowe przeszkody. Uciekający dalej pieszo złodzieje ostrzelali goniących ich policjantów. Jedna z kul odwiedziła po drodze okolice wątroby Grędkowskiego, nie czyniąc szczęśliwie większej szkody. Przeleciawszy w pobliżu tego ważnego organu zakończyła swój lot w sztachecie pobliskiego płotu ogradzającą posesję. Patrzył starszy posterunkowy Olaf Starecki, który dwa miesiące temu próbował nieskutecznie namówić do zejścia z dachu pewnego desperata. Desperat zszedł z dziesięciopiętrowego wieżowca bez użycia schodów i wind. Olaf stał bezradny

na dachu, gryząc się, że być może powiedział coś za dużo, lub za mało, analizując wciąż na nowo widok znikającej za krawędzią sylwetki i zastanawiając się, co jeszcze mógł zrobić. Patrzyli wszyscy, wiedząc, że są nawozem pod obfity plon karier Sosnowskich i jemu podobnych.

- Mam nadzieję, że przyjmiecie tego młodego człowieka pod swoją opiekę - kończył wywód Sosnowski. - Na zakończenie, zanim przejdziemy do wydarzeń bieżących, pragnę zwrócić uwagę na kwestie dyscyplinarne - Sosnowski, z rękami zaplecionymi z tyłu, bujał się w rytm swoich słów wspinając się na palce i opadając na pięty. - Przypominam o schludnym wyglądzie podczas służby, nadal obowiązuje zasada, że załoga wyjeżdża w jednolitym umundurowaniu. Nie może być tak, że „lewy” jest w niebieskiej koszuli, a „prawy” w czarnym kombinezonie - snuł wątek Sosnowski, posługując się specyficznym językiem jeżdżących radiowozami policjantów. „Lewym” nazywano kierowcę, a „prawym” osobę siedzącą obok. Sosnowski uważał, że używając ich języka jest jednym z nich. - Chcę też przypomnieć szanownym panom policjantom o konieczności pilnowania waszych legitymacji służbowych. Zdajecie sobie sprawę, że jest to bardzo ważny dokument. Niektórzy z was nie przywiązują do tego zbytnej wagi - uśmiechnął się ironicznie, tylko jedną połową ust. - Znów musiałem wszcząć z tego powodu postępowanie dyscyplinarne w III plutonie. Będzie kara - twarde rzekł Sosnowski - Panie Rutan, proszę się nie uśmiechać głupkowato, naprawdę. Pan doskonale powinien wiedzieć, o czym mówię. Czterokrotnie zgubił pan swoją legitymację, czterokrotnie został pan przeze mnie ukarany dyscyplinarne. I nie wyciągnął pan z tego żadnych wniosków? - Rutan zerwał się na równe nogi, oburzony do żywego. - Jakie cztery, jakie cztery, dowódco !

- O ile sobie przypominam - wszedł mu w słowo komisarz głosem autorytarnym, nieznoszącym sprzeciwu - cztery razy wszczynane było przeciwko panu postępowanie dyscyplinarne spowodowane utratą przez pana legitymacji.

- Jak pragnę zdrowia, dowódco, ja już pięć razy za to karany byłem, pięć! - perorował Rutan, niezadowolony z pomniejszania

23

jego zasług, wśród salwy gromkiego śmiechu, jaki przetoczył się przez salę.

- Proszę usiąść, panie Rutan, zachowuje się pan jak dzieciak, a nie policjant z 12-letnim stażem - zirytowany Sosnowski ściągnął usta w cienką kreskę.

- Jeszcze jedna kwestia. Dziś w nocy mieliśmy wypadek nadzwyczajny, policjanci zmuszeni zostali do użycia broni palnej - wszyscy nadstawili uszy. - Ponownie apeluję o rozwagę i zachowanie szczególnej uwagi podczas przeprowadzanych przez was interwencji - komisarz podjął ulubione przez siebie balansowanie pięta-palce. - Podczas interwencji na melinie pijackiej, gdy wasi koledzy z nocnej zmiany postanowili odwiedzić do izby wytrzeźwień mieszkającego tam obywatela doszło do strzelaniny. To był zwykły troll, panowie, po wspólnej libacji stłukł swoją trollicę, która wezwała w końcu radiowóz. Na miejscu wobec policjantów mężczyzna zachowywał się poprawnie, niemniej wasi koledzy postanowili odwiedzić go do wytrzeźwiarki. Ponieważ mężczyzna był w samych majtkach poprosił o możliwość ubrania się. Założył spodnie, skarpety, buty, koszulę i był cały czas pilnowany. Na koniec poszli razem do łazienki. A wtedy troll sięgnął na półkę i wyjął pistolet TT, z którego zaczął strzelać. Wasi koledzy również. Na szczęście zarówno lump, jak i policjanci nie byli strzelcami wyborowymi - kolejny ironiczny uśmiech wyższości.

Komisarzowi Sosnowskiemu nigdy nie zdarzyło się spudłować. Być może pewne znaczenie miał tu fakt, że Sosnowski nigdy nie jeździł na żadne interwencje, a tarcza strzelecka wisiała nieruchomo nie zaskakując strzelca gwałtownymi ruchami.

- Lump poddał się, gdy mu Karnkowski nogawki od spodni przestrzelił - przez salę znów przeleciał śmiech. - Nie ma się z czego śmiać panowie, naprawdę. Niewiele brakowało, a skończyłoby się tragedią. Jedna z kul uderzyła w odznakę policyjną Karnkowskiego, co prawdopodobnie zmieniło tor jej lotu, skończyło się na strachu - kończył komisarz wśród gromkiego śmiechu towarzyszącemu ostatnim jego słowom.

Sosnowski stał zde gustowany reakcją tych ludzi. Starał się coś ważnego im przekazać, wpasować w formy zbliżone do ideału. A ta materia stawiała mu opór. Sosnowski uważał, że ma co

przekazać, osobiście studiował wszelką dostępną dokumentację po tego typu wydarzeniach, analizował je. Uważał, że ta wiedza daje mu podstawę do pouczania swoich ludzi. Ale oni mieli chyba inne zdanie.

- No i, no i ja zawsze im powtarzam panie komisarzu, że „blachy” mają mieć przypięte do mundurów, a nie pokitrane po kieszeniach - między innymi za takie występy sierżant Noi był faworytem swoich podwładnych.

-No dobrze, nie będę wam więcej zabierał czasu. Sierżant Kowalczyk poprowadzi dalszą odprawę - Sosnowski, wyraźnie poirytowany zbierał się do wyjścia - Rafał, zajmij miejsce, życzę powodzenia.

Wolejski, który do tej pory stał obok Sosnowskiego, usiadł sztywno na wolnym miejscu w pierwszej ławce. Patrzył na twarze ludzi, z którymi przyszło mu pracować. Naprawdę, zgroza. Od Sosnowskiego wiedział, że większość z nich ma zaledwie średnie wykształcenie, są po zasadniczej służbie wojskowej lub oddziałach prewencji. Dwoch czy trzech studiowało zaocznie -ale, mój Boże - co to za studia - westchnął w duchu Wolejski. W sam raz dla takich tłuików jak oni. Zastanawiał się, jak to możliwe, że tacy ludzie jeszcze znajdują zatrudnienie w tej formacji, no po prostu zgroza. Rafał Wolejski uważał, że policja jest miejscem dla wybrańców, fachowców, którzy profesjonalnie podchodzą do problemu zwalczania

przestępczości. Spokój i porządek publiczny mogą zapewnić tylko jednostki wybitne, o czystych intencjach i wielkich horyzontach myślowych. Tacy, jak Rafał Wolejski, czy komisarz Sosnowski. Starannie wybrani i wyselekcjonowani.

- Uwaga, baczność - poderwał wszystkich donośny głos No-iego, akurat w momencie, gdy Sosnowski dostojnie wypływał z sali na korytarz.

- Spocznij, siadać - zakomenderował Noi, gdy za komisarzem zamknęły się drzwi.

- No i, no i panowie, proszę o uwagę, czytam skład załóg i sektory - dalej odprawa potoczyła się zwykłym trybem. Odczytanie składów załóg, wyznaczenie sektorów, w których przyjdzie im jeździć, odczytanie z biuletynu informacji o skradzionych sa-

25

mochodach, poszukiwanych osobach, wydarzeniach. Andrzej notował wszystko skrzętnie w notesie: służba na dzień..., w godzinach, sektor nr załoga w składzie tak jak zwykle to czynił. Gdy dostrzegł nowego, targnęły nim złe przeczucia, choć powinien się cieszyć. Właśnie przestał być „młodym”. Niepisane prawa nakładały na „młodego” pewne obowiązki, teraz przejmie je siłą rzeczy Wolejski, czy mu się to podoba, czy nie. Andrzej był „młodym” przez pół roku, bacznie obserwowany i oceniany przez kolegów. Sprawdzał się. Pierwszy poważny chrzest przeszedł, gdy Inspektorat usiłował nakłonić go do zeznań obciążających Karola Maraka. Ominął tę rafę, później wielokrotnie wykazał się odwagą i przytomnością umysłu podczas patroli. Stał się jednym z nich, choć niepisane prawo mówiło, że jest się młodym, póki nie zjawi się kolejny młody. Czasami trwało to rok, lub dwa, w zależności od ilości wolnych etatów. Andrzej miał szczęście... choć to dziwne przeczucie mocno go trapiło. Nie mylił się, Henio Noi właśnie wyznaczył „młodego” do ich załogi. Miał tak jeździć przez jakiś miesiąc, póki nie wdroży się do służby, lub nie zostanie wyznaczony do wyższych celów przez komendanta i Sosnowskiego. Załodze Karola i Andrzeja przypadł w udziale zaszczyt wdrażania do służby posterunkowego Rafała Wolejskiego.

- No, Nadzieja, za mną - warknął wyraźnie rozeźlony Karol. Diabli nadali, dlaczego zawsze on miał niańczyć nieopierzonych smarkaczy. Heniek nieźle go urządził, wrzucając mu to kukulcze jajo.

- Kolejny, cholerny plecak, psia jego jucha - Karol obrócił się, patrząc na nowego, który najwyraźniej nie skojarzył słowa „Nadzieja” ze swoją osobą. Andrzej lekko trącił Rafała w bok.

- Cześć, mam na imię Andrzej - uściśli sobie dłonie. Rafał miał miękki, wilgotny, prawie kobiecy uścisk dłoni. Andrzej przywykł do nieco odmiennych. - Chodź, idziemy. Będziesz jeździł z nami. Masz już wszystko, co trzeba? - Nadzieja zamrugał oczami - No, broń, gaz, kajdanki, notatnik? - wyliczał Andrzej.

-Tak, wszystko mam - mruknął Rafał, dyskretnie pomacawszy luby ciężar w kaburze przy boku. Nawet on, wierzący w wyższość intelektu nad brutalną siłą uległ magii posiadania broni. Co prawda, stare, zdezelowane P-64, ale zawsze co pistolet, to pistolet. Zresztą Sosnowski obiecał, że załatwi mu coś lepszego.

-Heniek, ty koński łbie, ledwo jednego młodego na ludzi wyprowadziłem, to mi drugiego zwalasz? - Andrzej i Rafał szli niespiesznie korytarzem, ale dobiegł ich donośny głos Karola.

- No i, no i o co ci chodzi ?

- Co, o co ci chodzi!

- Przecież trzeba młodych szkolić, no i, no i ty też musisz!

- Ale właśnie jednego szkolę, a ty mi drugiego wwalasz!

- Andrzej sobie dobrze radzi, to już doświadczony glina, a młodych trzeba szkolić.

- Dlaczego znowu ja, innych nie masz?

-Karol, przestań, bo mnie wkurzasz! - darli się na siebie przez cały czas, podczas gdy reszta plutonu przyzwyczajona do ich stałych wojen pomału opuszczała salę, kierując się na dziedziniec do czekających na nich radiowozów.

-Jakie wkurzasz, wytłumacz mi, dlaczego dajesz mi młodego, etatowy instruktor jestem? Mam dodatek instruktorski?

- Chcę by wszyscy to słyszeli, Heniek.

- Głośniej, Heniu!

- BO JESTEŚ NAJLEPSZY!!! W PORZĄDKU?

-W takim razie oczekuję w najbliższym czasie premii, motywującej mnie do dalszej, równie owocnej i wyteżonej pracy ... - ryk spurpurowiałego na twarzy Henia Noiego przerwał te tyradę i towarzyszył ostatnim słowom Karola - WON W REJON!!! NO I, NO I DO ROBOTYYY!!!

Andrzej z Rafałem podeszli do samochodu. Czekali na Karola, bo on jako kierowca, miał kluczyki. Karol wynurzył się z czeluści komendy na rozświetlony różowym, wschodzącym słońcem dziedziniec. Jego oblicze również rozświetlał szeroki uśmiech samozadowolenia. Uwielbiał doprowadzać do eksplozji Henia Noiego. Dzień uważał za stracony, jeśli do tego nie doszło.

26

27

- Macie stację? - spytał rzuciwszy okiem na rozmawiających ze sobą Rafała i Andrzeja. psiakrew, zapomniałem - Andrzej skierował się z powrotem do budynku.

- Czekaj, cymbale, kiedyś na własny pogrzeb zapomnisz przybyć - warknął Karol - Niech młody idzie. Nadzieja, idź do oficera dyżurnego i weź stację. Pierwsze radiowozy wylatywały jeden za drugim za bramę komendy, niczym pszczoły z ula. - Pośpiesz się, bo jesteśmy spóźnieni. - Rafał drgnął, spojrział w stronę Karola i ruszył, kierując się z powrotem ku drzwiom do wnętrza budynku. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie urzędował oficer dyżurny komendy, ani jak i skąd bierze się te stacje. Ale postanowił, że nie będzie nikogo prosił o pomoc. Sam sobie poradzi.

- Karol, pójde z nim, on nie wie co i jak, pokażę mu - dobiegł Rafała głos Andrzeja i po chwili szli już razem w ramię w ramię. Ucieszył się w głębi ducha. Poczuł, już wcześniej w czasie rozmowy przy samochodzie, że darzy tego chłopaka sympatią. Zdążyli zamienić kilka słów, zanim ten grubas, Karol, bardzo ważny jaśnie pan sierżant skończył te żalose przedstawienie w sali odpraw. Błazen. Skąd mu się ta nadzieja wzięła? Ten Andrzej sprawia wrażenie całkiem w porządku. Z taką pasją opowiadał o swojej pracy. O tym, dlaczego tutaj przyszedł. Rafał uznał, że mają podobne zdanie na temat służby. Z tym, że ten Andrzej zdążył już się otrząsać, półtora roku w oddziałach prewencji, pół roku tutaj. A zresztą, też wielkie coś, oddziały prewencji. To przecież dawne ZOMO. Ojciec opowiadał mu, co nieco o wesołych czasach lat osiemdziesiątych, gdy ci chłopcy o umysłach na poziomie troglodytów i nafaszerowanych prochami lali ludzi. Pamiętał czołgi na ulicach i pewnego generała, co zabrał mu teleranek.

Rafał uważał, że teraz, gdy wreszcie nastąpiła wolność należy jak najszybciej zmienić i odnowić moralne oblicze policji, skażone obecnością ludzi tamtego systemu. Uważał, że jest to jego osobista misja. Dziś pierwszy dzień jej realizacji. Donośny gwar rozmów przerwał te rozmyślenia.

Dotarli do progu lokum, za którym mieściło się serce komendy, jego centrum - siedziba oficera dyżurnego. Było to pomiesz-

czenie znajdujące się na parterze budynku komendy. Prowadziło do niego jedno wejście, wspólne dla interesantów i policjantów. Za jego progiem znajdowała się stara, sfatygowana barierka znana z dawnych filmów, odgradzająca oficera od wrogiego świata. Za nią, w drugim końcu salki, bokiem do barierki stało biurko oficera. Naprzeciwko biurka, pod ścianą

stały jedna obok drugiej szafy pancerne, pełne ważnych ksiąg, kasetek z kluczami, broni, amunicji, środków łączności i wielu innych tajemniczych rzeczy. Na szafie walały się tekturowe pudła z wysypującymi się starymi i nowymi formularzami protokołów, jakaś stara, zapomniana kamizelka kuloodporna. Niebieski materiał, którym owa kamizelka była obszyta zetlał, przez liczne dziury prześwitywała blacha o grubości płyty czołowej czołgu T-34 i wadze do niej zbliżonej. Dalej stały dwa czarno-białe monitory telewizyjne „Rubin” i „Merkury”. W jednym monitorze przez cały czas wyświetlany był dość monotony program przedstawiający widok bramy głównej dziedzińca komendy, drugi był zwykłym telewizorem. Z tym, że jeżeli miał dobrą wizję, to nawalał z fonią, a jeśli fonię miał znośną, to wizja odmawiała posłuszeństwa.

Przed barierką kłębił się tłum przekrzykujących się z oficerem dyżurnym, z tylnego, połączonego z biurem oficera dyżurnego pomieszczenia dobiegał głos znużonego radiooperatora zarządzającego wszystkimi radiowozami w dzielnicy. Tę kakofonię dźwięków przeszywał przenikliwy dzwonek przedpotopowego telefonu, usiłującego zwrócić na siebie uwagę z oficerskiego biurka. Z drugiej strony barierki kłębił się i miotał, niepodzielnie rządzący od 21.00 do 9.00 zdaną na jego łaskę dzielnicą, niezrównany kapitan Chaos. Tak został nazwany przez współpracowników młodszy inspektor Ryszard Stasiak. O jego wyczynach krążyły już legendy.

- Ale, panie kolego, przecież mówię, trzeba napisać notatkę - notatka była panaceum na wszystkie dolegliwości inspektora Stasiaka - koniecznie trzeba napisać notatkę.

- Przecież napisałem już panu notatkę. Pojechaliśmy do parku, zgodnie z poleceniem radiooperatora. Rozpoczęliśmy penetrację, nikogo nie zastaliśmy, nikt nie wzywał pomocy, spokój cisza - jeden z cywilnych wywiadowców wyjaśniał Chaosowi, z trudem hamując złość.

28

29

- Panie kolego, no jak tak można! - kapitan Chaos obrócił się gniewnie do kolejnego interesanta, który podnosząc blat barierki usiłował wtargnąć do królestwa kapitana.

- Rysiu, ja po protokół zatrzymania i przeszukania osoby -jakiś mundurowy, w stopniu starszego sierżanta z wcześniejszej nocnej zmiany, niezrażony marsową miną kapitana parł ku szafie.

- Ale ja cię proszę, no jak tak można, panie kolego - kapitan chwycił mundurowego, obrócił i zaczął popychać z powrotem za barierkę. - Jak, coś chcesz to poproś, a nie tak się pchać. Poczekaj, panie kolego, widzisz, że mam tu młyn.

- Inspektorze, jaką notatkę jeszcze pan chce. Interwencja zakończona, nic się nie dzieje, nie ma sprawy. Jedziemy w rejon -cywil stuknął w ramię kolegę.

- Jaki rejon, panie kolego, nie przyjmę od was rozliczenia interwencji, jeśli nie dacie mi nota...

- Rysiu, czekam na protokoły! - przerwał Chaosowi mundurowy - służbę zaraz kończę, a przez ciebie w lesie jeszcze jestem z dokumentami - sarkał.

- A tak, momencik, panie kolego - Chaos obrócił się podszedł do szafy, wspiął na palce i chwycił tekturowe pudło pełne papie-rzysk. - Panowie, notatkę proszę mi napisać.

- 140 00 zgłoś do 211 - trzaskało z sąsiedniego pokoju.

- 00 zgłaszam - pyknął stacją niewidoczny radiooperator.

- Witam ciebie, w rejonie sektor 210 - obwieścił szum stacji.

- Rysiu, to stare protokoły - mundurowy nie przyjął z wyciągniętej dłoni kapitana smętnego, zakurzonego świstka papieru -Od dwóch tygodni obowiązują nowe.

- Co się pan uczepeł tej notatki? Z czego mam ją napisać!

- Z rozpytania lokatorów - palnął komisarz - stare? No naprawdę, ja nie mam już siły, panie kolego, skąd ja ci nowe wezmę? Urodzę?

- 212 również wita, sektor 115 - szumiała stacja.
- 214, witam również, po drodze stacja benzynowa, za 20 minut w rejonie ...
- Z rozpytania lokatorów? o piątej rano? To już kpina, jedziemy stąd! - cywile wyszli.
- Z szafy, Rysiu, tej bliżej wyjścia - mundurowy miał naprawdę żelazne nerwy.
- Halo? - Chaos gwałtownym susem dopadł telefonu, jakby dopiero teraz usłyszał jego przesywające dźwięki.
- Tak, tak, komenda rejonowa, oficer dyżurny młodszy inspektor Ryszard Stasiak słucham? -
No, ale panowie, proszę poczekać, naprawdę ... - Nie, to nie do pani, tak proszę mówić -
kapitan walczył ze sobą, nie wiedząc, czy odłożyć słuchawkę, czy ruszyć ponownie ku
barierce widząc oddalających się cywilów, wchodzącego Andrzeja z Rafałem, oraz ze zgrozą
patrząc na mundurowego, który dotarł w końcu do właściwych protokołów w szafie.
- 140 00 do 221 zgłoś - szum z drugiego pokoju.
- Tak, oczywiście wysyłam załogę, proszę przestać płakać -Chaos przytulił słuchawkę do
piersi. - No, panowie, panowie, nie teraz, nie przeszkadzajcie proszę! - nerwowo zareagował
na kolejny problem inspektor.
- My tylko stacje pobrać - poinformował Andrzej.
- Słucham ciebie - dobiegł zza drzwi głos operatora.
- Jestem na miejscu, słuchaj Szuuubuuuprierrd.
- Powtórz, wycięło cię - ten sam jednostajny głos radiooperatora.
- Mówię, że jestem na miejscu, ale tu się wciąż chajcuje, jak jasna cholera, strażacy...
szuuubuuupierrrd ... zaczęli, to ja chyba wrócę ...
-221, czekaj ...
- Halo, jest pani? Tak, tak, oczywiście proszę podać adres...
- Rysiu - operator darł się zza drzwi - grupa operacyjna, co ją wysłaliśmy na oględziny po
pożarze melduje, że strażacy dopiero gasić go zaczynają, to ja ich wrócę, co? Po co tam mają
na próżno sterceć ...
- Nie, nie niech robią oględziny - nie, to nie do pani, tak oczywiście słucham...
- Rysiu, ale tam się jeszcze pali.
- Niech robią oględziny! Nie, nie proszę pani... tak oczywiście... naprawdę jest mi przykro ...
Panowie, no to proszę szybko z tymi stacjami, tylko wypiszcie mi się.
30
31
- 140 221 zgłoś do 140 00.
- Zgłaszam.
- Z polecenia oficera masz wykonać oględziny.
- Szuuubuuupierd, gdy się pali? Ty mu powtórz, że tu płomienie sięgają czwartego piętra...
Szuubuuuprypryk... oględziny?
- Nie wiem jak, ale masz zrobić oględziny, polecenie oficera.
- Beniu, wyślij załogę do tej kobity, co dzwoniła, mąż ją leje, trzeba go na izbę wytrzeźwień
wywieść.
- Jaki adres?
- Adres? - Chaos wyraźnie się zmieszał - Ten, tego, panie kolego...
- Nie przejmuj się, Rysiu, zadzwoni drugi raz ... - Benio potrafił zachować spokój pomimo
przeciwności losu. Andrzej z Rafałem wychodzili ze stacją i zapasowymi akumulatorami.
Po drodze zdążyli usłyszeć, że grupa chętnie zrobi oględziny, jeśli oficer przyśle im
kombinezony azbestowe. Rafał był wyraźnie ubawiony, ale starał się zachować powagę,
idący obok Andrzej również gryzł wargę, by nie parsknąć. Gdy spojrzeli na siebie, nie
wytrzymali. Przez korytarz komendy przetoczył się gromki, młodzieńczy śmiech. Siedzący
obok wejścia niskiego wzrostu, za to dosyć korpulentny jegomość tuż po czterdziestce
podniósł głowę, patrząc na wychodzących - no, to już na pewno nie odzyskam samochodu -

pomyślał smętnie i opuścił głowę, pomału tracąc nadzieję, że wejdzie przed oblicze oficera. Właściwie, to nie był pewien, czy na pewno tego chce.

- Czego ryje cieszyćcie? - Karol spojrzął na chłopaków - was to po śmierć posłać.

- Kapitan Chaos dziś nami rządzi - pośpieszył z wyjaśnieniem Andrzej.

- No tak, to tłumaczy wszystko - mruknął Karol - niedługo się zmienią... do tego czasu, miej nas Panie Boże w opiece, radiowóz i wszystkich, Bogu ducha winnych mieszkańców tej dzielnicy...

Kolejny radiowóz z Karolem, Andrzejem i Rafałem na pokładzie ruszył na oświetlone wschodzącym słońcem ulice ruszając ku swemu przeznaczeniu. Jechali przez chwilę milcząc, Karol za

kierownicą, Andrzej z boku a Rafał z tyłu przedzielony od tych dwóch pierwszych przezroczystą płytą pleksiglasową. Płyta była porysowana, przebiegała w poprzek radiowozu na wysokości twarzy. Pod spodem była wolna przestrzeń. Andrzej włożył radiostację do specjalnego pojemnika, zmieniającego stację nasobną w stację pokładową. Gdy ją uruchomił, z głośnika dobiegł ich znany głos Benia prowadzącego swą korespondencję z załogami. Andrzej włączył się meldując załogę w wyznaczonym sektorze. Rafał rozglądał się po wnętrzu pojazdu, wdychając jego mdły zapach, rejestrując dziurę w obiciu tylnego fotela, zabrudzoną podsufitkę, kontemplował plamkę na szybie pleksiglasowej tuż za fotelem Andrzeja. Zastygła flegma? Andrzej jak zwykle rozkoszował się tym magicznym dla niego czasem, gdy dzień łączy się z nocą. Słońce coraz wyżej wędrowało w górę, zalewając różowojasnym blaskiem ulice. Ale te pozostawały puste. Gdzieniedzie przemknął gdzieś jakiś nurek śmietnikowy, jezdnią z rzadka przejeżdżały samochody. Jedne z włączonymi światłami - to te, co wracały z nocnych eskapad, niektóre mając je wyłączone -ci, którzy dopiero wyruszali na szlak. Andrzeja zawsze fascynował fakt, że mniej więcej około 6 rano, te ulice nagle zaludniały się a samochody tworzyły codzienny, warszawski korek. Jakby ktoś otworzył jakieś magiczne klapki. A na razie ulice pozostawały opustoszałe.

- Coś taki markotny - Andrzej zagadnął Karola.

- Myślę.

- Uważaj, nieprzyzwyczajonym szkodzi.

Karol zastanawiał się, jak rozegrać sprawę z Rafałem Wolejskim. Pupilek i pieszczoszek Sosnowskiego, to jasne. Diabli wiedzą, co w nim siedzi. Trzeba zachować daleko posuniętą ostrożność. Z drugiej strony, zbyt szorstkim traktowaniem można chłopaka skrzywdzić. Może jest w porządku, może się wyrobi?

- Słuchaj, no kolego - Karol postanowił przeciąć wrzód jednym cięciem - Jesteś kabel? Karol dostrzegł zmieszanie i niechęć w oczach tamtego. - Nie gniewaj się, ale wiesz, chcę wiedzieć, na czym stoimy - zaczął przemowę Karol. - Pewnie jesteś w porządku, ale ja tu już różnych widziałem - kontynuował, niespiesznie prowadząc samochód. - Jak jest z tobą, czas pokaże - Andrzej

I

32

33

wpółobrócił się na fotelu chcąc widzieć nowego. Te same myśli nurtowały i jego - Wiesz, bez służby w wojsku, bez praktyki w zomozie trafiasz tu, z marszu, prosto z ulicy - Karol nabrał powietrza i ciągnął dalej. - Nie wiem, jakie układy łączą cię z Sosnowskim, ale facet wprowadza cię, zielonego jak szczypiołek na wiosnę do kompanii i przedstawia jako zbawcę i nadzieję dla nas wszystkich. - Więc stąd wzięła się nadzieja, olśniło Rafała, tymczasem Karol mówił dalej. - Nie wiem, co tam dalej knujecie, czy masz być moim przyszłym szefem, czy Sosnowski wtrzyił cię tu jako swojego szpiega ... Nie gniewaj się za bezpośredniość, ale tutaj tak jest. Jeśli mamy jeździć w załodze, musimy sobie ufać. A tak, nie wiem, co o tym wszystkim sądzić - Karol westchnął na koniec.

Rafał słuchał przemowy Karola i czuł, jak mieni mu się twarz. No, tak ładnie go Sosnowski urządził. Znali się od zawsze na zasadzie towarzysko-rodzinych układów. Spotykali się przy rodzinnym stole parę razy do roku z okazji świąt, urodzin, imienin, chrzcin ślubów i pogrzebów. Byli mniej więcej równolatkami, Rafał poszedł na cywilne studia a Sosnowski do szkoły oficerskiej. Lubił opowiadać o twardym, gliniarskim życiu. Opowiadał o szkole tak, jakby co najmniej był na pierwszej linii walk w Sarajewie. Odkąd został dowódcą kompanii patrolowej częstymi tematami jego rozmów były wyczyny jego podwładnych. Wynikało z tych opowieści, że to banda nieporadnych matolów robiących błąd na błędzie, jak ze starych dowcipów o milicjantach. A jeśli jakaś akcja została zakończona sukcesem, to tylko dzięki osobistemu zaangażowaniu Sosnowskiego. Rafał, co prawda podejrzewał, że te opowieści trzeba podzielić co najmniej przez dwa. Z drugiej strony, ta sprawa, którą poruszył Sosnowski na odprawie. Starzy policjanci nie potrafią upilnować jakiegoś pijaczka, który wyciąga spluwę i wali do nich jak do kaczek? A co, jeśli przyjdzie im stanąć przeciw prawdziwym bandytom?

Rafał patrzył na zwalistego mężczyznę, z trudem mieszczącego się za kierownicą służbowego Poloneza, szorującej po jego wydatnym, sierżanckim brzuchu, gdy pokonywał zakręty.

Wielkie łapska i ramiona przychepione do byczego karku informowały, że pod sadłem znajdują się potężne mięśnie. Rafał nie wiedział, co ma sądzić o tym facecie. Wyczuł od początku niechęć i rezerwę bijącą od niego, ale miał on w sobie coś, co kazało się z nim liczyć. Spojrzenie, sposób bycia? Wzburzony ostatnimi słowami Karola, dotknięty do żywego, w głębi ducha odczuł szacunek do tego mężczyzny, że jasno postawił sprawę. Jeśli spojrzeć jego oczami, to rzeczywiście ma rację. Sosnowski przyszedł, nagadał wielkich słów o odnowie, przedstawiając Rafała jako nowego, moralnie czystego policjanta, ich samych kierując do lamusa. To musiało wzbudzić niechęć. Sosnowski o tym nie pomyślał? Tym bardziej, że sam Rafał jeszcze nie wiedział, jakim będzie policjantem. Może się wcale nie sprawdzi. A co z takimi młodymi, jak Andrzej. On też przyszedł dopiero co, pełen zapału i dobrych chęci, on też jest do niczego? Nie wygląda na takiego. Rafał zrozumiał, że od teraz zupełnie inaczej będą musiały ułożyć się stosunki pomiędzy nim a Sosnowskim. Nie będzie już mu mógł opowiadać o kolegach z pracy, tak jak kiedyś opowiadał mu różne historyjki z życia studenckiego, imprez i zabaw. Bo już musi pamiętać, że Sosnowski to również jego przełożony. Może źle zrobił, idąc na łatwiznę godząc się, że Sosnowski wszystko pozalátwia i idąc pod jego komendę?

- W porządku, panie sierżancie, cieszę się, że pan poruszył ten temat. Znam Sosnowskiego, jesteśmy spokrewnieni. Ale nie jestem jego, jak pan raczył to nazwać, kablem ani szpiegiem - Rafał mówił falującym z emocji głosem, starając się nadać swojej wypowiedzi elegancką formę, która tak zachwyciła go na wykładach na Uniwersytecie - przyszedłem tutaj, bo chcę być dobrym policjantem. Czy to źle, że mam dobre wykształcenie? Osobiście uważam, że to tylko zaleta, a nie wada - kontynuował Rafał, lekko pochylony do przodu, jakby chciał, by jego słowa były jak najbliżej rozmówcy - przecież zdaje pan sobie sprawę, panie sierżancie, że ze swoimi kwalifikacjami i umiejętnościami... - Usłyszał parsknięcie Karola i dostrzegł błysk dezaprobaty w oczach Andrzeja. Trudno. Wyrzuci z siebie to, co zalega zakamarki jego umysłu. Szczerze, jasno i logicznie. Po prostu powie to, co myśli i koniec - Tak, umiejętnościami. Czy pan wątpi w moje kwalifikacje panie sierżancie? - sam się zdziwił tą szarżą.

34

35

- Wyluzuj, synku i że tak powiem używając twojej górnotnej terminologii, nomenklatury i nazewnictwa - kontynuuj - mruknął Karol. Andrzej nic nie powiedział, tylko poprawił się w fotelu. Szyja lekko mu ścierpła od patrzenia w tył. Gość jest niezły - pomyślał, daje czadu jak

jakiś profesorek. Skąd takich biorą? Zastanawiał się, wiedząc, że nie ma na to pytanie żadnej rozsądnej odpowiedzi. On sam rzucił studia na drugim roku, mając szczerze dosyć nauki. Pragnął zaznać pełni życia, oddychać pełną piersią, sprawdzić siebie w jakiś ekstremalnych doznaniach. Gdyby miał trochę kasy, zapisałby się do klubu spadochronowego albo szalał na motorze. Uprawiał od lat różne sporty walki, ale wciąż było mu mało. Któregoś dnia przyszło olśnienie. Wtedy rzucił wszystko w ką, ku rozpaczy rodziny wstąpił do policji. Półtora roku w koszarach OPKSP było niezłym przeżyciem dla niego i jego przełożonych. A teraz czuł, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Za pół roku, góra rok będzie się starał dostać do pododdziałów antyterrorystycznych. Miał tam już kumpla. Niezły odpał, oni wszyscy mają trochę nawalone we łbach. A jak nie do AT, to pójdzie do operacyjnych. Byle nie trafić za biurko. To jest to, myślał Andrzej. Życie z dnia na dzień, intensywnie do bólu. A to, że można zarobić kulkę, lub dostać kosę? I dobrze. Jeśli zginąć, to w walce, jak wikingowie idący do swej wymarzonej Walhalli.

- No, więc - Rafał zmieszał się, wiedząc, że nie należy zaczynać zdania od „więc”-jak już zaznaczyłem we wcześniejszym fragmencie swojej wypowiedzi, mógłbym z miejsca pójść do szkoły oficerskiej, zrobić podyplomówkę i objąć jakieś bardziej eksponowane stanowisko. - Rafał przełknął ślinę, czuł, że zabrnął za daleko. Teraz waży się jego być albo nie być w wśród tych ludzi. Jeśli nie zaakceptuje go jego załoga, odrzuci również reszta. Nie rozumiał, skąd ten mur dziwnej niechęci? Czemu, tak od razu go odrzucają? - Miałem takie propozycje - No, ładny gwizdek - pomyślał Andrzej. Ty człowieku lataj po mieście z giwerą w garści po piwnicach, strychach i melinach, wystawiony na cel dla wszystkich szurów tego miasta, szarp się z lujami, podstawiaj swój łeb do odstrzału. Nikt ci nie złoży propozycji. Bo jesteś tylko robolem od czarnej roboty.

- Ale postanowiłem zaznać na własnej skórze, jak to jest użerać się co dnia z przestępcami. Chcę poznać pracę policjanta od podstaw, samemu się sprawdzić. Chcę się tego uczyć. Mam zamiar, najlepiej jak to możliwe, wykorzystać dany mi czas - skończył z emfazą. - Nie mogę słowami wyrazić, jaki jestem, co czuję. Nie jestem kablem, nie jestem szpiegiem. Mam nadzieję, że przekona się pan o tym osobiście, gdy mnie lepiej pozna - Rafał czuł zadowolenie. Powiedział, co myśli. Jeśli to, co myśli nie znajdzie tutaj zrozumienia, to trudno. On zrobił, co do niego należało.

- Amen - mruknął Karol - obym tego nie żałował, tego lepszego poznania. No dobra, pięknie gadasz, zobaczymy, ile jesteś wart, gdy strach ci do tyłka zajrzy - powiedział Karol z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, wpatrując się w wawóz ulic przed sobą. Wnętrze wozu patrolowego, pomimo otwartych okien i włączonej klimatyzacji w postaci warkoczącego wiatraczka, pomału wypełniało się siwym, gryzącym dymem spalin. Drobną atrakcją w monotonii służby. Andrzej majstrował przy suwakach ogrzewania, znajdujących się przed nim. - Cholera, znowu nie naprawili - obrócił się do Rafała i powiedział tonem wyjaśnienia - Cały czas dmuchawa z ciepłym powietrzem grzeje. Od miesiąca tak naprawiają, szlag by ich trafił, mechaniorów zakichanych

- walnął pięścią w pulpit przed sobą, wyładowując złość - wozy pościgowe Komendy Stołecznej - mrucał do siebie rozeźlony.

- Dobra, zrobimy tak - Karol, nagle ożywiony poprawił się za kierownicą - czas pokaże, czy się tutaj nadajesz, czy nie - Rafał wpatrywał się w Karola, wiedząc, że ten wydał już wyrok dotyczący jego osoby. Złapał się na tym, że chciałby, aby był on przychylny. Chciał być jednym z tych facetów. Uświadomił sobie, że bardzo mu na tym zależy. - Schowaj sobie głęboko do kieszeni wszystkie mądrości, co to ci na tych szkołach do głowy nakładli. Patrz, myśl, pytaj. Nie pchaj się naprzód, obserwuj, co my robimy. Jeśli coś ci nie będzie pasować, możesz pytać, możesz dyskutować, ale nigdy przy obcych a szczególnie zatrzymanych. To, co dzieje się w tym radiowozie, to sprawa pomiędzy nami. Jeśli ktoś cię będzie pytać, to nic nie wiesz, gęba na kłódkę, koniec i kropka.

- Ależ, oczywiście panie sierżancie - zachnął się Rafał.

36

37

Nie skończyłem - skosił go Karol, z chmurnym wyrazem twarzy. Wjechał wozem na chodnik, zatrzymał go, obrócił się twarzą do Rafała i mówił dalej. - Szczególnie, jeśli chodzi o Sosnowskiego i innych panów naczelników i komendantów. Oni bardzo będą chcieli wiedzieć, o czym tu rozmawiamy, czy bierzemy łapówki, jak traktujemy zatrzymanych, czy - broń Panie Boże, nie bijemy ich, nie poniżamy - Rafał słuchał, nie bardzo wiedząc, do czego Karol zmierza - weźmie cię twój serdeczny kolega Sosnowski do siebie do kanciapki, kawką poczęstuje i spyta: no jak Rafałku, słyszałem, że ten lump nieźle was wkurzył, co? - Rafał słuchał coraz bardziej zmieszany. - Od faszystów wyzywał, innych brzydkich słów używał. A przedtem żonie swojej zdrowo dołożył, co? A ty powiesz, no tak, faktycznie. A Sosnowski dalej spyta: i co przywaliłeś mu? A ty siorbiąc kawusię, powiesz: a skąd, gdzieżby. A Sosnowski zapyta: a Karo-lek? On, już biedaczek, sterane nerwy ma. Tyle lat już się szarpie. A ty powiesz: a gdzie by, skąd. No, no dobrze, powie Sosnowski, ja tam bym mu przylał, łobuzowi. Tak dla nauki, należałoby się, oj, należało. A ty, Rafałku, naprawdę nic mu nie ten tego? Ani Karol? No, w zaufaniu ci powiem, że się na was zawiodłem. A ty powiesz ciągnąc łyceczek kaweczki: no, tak w zaufaniu, to go przeciągnąłem pałą po grzbiecie. A Karolek poprawił. Karolek poprawił? Spyta Sosnowski. No popatrz, popatrz, co za łobuz. Przykro mi, bo pan prokurator stał za firanką i wszystko słyszał. Zupełny przypadek, naprawdę. A ten lump, to przecież wolny obywatel, którego praw mamy strzec - Karol mówił to wszystko tonem, jakby dziecku opowiadał bajeczkę. Rafał kręcił się niespokojnie na tylnym fotelu. - Wiesz, że złożył, niedobruch skargę? - ciągnął Karol. - Ja rozumiem, że się zdenerwowaliście z Karol-kiem, ale moim obowiązkiem jest wykryć sprawcę przestępstwa, jakiego dopuszczono się na tym obywatelu. Gdyby jeszcze pan prokurator tego nie słyszał, ale słyszał. A pan prokurator powie: My do ciebie nic nie mamy. Jesteś młody i głupi. Ale ten Karol, to łobuz. Przyznaj się, tobie nic nie będzie, a pozbędziemy się niedobrego Karola. Zaufaj nam. Zgodzisz się, okaże się, że jednak, niestety dowody przeciw tobie będą zbyt mocne by ci pomóc i się ma Wiktor.

- Pan chyba żartuje, panie sierżancie, znam Sosnowskiego tyle lat, on przecież nie mógłby ...

- Jesteś pewien?- Karol uważnie patrzył na Rafała.

- Ale, po co miałby to robić - Rafał protestował płaczącym głosem.

- Dla chwały, z poczucia obowiązku. Nie mówię, że on, ale tak w ogóle, przykład taki z życia wzięty, dla nauki dla ciebie. Pamiętaj, dla własnego dobra: gęba na kłódkę - Andrzej z aprobatą kiwnął głową. On tę lekcję zdążył już przerobić w praktyce.

- Zasady użycia środków przymusu bezpośredniego znasz? - spytał nagle Karol

- Oczywiście- z dumą obwieścił Rafał - Może mnie pan pytać na wyrwyki. Znam przypadki użycia pałki służbowej, gazu łzawiącego i kajdanek. Również przypadki i zasady użycia broni służbowej, wszelkie podstawy prawne. Zapoznałem się z orzeczeniem. ..

- To dobrze, że to wszystko znasz - znów przerwał mu Karol, nie dociekając, z jakim orzeczeniem przyszło Rafałowi się zapoznać - Wiesz, po co się tego wszystkiego uczyłeś?

- No, to chyba oczywiste. Po to, by zgodnie z prawem ich używać.

- Błąd, synku. Uczyłeś się po to, by wiedzieć jak masz napisać notatkę.

- Jak to - Rafał zamrugał oczami, wyraźnie zbity z tropu.

- Chodzi o to, że jak nie będziesz miał w małym paluszku przypadków i zasad użycia środków przymusu bezpośredniego włączając w to zasady i przypadki użycia broni służbowej, i nie będziesz na ten paluszek spoglądał podczas pisania notatki z interwencji, to może się okazać, że właśnie napisałeś sam na siebie piękny akt oskarżenia. Być może będziesz miał szanse spotkać swojego zatrzymanego w tej samej celi.

- Rafał milczał, trawiając to, co do tej pory usłyszał. Był nieco tym oszołomiony.

- Nie rozumiesz? - pytał Karol. - Myślisz, że ci bajki opowiadam? Ja już wiele przeszedłem i wiele widziałem. Mam za sobą parę uroczych pogawędek w prokuraturze, spędziłem długie 48 godzin na dechach w pałacu Mostowskich, gdy jednemu tary-fiarzowi nie podobał się sposób przeprowadzenia przeze mnie

38

39

Interwencji. - Wskazał na Andrzeja - ten sympatyczny młody człowiek też mógłby ci trochę opowiedzieć. Jeśli żyjesz w świecie złudzeń i swoich marzeń, widząc siebie jako zbawcę i bohatera w świetlistej zbroi walczącego z przestępcami jak rycerz ze smokami, to szybko o tym zapomnij. Tu jest prawdziwe życie. Będziesz brodził po kostki w gnoju, sam nieźle się upaprzesz. Nikt ci nie powie „dziękuję”, a jak popełnisz błąd, to pstryk, nie ma cię - Karol pstryknął przy tych słowach palcami w charakterystycznym geście.

Andrzej również słuchał w skupieniu. Nauczył się cenić słowa Karola - Oczy musisz mieć dookoła głowy, bo przywalić ci może każdy. Głupia kontrola samochodu może skończyć się dla ciebie tragicznie. Nigdy nie wiesz, z kim masz do czynienia, jak się dany człowiek zachowa. Nikt nie ma napisane na czole: Uwaga, jestem bandytą. Jak coś się dzieje, to dzieje się nagle. A ty musisz być przygotowany. Musisz reagować błyskawicznie.

Przykład - Karol machnął ręką, podkreślając swoje słowa gestem - kierowca kontrolowanego przez ciebie samochodu jest zdenerwowany. Nagle rękę chowa pod marynarkę, coś wyciąga. Co, dokumenty? Chusteczkę czy broń? - wyrzucał słowa z coraz większą szybkością - Co robisz? - Rafał zmieszał się. - Szybciej człowieku, masz coraz mniej czasu, co robisz? - wrzeszczał Karol. - Facet jest błąd, poci się, denerwuje na twój widok, a teraz nagle coś wyciąga spod swojej pachy, co robisz? - Rafał nie był na to przygotowany, to się działo tak niespodzianie. Sugestywne opowiadanie Karola, to nagle postawienie go w sytuacji wymuszającej na nim wyobrażenie sobie siebie podczas kontroli tego samochodu.

Uświadomił sobie w jakimś przebłysku, że nie jest to jak analizowanie kasusów, które tak uwielbiał na studiach. Mógł wykazać się erudycją, szermierką na argumenty. Ale jakby z oddali, bez osobistego zaangażowania. A tu teraz, czuł jakby naprawdę kontrolował ten samochód, widział kierowcę, nerwowego, spoconego, doniosły głos Karola skandującego poszczególne wyrazy, ton wprawiający w zdenerwowanie powodował coraz większy niepokój ...

- I po tobie, synku - wyrwał go z zamyślenia głos Karola. Facet właśnie wracał z włamu. Miał w bagażniku fanty, a za pazuchą broń. Pach pach i po tobie.

40

Ale zaraz, moment - Rafał wciągnął się w tę zabawę - A jeżeli podszedłem do niego mając broń w rękach?

-Podszedłeś do obywatela, cieszącego się pełnią swobód w wolnym i demokratycznym kraju z bronią w ręku? - Karol otwierał coraz szerzej oczy, jakby z rosnącym niedowierzaniem. - No to po tobie. Chłop wywala elaborat z tobą w roli głównej i jesteś ugotowany. Prasa jeździ po całej policji jak po tysej kobyle. Wiesz, faszystowskie metody, reżimowe nawyki, niedouczeni policjanci bawiący się nieodpowiedzialnie bronią. Mnożą się artykuły i programy pytające, po co nam taka policja itp. Komendant rejonowy chodzi na dywanik do stołecznego, stołeczny do głównego. Wywalają cię na zбитy pysk, rzucając na żer pismakom. - Karol patrzył ironicznie na Rafała. - A nawet nie myśl, że użyłeś broni. To, co z tego, że już tylu naszych zginęło podczas głupich kontroli, co z tego, że nie wiesz, co ten facet knuje. Co z tego, że czujesz się zagrożony, zagrożenia nie ma. Jest tylko w twojej głowie. Jak się nie obrócisz, dupę masz zawsze z tyłu.

- No nie, ale tak nie można, skąd mam wiedzieć, czy facet ma broń sięgając do kieszeni, czy nie - walczył dalej Rafał.

-No właśnie - mruknął z kpiącym uśmiechem Karol. -Skąd? I między innymi po to masz znać przypadki i zasady użycia broni i innych środków przymusu z naszego gliniarskiego arsenału. Bo jak coś się stanie, to musisz wiedzieć, jak się bronić. Naszą główną bronią jest długopis, a nie pistolet. Rozumiesz? -poprawił czapkę i usadowił się wygodniej. Rafał zamyślił się głęboko, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Coś niesamowitego. Karol zrobił mu niezły zamęt w głowie. Ale to, co mówił, miało sens. Trochę się to różniło od wykładów. Odwieczne zderzenie teorii z praktyką. Rafał złapał się na tym, że inaczej spojrzął na strzelaninę, o której rano mówił Sosnowski. Od dnia dzisiejszego zupełnie innego znaczenia nabrało o dla niego powiedzenie „akademickie gadanie”. To wszystko nie jest takie proste - pomyślał z rezygnacją pocierając twarz.

- W takim razie, jak mam podchodzić do takich kontroli? -spytał.

- Po prostu uważaj, bądź czujny i już - ciągnął Karol. Może być tak i życzę ci tego z całego serca, że wszystkie interwencje

41

będą przebiegały spokojnie, co najwyżej czasem trochę się z kimś poprzepychasz. Taki jest standard. Ale może być tak, że raz na 15 lat trafi ci się ta jedna, czarna kontrola. Nigdy nie wiesz, kiedy to nastąpi. Ale zawsze musisz być do niej przygotowany. To wszystko - Karol ponownie odpalił silnik samochodu, kontynuując jazdę w wyznaczonym kwadracie ulic.

- Ale wracając do tej hipotetycznej kontroli, podchodzę do człowieka, widzę, że jest nerwowo

- Rafał nie dawał za wygraną. - Sięga nerwowo pod pachę. Nie wiem, kim jest, co chce zrobić. To jak powinna ta sytuacja dalej się rozwinąć. Oświećcie mnie, panowie policjanci. Andrzej postanowił wziąć udział w dyskusji, to on, niepisany prawem był odpowiedzialny za młodego w załodze. Karol czuwał nad całością załogi, a Andrzej bezpośrednio nad bezpieczeństwem nowego pracownika.

- No wiesz, generalnie to wszystko zależy od sytuacji. Musisz mieć wyczucie, intuicję.

Wyrobi ci się z czasem. Tutaj nie ma dobrych ani złych recept. Po prostu musisz uważać.

- Ale, tak może coś bliżej?

- Zawsze staraj się zagadać. Z głosu dużo się dowiesz, z intonacji, sposobu wymowy.

Słuchając jego gadki dowiesz się, czy jest podenerwowany, czy nie. Jak gość nawijasz z tobą łączność i widzisz, że generalnie kuma co do niego nawijasz, to spoko. Jeśli jest nadal rozkojarzony i w ogóle nie trybi, uważaj. Coś mu pod kopułką lata, jego myśli są zajęte czym innym. Jeśli wykonuje gwałtowne ruchy, które ty odbierasz jako dziwne, to wydaj mu polecenie. Ostрым głosem, by dotarło. Każ mu położyć ręce na kierownicy, czy coś. A sam tak się ustawiaj, żeby cię facet widział tylko kątem oka, albo wcale. Jak by co, dajesz nura za samochód i spoko. Masz czas na bardziej przemyślaną reakcję. Twój partner powinien cię ubezpieczać z większej odległości, kontrolować sytuację. Jak już jesteś za blisko, złap go za rękę, przytrzymaj. Ale generalnie mów, jak najwięcej mów. Chodzi o uspokojenie faceta, żeby on wiedział, o co chodzi. Może jest nerwowo, bo nie ma dokumentów i ta kontrola tak go stresuje. Najczęściej o to biega. A jak dochodzi do konfrontacji, to zdaj się na instynkt, i tyle.

-Faktycznie, proste - zamruczał pod nosem Rafał, zły, że traktują go jak dziecko. Farmazony walić, to każdy potrafi.

- Dobra, gadki szmatki, przejdźmy od teorii do praktyki. -Karol przyspieszył równając się z samochodem osobowym marki Ford Sierra. Samochód był biały, mocno dociążony z tyłu. Cały pokryty był szarym, dawno niemytym nalotem błota, piachu i pyłu. Jak większość samochodów w tym mieście.

- Andrzej, lizak i stopuj go - Karol mówił do Andrzeja w szybkim tempie. Andrzej nachylił się i chwilę szukał czegoś w bocznej kieszeni drzwi, mruknął „diabeł ogonem nakrył” nie znajdując, po czym szybko otworzył skrytkę umieszczoną przed nim w pulpicie pojazdu. Znalazł, czego szukał.

-Pospiesz się, guzdrasz się jak baba, jak rany... - biadolił Karol. Andrzej wystawił prawą rękę uzbrojoną w groźny lizak i zaczął machać idiotycznie z góry na dół. Zgodnie z przepisami. Według dzielnych ustawodawców ten lizak w dłoni stróża prawa był niczym sygnalizator świetlny. I tak kierowca miał reagować. Lizak góra - dół, a w umyśle kierowcy pojawia się myśl - ding! -Czerwone światło. W umyśle tego kierowcy widać lizak nie pobudził żadnych komórek nerwowych, nie zaszła oczekiwana reakcja. Samochód nadal jechał. Andrzej spoglądał na oblicze szofera. Pod kapelusikiem nalana twarz, ciemne brązowe oczy w skupieniu spoglądające w jeden punkt, jakby na środek własnej kierownicy. Jadący fordem kierowca od dłuższego czasu ani razu nie spojrzał przed siebie, na drogę, tylko tępo wpatrywał się w dół.

- Ty, Karol, on jest chyba nawalony, jak stodoła po żniwach. Zrób mu didudidu. - Andrzej z ubawieniem zwrócił się do Karola, a ten włączył na króciutko syrenę zamontowaną w radiowozie. Ciszę ulicy przeszył krótki, przejmujący dźwięk, jakby wilk zawył. Kierowca forda spłoszony poderwał głowę, rozejrzał się na boki. Dostrzegł lizaka trzymanego w rękę Andrzeja. Kiwnął głową, że rozumie i zaczął zwalniać. Karol gwałtowniej i mocniej nacisnął na hamulce, zatrzymując się za kontrolowanym samochodem. Karol pośpiesznie zanotował numery rejestracyjne samochodu stojącego przed nimi.

- No, młody, do boju - rzucił w kierunku Rafała - Pokaż, co potrafisz synku.

42

43

Rafał wysiadł i pomału zaczął zbliżać się do samochodu stojącego przed nim. Czuł, jak serce mocno wali mu z emocji. Po raz pierwszy miał wystąpić w tej roli, roli kontrolującego. Osoby, która ma władzę z mocy istniejących przepisów nad innym człowiekiem. Tylko czy ta osoba o tym wie? A może ten kierowca szybko zorientuje się, że to żaden policjant, tylko zwykły Rafał przebrany przez przypadek w łachy policyjne. Jego zaniepokojenie powiększał fakt, że przez zaciemnione szyby samochodu, nie widzi nic, co się dzieje w środku.

- Może tam już na mnie kałacha szykują? - przemknęło mu przez głowę. Zaraz skarcił się też za takie myśli. Te stare przechery, Karol z Andrzejem nawciskali ci kitów, a ty łykasz wszystko, jak głodny pelikan świeże rybki. - Nie mniej uspokoił się, gdy po wyjściu z radiowozu usłyszał głos Karola mówiącego do Andrzeja - Idź z nim. Usłyszał trzask otwieranych drzwi z tyłu. Obrócił się nieznacznie i dostrzegł, że Andrzej gramoli się z wozu, stając za otwartymi drzwiczkami napisem „POLICJA” jak za tarczą. Patrzył znudzonym wzrokiem w ślad za Rafałem. A ten zdążył już podejść do drzwiczek kierowcy. Z sierry wydobył się najpierw brzuch, a potem reszta wielkiego cielska kierowcy, który w całej okazałości patrzył chmurnie na Rafała spod runda wymiętego kapelusza.

- Dzień dobry, kontrola drogowa, posterunkowy Rafał Wo-lejski, bardzo proszę o dokumenty do kontroli: prawo jazdy, dowód rejestracyjny, ubezpieczenie OC - spokojnym, równym głosem obwieszczał Rafał przepisową formułkę zadyszanemu wielkoludowi w kapeluszu. Rafał wygłaszając te sakramentalne słowa, szybkimi spojrzeniami lustrował samochód i wielkoluda górującemu nad nim o głowę. Dostrzegł na przednim fotelu obok kierowcy dwie bele dywanów, zwinięte w rulony i powiewające brudnoszarymi frędzelkami. Z tyłu na fotelu pasażera dostrzegł zwalistą kobietę o piersiach wielkości arbuźów i jeszcze większym brzuchu, o czarnych połyskliwych, związanych w koński ogon włosach. Stała ku Rafałowi promienny uśmiech. Wrażenie promienności jej uśmiechu potęgowało słońce, dziwnym trafem odbijające się w postaci zajęczka od przedniego, szczerozłotego siekacza. Obok cycatej siedziała druga, podobnych gabarytów kobieta. Dostrzegł również mimochodem Andrzeja, który niespiesznym krokiem w czasie przemowy Rafała stanął przy kierowcy, lekko wciągając w nozdrza powietrze. Badał metodą organoleptyczną, czy kierowca nie jest pod tak zwaną datą. Po czym równie niespiesznie zawrócił na swoje stanowisko.

- Panie władzo, o co chodzi? Dlaczego mnie prześladujecie, co ja wam zrobiłem - z dziwnym i silnym akcentem przemówił kierowca. Teraz Rafał dostrzegł, że włosy, wysypujące się spod kapelusza też są kruczoczarne, choć poprzetekane siwizną. Skóra zaś jest silnie śniada. - Przecież jadę sobie spokojnie, nikogo nie zaczepiam, nie złamałem żadnych przepisów, a tu tak policja mnie z samego rana zatrzymuje.

- Proszę pana... - Próbował nawiązać dialog w myśl nauk odebranych przed kilkoma minutami od Andrzeja. Niestety, poniósł klęskę. Człowiek w smętnym kapeluszu mówił coraz głośniej, coraz szybciej, coraz bardziej lamentliwie.

- No dlaczego pan mnie tak traktuje, ja biedny człowiek, nikogo nie zaczepiam, do domu jadę.

- Ale, proszę pana ...

- Pan taki młody, a tak złośliwie traktuje biednego, schorowanego człowieka? Za co, za to że jestem Cyganem, tak?

- Ale, proszę pana ...

- Bo Polaka to by pan nie ruszył z samego rana, a jak Cygan to już można z nim wszystko tak? Proszę, to są dokumenty - wręczył Rafałowi zwitek wymiętych papierków, jakby wręczał mu oszczędności całego życia, podstępem przez Rafała wydarte spod serca. Rafał czuł, jak fala gorąca zalewa mu twarz. Usiłował coś powiedzieć, ale ten dziwny mężczyzna zalał go po prostu swoją wymową, wmawiając Rafałowi intencje, których ten wcale nie miał. On tylko chciał sprawdzić dokumenty i cześć. A tu ten Waligóra strzelił mu taką mówkę, że Rafał poczuł się wręcz winien tego, że zakłócił temu człowiekowi spokój. W dodatku te zarzuty o rasistowskie zapędy nie dość, że do żywego ubodły Rafała, to jeszcze spowodowały takie poczucie winy, że Rafał nie mógł użyć głośnych i stanowczych słów ucinających tę zabójczą przemowę. Byłby to zdaniem Rafała dowód, że jest ra-sistą. Brak z kolei stanowczej reakcji powodował coraz większy

44

45

zalew słów. Jedynym pragnieniem Rafała było oddać mu te dokumenty i niech sobie jedzie gościu w świat szeroki. Rafał przez ten słowny zalew zapomniał, co ma właściwie sprawdzić, a spod wymiętoszonego ronda świdrowały go te brązowe oczy o kpiar-skim spojrzeniu. Waligóra osiągnął efekt, o jaki mu chodziło.

- Pan taki młody, taki przystojny, a tak pan ludzi traktuje.

- Panie kierowco - gromkim głosem zawołał Rafał, ale jego krzyki i dąsy nie zrobiły najmniejszego wrażenie na wielkoludzie. A ten cały czas zalewał go potokiem słów, mówiąc o ciężkim życiu, o tym, że sam musi utrzymać chorą, słabą żonę i jej siostrę, o swoim małym synku, którego głośny wrzask od pewnego czasu rozrywał ciszę spokojnego poranka. Tak wciąż mówiąc lekko chwycił ogłupiałego Rafała, wciąż trzymającego w dłoni zwitek papierów, w które nie zdążył jeszcze nawet spojrzeć. A Waligóra lekko złapał Rafała za ramię podprowadził bliżej samochodu. Przedstawił mu żonę i siostrę, zobaczył też małego synka w ramionach, wciąż głośno wyrażającego swe niezadowolenie. Właściwie, to synek powinien być chyba w specjalnym foteliku? Opowiedział mu również o swojej nocnej podróży spod Mławy, gdzie u kuzyna nabył okazjnie wspianiałe dywany, używane, ale naprawdę w dobrym stanie. Podróż była nocna, gdyż Waligóra unikał w ten sposób korków. A jeśli pan władza sobie życzy dywanik po kosztach własnych, to proszę bardzo. Rafał czuł się, jak idiota. Nie wiedział, jak się wyplątać z tej sytuacji. Co go obchodziły żona i jej siostra tego obcego mężczyzny? Jakie dywaniki? On chciał skontrolować dokumenty, a facet najpierw go napadł sugerując, że Rafał wręcz go prześladuje z rasistowskich pobudek, aby po chwili wszczać przyjacielską gadkę o życiu, przedstawić mu rodzinę, wciąż nie dając myślom w skolataną głowinie Rafałowej się pozbierać. Nie chciał przerywać Waligórze, bo by wyszedł na gbura. Cały czas myślał, jak tu się zabrać do przejrzania dokumentów, a poczuł, że ktoś usiłuje mu je wyjąć z zaciśniętej dłoni. Spozstrzegł z niedowierzaniem i rozbawieniem, że

Waligóra, zapewniając Rafała o dozgonnej przyjaźni prawą ręką przyjacielsko poklepuje go po plecach, a lewą usiłuje odebrać swoje dokumenty. Najwyraźniej uznał kontrolę policyjną za zakończoną.

- Ratunku, pomocy - wołał w myślach nieszczęsny policjant - czy mam się z nim bić, o dokumenty, czy jak?

- Posterunkowy, pokażcie dokumenty pojazdu kierowcy - przybyła nieoczekiwana odsiecz w postaci Karola. Jak kawaleria w starych amerykańskich westernach. Rafał odsapnął w myślach. Waligóra wyprostował się i jakby z rezygnacją i ociąganiem opuścił ręce. Rafał zdążył jeszcze zauważyć szeroko uśmiechniętą twarz Andrzeja. Cwaniaczek. Rafał przekazał zwitek dotąd kurczowo trzymany w rękę Karolowi, który z poważną miną zajął się ich przeglądaniem.

- Panie władzo, no przecież pana kolega wszystko już sprawdził, wszystko jest w porządku. Dziecko śpiące, żona, panie władzo, proszę puścić - rozpoczął swoje czary Waligóra, kierując je tym razem w kierunku Karola.

- Nie jest w porządku ... - Karolowi przerwał groźny, agresywny ton kierowcy, który tym razem zażądał numerów służbowych policjantów grożąc powiadomieniem stosownych instytucji.

- Cisza! - wrzasnął Karol i w głuchej martwocie, jaka zapanowała zaczął bardzo powoli mówić patrząc prosto w oczy Waligóry, który z każdym słowem robił się coraz mniejszy.

- Proszę pana, chce pan nasze numery służbowe, proszę bardzo. Dostanie pan numer służbowy, numer legitymacji i wszystkie potrzebne panu informacje do złożenia na nas skargi zgodnie z wymogami ustawy o policji, na którą się powołuje. Jak również zapewne panu wiadomo, zgodnie z ustawą jestem zobowiązany jej panu udzielić. Ale ustawa nie mówi, kiedy mam jej udzielić. Ja ich panu udzielię z przyjemnością, ale po dokonaniu kontroli, a jeżeli będzie pan ją utrudniał, to za moment zapozna się z numerem mojego buta i wyląduje pan na glebie z rękami skutymi do tyłu.

- To dlatego, że jestem Cyganem tak! - powrócił do głównego wątku Waligóra, chciał coś jeszcze dodać, ale Karol nie dał mu się rozwinąć.

- Nie interesuje mnie, czy pan jest Cyganem, Polakiem, czy też Szachem Perskim. Pana zafajdolonym obowiązkiem jest poddać się kontroli, zgodnie z obowiązującymi przepisami. Jak się panu te przepisy nie podobają, proszę zwrócić się do sejmu, pre-

46

47

zydenta lub samemu złożyć projekt stosownej ustawy. Ale teraz obowiązują stare przepisy. Mówi pan, że wszystko jest w porządku, a ja już widzę, że badania techniczne pojazdu są nieważne, pana dziecko powinno być przypięte pasami w specjalnym foteliku, a pan w czasie jazdy nie używa kierunkowskazów. Proszę pokazać mi trójkąt i gaśnicę.

- Panie policjancie, badanie dopiero dwa dni temu się skończyło, zapomniałem na stację pojechać, naprawdę, przecież nie będzie pan krzywdził człowieka za głupie dwa dni...

- Proszę pokazać trójkąt i gaśnicę, wewnątrz samochodu nie widzę. Czy są w bagażniku? Proszę otworzyć bagażnik - Waligóra lamentując nachylił się do wnętrza samochodu. Uchylił klapę. Pod nią znajdował się pojemnik bagażowy, w którym walały się różne śmieci: stara, skórzana torba pełna pojemników po smarach i olejach, kluczach nasadowych, jakaś samotna, przezroczysta butelka plastikowa z tajemniczym niebieskim płynem, koło zapasowe.

- Nie mam trójkąta, wczoraj dzieciak brata bawił się nim i połamał. A gaśnica jest tu.

- Skończył jej się atest.

- Panie władzo, naprawdę będzie pan się czepiał takich głupot? Czy nie szkoda pańskiego czasu?

- Szkoda to umierać.

- Święte słowa, święte słowa, panie władzo, no chyba dogadamy się jakoś? Niech pan nie będzie taki zasadniczy.

- Zapraszam do radiowozu, wyjaśnimy te niejasności. Proszę o dowody osobiste pań podróżujących razem z panem. Rafał - Karol zwrócił się do Rafała, który czuł, że jest czerwony od stóp do czubków swoich włosów - weź dokumenty, zanieś Andrzejowi niech odnotuje kontrolę w notatniku, sprawdzi kierowcę i pasażerki, czy nie są poszukiwani oraz samochód, czy nie jest kradziony.

W chwilę później siedzieli w radiowozie, czekając na wyniki sprawdzeń. Waligóra zaprzestał swoich sztuczek. Po prostu siedział zrezygnowany, czekał na to, co mu los przyniesie. Co mógł, zrobił. Reszta była w rękach policjantów. Rafał miał nadzieję, że Karol nie będzie zbyt surowy dla Waligóry, który wzbudził jego

sympatię. Niepotrzebnie się wygłupił na koniec, chcąc wziąć Karola na huki. Benio przez radio dał znać, że ani Waligóra, ani pasażerki i samochód nie są szukani. Karol myślał chwilę, stukając dokumentami o kciuk prawej dłoni.

- No i co mam zrobić z panem, panie Kwiek - Karol zwrócił się do Waligóry - Nosi pan królewskie nazwisko, a zachowuje się jak dzieciak.

- Ma pan rację, panie władzo. Ale co mam robić. Pracy nie ma, Cygana nikt nie weźmie, bo Cygan kradnie - Waligóra wydał usta we wzgardliwym grymasie. - Szkół nie mam. A tu zapłać za to, siamto, tu na benzynę, a tu na towar. Jakoś muszę sobie radzić. Nie jest lekko. Dzieci wykarmić jakoś trzeba. Chciałem uniknąć tej sytuacji, w jakiej teraz jestem. Prawie mi się udało. - Lekko uśmiechnął się, patrząc na Rafała, który czuł, że płonie.

- No dobra, dmuchnij pan jeszcze w balonik, dla pewności - wynik dmuchania zadowolili Karola, bo powiedział do Waligóry, że dziś skończy na pouczeniu o konieczności zrobienia badania. I jeśli przy następnej kontroli Waligóra nadal nie będzie miał ich ważnych, to wystąpi z wnioskiem o ukaranie do kolegium.

- Dlaczego nie używa pan kierunkowskazów podczas zmiany pasów ruchu? - kończąc, spytał Karol.

- A wie pan, żarówki oszczędzam - uśmiechnął się ponownie Waligóra.

- A czemu pan nie patrzy w czasie jazdy na drogę, tylko na kierownicę - nie wytrzymał Andrzej. Myślałem, że jest pan narą-bany.

- Po drodze miałem problem z samochodem. Mechanik powiedział, że mam nie przekraczać trzech tysięcy obrotów, no to patrzyłem na licznik.

- O matko - westchnął Karol - Idź pan już, niech pana nie oglądam.

- Dzięki, panowie, do widzenia - Waligóra odzyskał werwę i bardzo szybko wyszedł z radiowozu, bojąc się, że policjanci jeszcze zmienią zdanie.

- Dlaczego nie wywaliłeś mu mandatu, czemu nie zabrałeś dowodu? - spytał Andrzej - On nas straszy prokuraturą i sądem,

48

49

a ty tak spokojnie go puszczasz? Ja bym mu nie darował - mruknął Andrzej.

- Daj spokój Andrzej. Spójrz na niego, to przecież bidota. Chcesz go jeszcze karać? Dla nas żaden wynik wystawiony mandat. A dla niego, to problem wysupłać tych parę groszy.

- Tak, jasne - ironicznie przerwał Andrzej - miękkie masz serduszko, panie sierzancie.

Uśmiechnęli się do siebie i jak na komendę odwrócili w kierunku Rafała. Biedak, nie za bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Czuł się jak ostatni kretyn. Ciekawe, jak skomentowałby jego zachowanie Sosnowski, gdyby wiedział o jego popisie. Ciekawe, jak on zachował by się na moim miejscu, gdyby to on natknął się na tego gościa - myślał Rafał.

- Pierwsze koty, za płoty, drogi Rafale - powiedział Karol. - Trafiłeś na twardego zawodnika. Myślę, że następna kontrola pójdzie ci jak z płatka. - Rafał czekał na kazanie, ale rozczarował się.

- Zrobimy tak, panie magister - Karol uruchomił silnik i rozpoczął kolejną rundę objazdu ich dzielnicy. Jego słowom towarzyszył głos Benia ze stacji, wydającego załogom pierwsze dyspozycje - Zobaczyłeś już, że teoria teorią a praktyka praktyką. Wiesz już, że taki bezpośredni kontakt z obywatelem, to nie to samo, co kaszkę z mlekiem na śniadanko wtrząchnąć. - Rafał uświadomił sobie, że stary cwaniak Karol celowo wsadził go na galopującego konia każąc samodzielnie kontrolować samochód. Faktycznie, umie grubas uczyć pokory. Niech go gęś kopnie. - Do interwencji idziesz z Andrzejem. Patrzysz na to, co on robi, słuchasz, co mówi. Patrzysz na ludzi i uczysz się ich reakcji. Pamiętaj. Jeśli coś wydaje ci się nie tak, to jest nie tak. Pilnuj się wtedy. Nigdy nie wiesz, na co trafisz. Wykonuj wszystkie jego, lub moje polecenia. Zero własnej inicjatywy. Jak coś cię gryzie, pytasz po interwencji. Poniał?

- Kanieczna, tawariszcz' kamandir - Rafał ruchem krasnoarmiejca przytknął dłoń do czoła.

- Jedziemy młody zwalczając patologię społeczną - zaczął swój ulubiony wywód Karol.

Andrzej przyglądał się jego przymrużonym z radości oczom. Emanował jakąś radością do życia. Dał się za to lubić. Te jego

jaśniejsze, dobre ja. - A wiesz młody, co to patologia społeczna? - Andrzej przypomniał sobie, jak słuchał tej definicji pół roku temu, siedząc na miejscu Rafała. Dokładnie tak samo jak on teraz, musiał wtedy czuć się Śliwa. Obrócił się w kierunku swojego załoganta, chcąc widzieć jego wyraz twarzy, gdy Karol zakończy swój wykład. Bardzo żałował, że przez to nie widział miny Karola, gdy Rafał poczęstował go trzema definicjami tego zjawiska społecznego. Naprawdę, szkoda - pomyślał Andrzej. Nagle przykuł ich uwagę, podniecony głos dobiegający ze stacji. Trzeszczała szybko, podniesionym głosem, z tła dał się słyszeć warkot silnika tamtej, nadającej komunikat załogi.

- To Pietrzak z Tedim - powiedział Andrzej pokręcając potencjometr stacji. - Coś im daje dyla.

- Czarny opel kadet w środku dwa młode łby, nie zatrzymał się do kontroli jadę za nim. UWAZAJ! ... cały czas siedzę mu na ogonie. Wali główną ulicą jestem na wysokości ... poszedł w kierunku śródmieścia, widzę go - krzyczała stacja.

- Widzę cię, jestem za tobą Tedi - kolejna załoga wchodziła do pościgu.

- 140 00 do 215 zabezpieczam od północy.

- Zrozumiałem - Benio rozsądnie w takich chwilach nie wtrącał się pozwalając na pełną swobodę w eterze. Rafał poczuł, że serce o mało mu nie wyskoczy z emocji - pościg, będą brał udział w pościgu - kołatało się po głowie.

- Karol, dawaj jesteśmy obok - Andrzej patrzył wyczekująco na kierowcę.

- Zaraz pójdą dalej, nie warto, idą na śródmieście - próbował ocalić spokój poranka Karol.

- Dawaj, zgredzie - spał go niczym ostrogami Andrzej. Karol ruszył z piskiem opon, Andrzej zaś przekręcił gałkę w małym, czarnym pudełeczku i ich radiowóz, obok spazmów katowanego silnika wydał z siebie przejmujący skowyt wyjącej syreny.

- 00 cały czas siedzę mu na ogonie, proszę o zgodę na opuszczenie dzielnicy, zaraz wjadę na śródmieście.

- Wyrażam zgodę, informuję o pościgu śródmieście i Komendę Stołeczną.

- Tedi, gdzie jesteś - darła się stacja - Dawaj na bieżąco.

50

51

- Podaj blachy, Tedi blachy!!!

- Niepodległości kierunek rondo ONZ, na wysokości Batorego, podaję blachy Wanda Jadwiga Zuzanna 3456 w środku dwa młode łby.

- Błąd robią, że wałą do centrum miasta - mruknął Andrzej. Rafał z niepokojem obserwował ze swojego miejsca idącą

wciąż w górę wskazówkę prędkościomierza. Samochodem rzucało i szarpało. Silnik wył na najwyższych obrotach. Zakręty brali z piskiem opon, Rafał czuł, że samochód wpada wtedy w poślizg. Miał nadzieję, że kontrolowany przez Karola. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu pasów bezpieczeństwa. Przeżył kolejne rozczarowanie tego dnia. Pasy były, ale nie było do czego ich przypiąć. Złapał się kurczowo pałączka nad drzwiami. Obserwując z duszą na ramieniu migające za oknami samochody poparkowane na chodnikach, umykające w szalonym tempie bloki oraz uskakujące w ostatniej chwili spod kół koty zrozumiał, dlaczego te pałączki noszą nazwę „cykorłapek”. Wskoczyli z piskiem opon w Aleje Niepodległości, w pędzie zostawiając za sobą budynek Głównego Urzędu Statystycznego. Andrzej, gdy przelatywali przez skrzyżowania z Wawelską, która po ich prawej zmieniała się w Armii Ludowej rzucił szybko okiem w daleką panoramę ulicy. Usiłował dostrzec pomnik „Jazdy Polskiej” - pędzącą na wysokim cokole grupę jeźdźców od chrobrowych wojów do ułanów z 1939 roku, pędzących jak oni do boju. Nie zdążył. Przelecieli przez skrzyżowanie, migiem dolecieli do budynków Politechniki, na skrzyżowaniu z Koszykową mało nie gubiąc kół na muldach, pomiędzy którymi biegną tory tramwajowe.

- Poszedł w prawo, w prawo - stacja aż ochryła z emocji.

- Ale gdzie, gdzie, podawaj gdzie jesteś!!!

- No tu cholera, w prawo, prawo w bloki!!!

- Gdzie w prawo, kretynie, jakie bloki?

- Świętokrzyską, poszedł Świętokrzyską!!!

Karol słuchał uważnie stacji, nagle przyhamował i skręcił w prawo w Hożą. Mknęli teraz wąskim wąwozem ulicy, bliskość starych, cudem ocalałych z pożogi wojennej kamienic potęgowało wrażenie pędu. Jakimś cudem wszystkie koty i stada gołębi zdążyły przed oszalałą maszyną. Wnętrze samochodu, oprócz wszechobecnego smrodu spalin zappełnił swąd palonych hamulców.

- Mamusiu, mamusiu, czy jeszcze zjem schabowe twojego autorstwa? - myślał Rafał nostalgicznie, uwieszony z rezygnacją „cykorłapki”.

- Co robisz? - krzyknął Andrzej, gdy pozbierał się po nagłym manewrze Karola.

- Może będzie wracał Marszałkowską, przetniemy mu drogę. Na razie lecimy równolegle.

Wyjmij plan, pilotuj - Andrzej na słowa Karola zanurkował w skrytce, wyciągnął sfatygowany zwitek luźno fruujących kartek, który kiedyś, w swoich lepszych czasach był planem miasta.

- A jak polecisz z powrotem w górę w kierunku Krasińskich?

- To i tak jesteśmy z tyłu, niewiele tracimy.

- Zgubiłem, zgubiłem go!!! - darła się stacja z rozpaczą.

- Na światłach poszedł prosto!!! Widzę go!!! Dolatuje do Marszałkowskiej, jestem za daleko, nie zdążę!!!

-Poszedł w prawo w Marszałkowską, w Marszałkowską!!! Nie widzę go, jestem jakieś 500 metrów z tyłu!!! - stacja cały czas skrzeczała, darła się ochryple kakofonią dźwięków, w tle słychać było wycie syren.

- Za moment dojedziemy do skrzyżowania - spokojnym opanowanym głosem powiedział Karol do chłopaków. Jak zobaczymy tę czarną strzałę, wylatuję i spróbuję zablokować mu drogę. Chyba nie jest na tyle cwany, by skręcić w boczne uliczki. To jakieś cieniasy - Karol zaparkował na wygaszonych światłach na rogu Hożej z Marszałkowską. Wyłączył syreny. Wpatrywali się w lewo, w kierunku, z którego spodziewali się ściganej zwierzyny.

- Lecę Marszałkowską nie widzę go, daję w przód!!!

- Daję Świętokrzyską w kierunku Wisły, może tam się schował - skrzykiwały się wilki, złe, że jeleń umknął. Andrzej wyciągnął rękę ze wskazującym palcem. Karol dostrzegł go w tym samym momencie, chwycił kierownicę gotując się całym ciałem, jak tygrys do skoku.

Andrzej zdążył jeszcze krzyknąć w eter komunikat o zlokalizowaniu zwierzyny, gdy

wyprysnęli na wprost pędzącego wozu. Kierowca tamtego pojazdu wyraźnie się spłoszył, gwałtownie szarpnął kierownicą w lewo. Dodatkowo ośle-

52

53

piły go reflektory radiowozu zapalone przez Karola i nagły ryk ponownie włączonych syren. Kierowca opla, chcąc uniknąć kolizji zaczął gwałtownie hamować, ale siła bezwładności rzuciła go na torowisko. Odbił się od wysokiego krawężnika, wozem zarzuciło, obracając go wokół własnej osi. Radiowóz zatrzymał się równocześnie z oplem, tuż przed nim. Z tyłu widać było niebieskie światła nadciągającego stada w wyciu i gwizdzie. Drzwi kierowcy i pasażera opla otworzyły się równocześnie, dwie postaci szybko przebierając nogami usiłowało oddalić się z miejsca zdarzenia. Rafał, nim zdążył do siebie zorientował się, że jest już w radiowozie sam, szarpnął klamkę wypychając drzwi. Widział majaczące sylwetki Karola i Andrzeja dobiegające do jednego z uciekających.

- Stój, policja!!! - dobiegł go radosny krzyk Andrzeja - mają go - pomyślał z podziwem i zazdrością. Z pewnym zdziwieniem zarejestrował przemieszczające się znaki drogowe, zorientował się, że biegnie. Instynktownie ruszył w pościg za majaczącą po drugiej stronie torowiska drugą sylwetką. Uciekający na moment zawahał się, widząc zajeżdżające mu drogę radiowozy, spróbował zmienić kierunek biegu, co wybiło go z rytmu, przez co wytracił prędkość. Dzięki temu Rafał drastycznie zmniejszył dystans. - Gdzie policja, gdzie ta policja? - myślał gorączkowo, po chwili uświadomił sobie, że to on jest policją. Uciekający obejrzał się, dostrzegł goniącego go Rafała, potknął się o krawężnik i wyłożył jak długi. Niestety jednych, jest czasami szczęściem drugich. Rafał w ułamku sekundy siadł mu na plecach wykręcił ręce i założył kajdanki. Właśnie dokonał swojego pierwszego zatrzymania.

54

Rozdział 2

Jak co rano, komisarz Sochacki wstał o godzinie 6.00, krótka gimnastyka podczas której usiłował zignorować strzykanie w kręgosłupie. Kilka przysiadów, kilka pompek. Potem toaleta, szybki prysznic, golenie i wszystkie poranne ablucje i ukoronowanie poranka - spacer z Futrzakiem, wielkim kudłatym psem rasy bliżej nieokreślonej. Pies widząc swojego pana przy codziennych porannych czynnościach rozpoczął swoje: ziewanie, przeciąganie, drapanie się tylną łapą za uchem, po czym poranny obchód domowników. Gdy Sochacki wstawał, żona nie potrzebowała budzika. Futrzak podchodził do łóżka i trącał ją zimnym, czarnym nosem w łokieć domagając się pieśczot. Półprzytomna drapała go po kosmatym łbie. Najchętniej nakryłaby się kołdrą, ale wtedy zwierzak powędrowałby ku łóżkom dzieci. Niech sobie jeszcze pośpią. Podczas tej jednej, jedynej chwili poranka żałowała, że jej mąż nie jest już zwykłym policjantem latającym o różnych dziwnych porach w jeszcze dziwniejsze miejsca i zakamarki. Czasami przychodził do domu na cztery godziny. Spał, jadł szybki posiłek i ledwo się obmywszy i zmieniwszy bieliznę zniknął znowu. Modliła się wtedy, by zmienił pracę, na taką, co to wychodzi się na 8 i wraca o 16, a następnie zapomina o niej na następne 16 godzin. Takiej z wolnymi sobotami i niedzielami, świętami, które można spędzić w rodzinnym gronie. Na taką, by ona nie musiała się codziennie modlić o powrót męża.

Rok temu komisarz Sochacki został naczelnikiem wydziału operacyjno-rozpoznawczego na swojej komendzie rejonowej,

55

kierując wydziałem, w którym lata przepracował. Teraz, jako naczelnik prowadził nieco bardziej uregulowany tryb życia. To jej bardzo pasowało. Tylko teraz natrętna morda Futrzaka chuchająca smrodem wczorajszego żarcia z wielkiej paszczyki, trącająca zimnym nosem o tak nieludzkiej godzinie domagając się pieśczot, sprawiała, że przez tę jedną chwilę marzyła o powrocie do dawnych czasów. Futrzak kochał swojego Pana miłością wielką i żarliwą, ale wiedział, że w sprawach wstawiania, spacerów i posiłków ważniejsza jest Pani,

Jadwiga. A ona mogła spać spokojnie o te pół godziny dłużej. A teraz Futrzak uznawał, że skoro wstał Pan, to reszta też musi. I wytłumaczył zwierzakowi, że nie ma racji. Gdy wreszcie obaj z małżonkiem znikali za drzwiami, wstawała i zaczynała szykować śniadanie dla siebie, męża i dzieci.

O godzinie 7.55 komisarz Sochacki, w eleganckiej białej koszuli, pod krawatem w granatowo-niebieskie prążki przekroczył próg komendy. Jak zwykle pierwsze kroki skierował do dyżurki. Panował tam Chaos, dosłownie i w przenośni. Widząc motającego się z paniką w oczach kapitana Chaosu ograniczył się jedynie do zdawkowego „dzień dobry”. Przy innych oficerach dyżurnych dowiadywał się w skrócie o najważniejszych wydarzeniach z nocy. Jak zwykle przy Kapitanie Chaosie, było to niemożliwe, jego całe jestestwo przepełniała panika i przerażenie spotęgowane świadomością nieuchronności spotkania z komendantem i koniecznością zdania dokładnej relacji z ostatnich 12 godzin. Sochacki poczłapał ospale po schodach, mijając na półpiętrze smętną, palmopodobną roślinkę.

- Jak ona u licha ma rosnąć, skoro tu nawet okna nie ma - jak co rano pomyślał Sochacki. Gdy wgramolił się na trzecie piętro zastał sekretariat otwarty, a wewnątrz krzątającą się żwawo rudowłosą Justynę.

- O witam pana naczelnika, zaparzyłam już kawę - uśmiechnęła się do niego.

- Pani Justyno, jest pani boska - powiedział wchodząc do swego gabinetu - Kto już jest?

- Mignęli mi Grzesiak i Buczko - wymieniła nazwiska kierowników sekcji „zbójców” i „mieszkaniówki” wnosząc na tacy kawę, cukiernicę i łyżeczkę.

56

-Dziękuję pani, pani Justynko - dziewczyna postawiła tacę na biurku i wyszła do siebie, zostawiając uchylone drzwi. Usiadł za biurkiem, tyłem do okna mając na wprost siebie dwa stoliki z wczesnych lat siedemdziesiątych, przykryte zielonym kilimkiem, dzielnie od dwudziestu lat imitujące stół konferencyjny. Sochacki usiadł, nasłuchując narastającego gwaru w sekretariacie. Terkot telefonu, rozmowy przychodzących policjantów podpisujących listę. Ten o coś pyta, ten coś odkrzykuje. Codzienny młynek. Sochacki wpatrywał się w filiżankę. Czerń płynu silnie kontrastowała z bielą naczynia. Czuł jej intensywny zapach. W takich chwilach życie było piękne. Wpatrując się w kawę i wdychając jej aromat cofnął się myślami do czasów swojej służby w jednostce wojskowej, gdzie zrzędzeniem losu pełnił funkcję pisarza kompanii. Do jego obowiązków należała obsługa kancelarii. Do nieformalnych obowiązków należało przyniesienie dowódcy posiłku ze stołówki, parzenie kawy i herbaty. Jak również zmywanie po tych posiłkach. Jego porucznik nie był złym chłopcem, traktował ludzi dobrze, więc nie była to złośliwość ze strony Sochackiego. Ale gdy Sochacki wspomniiał ścierkę, którą wraz z drugim pisarzem wycierał zarówno podłogę, swoje buty jak i szklanki i talerze porucznika ponownie dopadło go poczucie winy. Poprządził sobie wtedy, że choćby nie wiem, jak poważną funkcję będzie pełnił, herbatę i kawę będzie parzył sobie sam. A teraz siedział nad kawą zaparzoną przez jego sekretarkę, Justynę.

- Wrzątek i tak wszystko dezynfekuje - pomyślał i siorbnął spory łyk delektując się smakiem kawy wiedząc, że czar tej chwili za moment przysnie.

- Jest już stary? - usłyszał z sekretariatu głos Grzesiaka. Po chwili on sam wparował energicznie do jego jaskini burząc ostatecznie resztki kawowej sielanki naczelnika. Zaczął się dzień jak co dzień w Wydziale Operacyjno-Rozpoznawczym jednej z warszawskich komend.

- Cześć, witam pana naczelnika - jowialnie i serdecznie przywitał go Grzesio Grzesiak, nazywany przez kolegów Giegie. Wysoki, chudy, równolatek Sochackiego, z nadal gęstą - ku zazdrości Sochackiego - czupryną i szorstkim krzaczastym wąsem.

57

Znali się z Sochackim jak łyse konie, w przeszłości wiele lat pracowali razem w zgodnym tandemie, wspólnie prowadząc sprawy. Mieli za sobą wiele sukcesów, porażek i litrów wypitych razem gorzały. Jednym z pierwszych posunięć Sochackiego po mianowaniu na

naczelnika było postawienie Giegie na czele sekcji zwalczającej przestępstwa przeciwko zdrowiu i życiu na terenie dzielnicy. Giegie przez dwa tygodnie stawiał twardy opór Sochackiemu, uległ dopiero, gdy dowiedział się, że komendant chce mianować na kierownika chłopaka świeżo po szkole oficerskiej w Szczytnie, bez żadnego doświadczenia w pracy. Ale przez tydzień po przyjęciu nominacji nie odzywał się do Sochackiego. Obaj wiedzieli, że objęcie kierowniczych stanowisk diametralnie zmieni ich życie, narazi na szwank ich przyjaźń. Po tygodniu udało im się utopić rozterki w sporych rozmiarów butelczce i rozpoczęli nowe rozdziały w księgach swego życia.

- No cześć, siadaj - naczelnik wskazał krzesło - kawy? - nieśmiało i z nadzieją spytał z góry znając odpowiedź.

- Nie dzięki. Słuchaj, na rano przyszedłem tylko ja i Chińczyk. - Giegie, jak większość policjantów posługiwał się ksywka-mi. - Jemu przydzieliłem do prowadzenia tę sprawę. Skończyliśmy dopiero dzisiaj o piątej rano. Chińczyk zna szczegóły, napisze notatkę wstępną...

- No właśnie, jeszcze musi wszystko dochodzeniówce przekazać.

- Tak, tak, reszta przyjdzie na 11 rano, mamy do zrobienia dwa przeszukania.

- Ale to dopiero, jak dochodzeniówka wszystko ogarnie, muszą uzyskać nakazy od Prokuratora.

- Tak, inaczej się nie da - Giegie westchnął ciężko.

- No i tych zatrzymanych musicie dowieźć z izby zatrzymań na przesłuchania do nas - Sochacki wysączył ostatni łyk ulubionego napoju.

- Dlaczego my - zirytował się Giegie - Dochodzeniowcy nie mogą czterech liter ruszyć? Zapyłamy drugą dobę praktycznie bez przerwy, wytypowaliśmy i zatrzymaliśmy zabójcę i jego po-magiera, niech się teraz oni trochę pomęczą.

- Grzesiu, nie da rady. My musimy to zrobić i nie pytaj, dla czego. Dam ci do pomocy ludzi z mieszkaniówki i samochodów ki, - Co samochodówki, panowie szlachta? - jak zwykle z rozmachem wparował stojący na czele sekcji od zwalczania przestępczości samochodowej Leszek Warecki. Energicznie podał rękę siedzącym w pokoju i sam zajął jedno z miejsc przed naczelnikiem.

Sochacki usadził się wygodniej w fotelu, smutno spojrzął na dno osuszonej filiżanki. - No widzisz, mamy kilku zatrzymanych, sekcja pierwsza jak wiesz drugą dobę ciągnie sprawę tego zabójstwa...

- A tak kojarzę, chodzi o ten napad na sklep, co zastrzelili ekspedientkę - Warecki szybko wszedł w temat.

- Tak - Sochacki potwierdził - trzeba wspomóc jedynekę, daj czterech chłopaków od siebie, trzeba pozamiatać do końca, po-konwojować zatrzymanych na przesłuchania do dochodzeniówki i takie tam - Sochacki zrobił nieokreślony ruch ręką. Warecki lekko się skrzywił.

- Wszystko fajnie, ale właśnie rozmawiałem z Beniem, radiooperatorem z dzisiejszej nocki. Nasza patrolówka w pościgu zatrzymała dwóch fajansiarzy...

- Tak? - Sochacki uniósł lekko brwi. - I będziemy ich obrabiać? - spytał.

- Nie - Warecki pomachał dłonią w przeczącym geście, drugą nerwowo stukając w grube szkło popielniczki gasił dopiero co przypalonego papierosa. Zapomniał, że Sochacki nie pali, nie chciał mu nadymić. - Nie, broń Boże. Nie zatrzymali się do kontroli i jak zaczęli nawiewać, to nasi ich dopadli dopiero na śródmieściu.

- Czyli śródmiejska komenda prowadzi sprawę. U nich było zatrzymanie, więc oni bujają się z kwitologią. Ale rozumiem, że chciałbyś się temu przyjrzeć z czysto operacyjnego punktu widzenia.

- Tak, chciałbym pogadać z zatrzymanymi zanim tamtejsi dochodzeniowcy zaczną ich na protokół słuchać, może coś ciekawego powiedzą...

- No to wyślij tam jednego, czy dwóch chłopaków, niech się koło tego zakrzatną. Notatkę z patrolówki masz?

58

59

- Nie, dopiero kończą kwity na śródmieściu i będą osadzać zatrzymanych na dołku.

- Czyli oficjalnie nie wiemy jeszcze nic ... Dobra, wyślij jakiegoś chłopaka na śródmieście, niech się przyjrzy tej sprawie. - Sochacki podjął decyzję. - Ja zadzwonię do komendanta na śródmieściu, naświetlę temat. Ty - zwrócił się do Wareckiego z lubością zaciągającego się świeżo zapalonym papierosem - Wyślesz tam chłopaka lub dwóch, niech się przyjrzą sprawie, nawiążą kontakt ze śródmiejską dochodzeniówką, jak „jeńcy” będą zmiękczeni przez naszych, może rozgadają się na protokół. - Sochacki przyglądał się z zainteresowaniem kółkom dymu tytoniowego puszczanym z wprawą przez Wareckiego. - A może w ogóle uda się namówić któregoś z „jeńców” na współpracę. Potrzebujemy informatorów w tym środowisku.

- Ja jestem tak ogólnie ciekaw, co to w ogóle za ptaszki są. Może przewijają się w naszych rozpracowaniach? - Warecki odłożył dymiącego papierosa na brzeg popielniczki i rozparł się wygodnie w krześle, odchylając się głęboko do tyłu, - Może przez nich uda się dotrzeć trochę głębiej? - kontynuował wyraźnie rozmarzony. Od dwóch miesięcy jego sekcja penetrowała dosyć głęboko środowisko złodziei samochodów. Zwerbowali do współpracy dwóch, działających niezależnie od siebie informatorów, przekazujących wiadomości na temat złodziejskiej szajki. Dzięki nim znany już był skład osobowy grupy, ich nazwiska, kontakty, pseudonimy. Ustalono adresy dwóch warsztatów współpracujących ze złodziejami. Zatrzymano czterech złodziei na gorącym uczynku. Jak do tej pory wszyscy konsekwentnie odmówili zeznań. Wciąż brakowało jeszcze namacalnych dowodów do rozbicia całej siatki przestępczej, a takim mogłoby się stać zeznanie złożone formalnie na protokół przed prokuratorem przez skruszonego członka gangu. Dlatego tak zależało Wareckiemu na rozmowie z zatrzymanymi w nocy złodziejami. Trzeba jak najszybciej złożyć im stosowną ofertę, zaoferować diabelski kontrakt sprowadzający się do bardzo prostej rzeczy - twoja wolność za wolność twoich kolegów. Praca policjanta operacyjnego czasami podobna jest do pracy sług szatana, jedni i drudzy handlują duszami. Cena wolności bywa wysoka.

- Tak czy siak, na razie wyślij tam jednego lub dwóch ludzi, niech zrobią, co należy na śródmieściu. Priorytetem na dziś jest zakończenie sprawy zabójstwa.

-No to z dzisiejszej zasadzki nici... - ze złością powiedział Warecki.

- Moje uszanowanie - w uchylonych drzwiach stanął Buczko, widząc siedzących w pokoju naczelnikowskim kierowników innych sekcji, lekko się zmieszał. Nie pamiętał, czy była wczoraj u licha zwoływana odprawa tak wcześnie, czy też coś się stało.

- Ups, nie będę przeszkadzał - chciał wycofać się rakiem. Dostrzegł, że głowa Giegie, dotychczas bezwładnie spoczywająca na jego piersi podniosła się. Giegie, wyraźnie wyrwany z drzemki, szybko mrugał oczami i rozglądał się wokół, jakby chciał zorientować się, gdzie jest i co tutaj robi, Warecki przypalał papierosa, zupełnie nieświadom, że w popielniczce cały czas dymi poprzednio zapalony, A Sochacki siedział zasępiony za swym biurkiem.

- Nie, nie, chodź, właśnie ustalamy „gryplan” na dzień dzisiejszy, siadaj - Sochacki brodą wskazał mu wolne krzesło. Po czym zwrócił się do Wareckiego, kontynuując wątek przerwanej dyskusji. - Mówisz o tej informacji z początku tygodnia, o tej dziupli samochodowej? Zdaje się, że robiliście już zaczajkę przedwczoraj i wyszła bryndza, kompletnie nic?

- Tak, dokładnie o tę informację chodzi. Zrozum, mamy całą grupę na widelcu, wiemy, co, kto, z kim, wiemy, kiedy który z nich idzie siusiu, teraz tylko trzeba zadać ostatni cios.

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że to właśnie w tym warsztacie przebijają numery, tam jest złodziejska dziupla. Jak wejdziemy ot tak sobie z marszu, a będzie tam pustka, to całą

naszą pracę trafi szlag. Musimy wejść wtedy, gdy na pewno będą walone fury. Musimy, niestety, czekać na sygnał od informatorów. Przedwczoraj mieli sprowadzić waloną furę, ale coś im nie wyszło. Dziś mają przywieźć dwie Beemki i mercedesa okularnika, te wózki poszły dzisiaj w nocy. Dobrze wiesz, że w tych sprawach trzeba wejść w stosownym momencie. Co z tego, że wiemy kto kradnie, jak nie ma na niego dowodów? Jak wejdziemy i nakryjemy ich z samochodami, to mamy całość, że najważniejsze ogniwo gangu trzaśnie, ktoś z zatrzymanych w kotle na pewno

60

61

pęknie i wysypie resztę, muszę mieć co najmniej trzy załogi na zasadzkę, nie ma innej opcji - coraz bardziej zapalał się Warecki, nerwowo podkreślając swoje słowa gestami. - Wyrwiemy chwasty z korzeniami, a nie tylko uskubimy kilka listków - gdy skończył to poetyczne porównanie zorientował się, że trzyma między palcami zapalonego papierosa. Uśmiechnął się przepaszająco i jak zwykle energicznie zabrał się do jego gaszenia. Zamarł w połowie tej czynności, gdy jego wzrok padł na popielniczkę i dostrzegł dymiącego papierosa, o którym zupełnie zdążył zapomnieć w ferworze dyskusji.

- Nie przejmuj się, wypał spokojnie - Sochacki z rozbawieniem obserwował wyczyny Wareckiego - No, a co u ciebie? - zwrócił się do przysadzistego Buczki, kierownika sekcji „mieszaniowej” zajmującej się kradzieżami i włamaniami na terenie dzielnicy.

- Właściwie spokój. Z tego co wiem, w nocy były ze dwa przyjęte włamania do mieszkań. Niczego szczególnego na dziś nie planujemy, chętnie wspomogę jedynekę i samochodówkę.

- No, to świetnie. - Sochacki uśmiechnął się. - Panowie, zaraz idę na odprawę do Komendanta, a my wiemy, co robić. Jak zwykle zapraszam na codzienną odprawę na dziesiątą. Przekażę sugestie i polecenia góry, jeśli takie będą. Ty Giegie, jesteś wolny, ustaw wszystko tak, by grało, dogadaj się z dochodzeniówką. Jak rozumiem - Sochacki zwrócił się do Wareckiego - wy jesteście w gotowości, pod telefonami? - Warecki przytaknął.

- O której przewidujesz działania? - wzruszenie ramion Wareckiego dobitnie podkreśliło gest rozłożonych w niemocy rąk. - Nie mam bladego pojęcia. Czekam na halo i tyle. - Sochacki skinął głową przyjmując do wiadomości to, co mu zakomunikował pracownik. - Czyli twoja sekcja w odwodzie? - pytanie do Buczki. Ten potwierdził aprobującym gestem.

- No to do roboty. Aha, jeszcze jedno, panowie - Sochacki wstrzymał wychodzących mężczyzn. - Ja wiem, że nie pracujemy w fabryce ołówków, ale proszę zwrócić uwagę chłopakom, by podpisywali listę. Jak który przychodzi nawet spóźniony, niech wejdzie i szrajbnie się. To naprawdę niepoważne, jak przez cały miesiąc lista świeci pustkami, a pod koniec zjawiają się zaległe podpisy.

- No niby masz rację - schrypniętym głosem odezwał się Giegie - Ale jest to nierealne ...

- Tak, wiem, co chcesz powiedzieć - przerwał mu Sochacki - że nie ma czasu, bo jesteście w terenie, bo kto by sobie głowę pierdołami zawracał. - Giegie uśmiechnął się aprobująco - ale jeśli nie daj Boże coś się komuś w robocie wydarzy, ktoś zostanie ranny, czy coś, to pierwsze kroki wszelkie komisje skierują tu, do sekretariatu i sprawdzą, czy koleś był w pracy. Ich nie interesuje, że stoi jeden z drugim dwie doby na zasadzce i nie ma kiedy listy podpisać. Nie ma podpisu, nie było człowieka na stanowisku pracy, nie ma odszkodowania. I kto dostanie po tyłku? Odbije się to bezpośrednio na chłopakach. Proszę, niech się podpisują w ciągu dnia. Przyniesie pismo do podpisu, niech od razu podpisuje się, dla własnego dobra.

- Tak jest, generale, zwrócimy swą czujność na to skandaliczne niedopatrzenie - zapewnił w imieniu wszystkich Buczko, ale błyski rozbawienia w oczach pozostałych nie pozwalały mieć naczelnikowi złudzeń, że jego tyrada cokolwiek zmieni. Lista była, jest i będzie podpisywana raz w miesiącu, chyba, że praca prawdziwie policyjna zmieni się w pracę pozorowaną za to zgodną z urzędniczymi kanonami. Tylko, co ze skutecznością? Tak rozmyślając Sochacki odmierzał czas do odprawy u komendanta rejonowego.

*

Karol wyraźnie poirytowany przemierzał niczym lew w klatce przestrzeń pomiędzy ścianami przejściówki na śródmiejskiej komendzie. Nerwowo zaglądał przez ramiona piszącym protokoły chłopakom, wciąż zły i naburmuszony po awanturze z tutejszym oficerem dyżurnym. Facet celowo robił trudności. Najpierw oświadczył, że nie przyjmie żadnych zatrzymanych, że nie jest to jego problem. W końcu po licznych telefonach na linii komenda stołeczna, komenda rejonowa zmiękł. Ale wciąż mu się protokoły i notatka nie podobały. Nie ten szyk zdań, to trzeba ująć inaczej. Doprowadzony do ostateczności Karol powiedział mu w końcu głośno i wyraźnie, co o nim i jego mamusi myśli. Ta

62

63

wymiana zdań nie przyczyniła się do poprawy wzajemnych relacji. Dyżurny i Karol okopali się na swoich pozycjach. Karol doskonale wiedział, o co chodzi tamtemu. Kolejne zgłoszenie wymagają uruchomienia wielu procedur i pracy całego sztabu ludzi. Oznacza to kilka godzin oględzin, przesłuchań, okazań itp. Psuje poza tym statystykę zwiększając liczbę zdarzeń na dzielnicy. Oficerowie dyżurni robią więc wszystko, by zniechęcić wszystkich wokół do składania jakichkolwiek zawiadomień. Sądząc po ostatnich badaniach opinii publicznej na temat zaufania do policji, czynią to bardzo skutecznie. Karol nerwowo zerknął na zegarek, męczyła go duszna atmosfera panująca na przejściówce, gdzie mieszały się wszystkie możliwe smrody tego miasta, duszny gęsty dym tanich papierosów, potu oraz zatęchłego brudu. Na szczęście ich gehenna dobiegała końca, zaraz skończą sporządzanie dokumentacji, dowiozą zatrzymanych do policyjnej izby zatrzymań w podziemiach Pałacu Mostowskich. Tam poprze-pychają się trochę z mającymi czas profosami, jak tutejszy oficer dyżurny mistrzami w wynajdywaniu problemów w dokumentacji. Karol z rozbawieniem przypomniał sobie, jak kiedyś podczas osadzania w Mostowskich zatrzymanego - ten tak zirytował się na profosów* opisujących treść i adnotacje z 300 wizytówek będących jego własnością, że wstał, zabrał im resztę karteluszek, przedarł i wyrzucił do kosza. Profos obojętnym wzrokiem przyglądał się temu wybuchowi irytacji, wrzusił ramionami i spokojnie zabrał się do opisu wzoru znajdującego się na sznurowadłach odebranych zatrzymanemu. Tak, profosi są naprawdę bardzo ciekawym gatunkiem człowieka, godnym osobnych badań. Z rozmyślań wyrwał Karola pomocnik oficera dyżurnego -telefon do ciebie, chodź do dyżurki. Karol drgnął, ruszył za pomocnikiem do aparatu. - Tak słucham? W słuchawce zachrobo-tało i odezwał się dobrze znany Karolowi głos Noiego.

- No i, no i jak długo jeszcze będziecie swoje tyłki grzać na komendzie?

- Jak długo się da, Heniu, a co się stało?

-Nie wiem, o co chodzi, ale tu jakieś wielkie zamieszanie Z tymi twoimi zatrzymanymi...

Profn i policjanci obsługujący Policyjne Izby Zatrzymań

- Jakie zamieszanie Heniu, co się dzieje?

- No nie wiem, Sosnowski był u Komendanta, ktoś od nas ma do nich przyjechać, jakaś afera się kroi. No i, no i zastanawiam się, czyś tam czego nie nawywijał, co? Nie spadł, który z tych złodziei ze schodów za twoją drobną pomocą, czy coś?

- No, co ty Heniek, za kogo ty mnie masz - zachnął się Karol.

- Dobra, dobra tylko tak pytam, no i, no i uważaj na siebie. Chciałem, żebyś wiedział...

- Dzięki Heniu, ale naprawdę wszystko jest jak należy. Jeśli ci o to chodzi, to żadnej skargi nie było, wszystko w porządku, grzecznie, tak jak należy. Dzięki za troskę...

- Dobra, dobra. Bierzcie się w końcu do roboty, w rejon panie kolego w rejon.... Aha, notatkę już napisałeś?

- Tak, oryginał zostawiłem u oficera, a potwierdzoną kopię mam ze sobą..

- To jak już skończysz i osadzisz te ptaszki to z notatką jak najszybciej do mnie...

- Dobra Heniu.

Karol w zamyśleniu odłożył słuchawkę, zastanawiał się nad świeżo odbytą rozmową. O co chodzi? Może któryś z tych zatrzymanych jest krewnym lub znajomym kogoś wysoko postawionego na górze? Oznaczałoby to spore kłopoty. Karol westchnął. Nie ma co się gryźć na zapas. Jeszcze raz odtworzył w myślach przebieg pościgu i zatrzymania, niczego nie mógł sobie ani chłopakom zarzucić.

Jedyny kłopot, to mocno starta facjata koleś, którego dopadł Gwiazda, ten nowy, jak mu tam - Rafał. Ale to była czysta sprawa, koleś sam się przewrócił na chodnik, a że łądował mordą w płyty chodnikowe, to jego ból. Pogotowie opatrzyło faceta jak należy, wszystko gra. Papiery też są w porządku. Dobra, czas pokaże, co dalej. Faktycznie, jak Henio mówi, pora wracać w rejon.

Obudziły go kroki na korytarzu. Przetarł opuchnięte oczy, przeciągnął się. Spojrzał na zegarek i cicho zaklął. Dziewiąta rano. Czuł się, jakby przebiegło po nim stado mamutów. 64
65

Cztery godziny twardego snu nie usunęło zmęczenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Z niechęcią pomyślał, że znów trzeba zmusić się do wysiłku. Wygrzebał się ze śpiwora rozesłanego na podłodze. Usiadł na barłogu, sięgnął do butów, wyjął z nich lekko sztywne skarpetki i naciągnął na nogi. Narzucił na siebie bluzę i spodnie leżące na krześle obok. Z szuflady biurka wyjął ręcznik, szczotkę i pastę do zębów. Kolejny raz wyrzucał sobie, że nie przyniósł bielizny na zmianę. Zdawał sobie sprawę, że wydziela niemiły zapach niedomytego człowieka.

Stojąc, dobrze widział układ pokoju, w którym koncentrowało się jego życie. Na wprost wejścia centralnie położone okno. Po prawej stronie drzwi stała wielka szafa pancerna, której półkami solidarnie dzieliło się czterech lokatorów tego pomieszczenia. Po obu stronach pokoiku pod ścianami stały po dwa biurka w układzie litery „L”. Dzięki temu środek pomieszczenia pozostawał wolny. Na ścianach, na korkowych tablicach wisiały przypinane portrety pamięciowe poszukiwanych osób z dawno zapomnianych spraw, zdjęcia rozneglizowanych pańek pokazujących wszystko, co mają do pokazania na przemian z fotografiami nieboszczyków w różnych stadiach rozkładu, patrzącymi pustymi, nieobecnyymi oczami w obiektyw, lub zastygłych w dziwnych pozach. Z wolnej przestrzeni niezapełnionej fotografiami, komunikatami i dziwnymi rysunkami wylaniały się malownicze pęknięcia i pląty odłazającej, odpadającej farby. Całość wypełniał kurz otulający dostojnie górę szafy i kąty pokoju. Typowy pokój zajmujących się pracą detektywistyczną policjantów. Młody mężczyzna szybko zwinął śpiwór i karimatę, schował do szafy, wyjął z niej broń, kajdanki, umieścił je w futerałach przypiętych do pasa. Teraz szybko do kibelka, obmyć się i do roboty... wibrujący ton telefonu nieboszczyka poderwałby na nogi.

- Tak słucham?

- Chińczyk? - poirytowanym głosem odezwała się słuchawka.

- Tak, a kto pyta...

- Sochacki z tej strony. Gdzie ty chłopie się podziewasz?

- W pokoju jestem, cały czas naczelniku.

- Dzwonię od rana, nikt telefonu nie odbiera, pokój zamknięty myślałem, że cię amba wcięła.

- Chińczyk uświadomił sobie,

że spał tak mocno, że nie obudził go dzwonek telefonu. Gdy nocował w komendzie, zamykał się od wewnątrz na klucz. Najczęściej rano budziła go sprzątaczką otwierając pokoje swoim kom pletem kluczy. Dziś jak na złość pewnie ma wolne.

- Dochodzeniówka już jajo znosi, czekają na twoją notatkę. Bez tego nie mogą zacząć...

- O rany, naczelniku, przepraszam, ale dopiero obudziłem się,

-Co?

-Zaspałem, dopiero obudziłem się... - Chińczyk w ciągu następnych kilkadziesiąt sekund dowiedział się, za co go naczelnik powiesi, gdy go dorwie. Gdyby naprawdę spełnił swoją

groźbę, Chińczyk już nigdy nie zostałby ojcem. Dobra, napisze tę cholerną notatkę, dochodzeniowcy przesłuchają go i pójdzie do domu spać. Po prostu spać. Dalej pałeczkę w sprawie przejmuje dochodzeniówka. Dalsze wątki będzie rozwikływać gdy się wyśpi. W łóżku, po porządnej kąpieli.

Rafał podziwiał panoramę miasta zza szyb sunącego powoli radiowozu. Przez te kilka godzin służby zdążył się nieco znużyć, odpuszczało też powoli towarzyszące mu od rana napięcie nerwowe. Nowa praca, nowi ludzie, nowe obowiązki i od razu pościg. Rafał cały czas myślami wracał do tamtych chwil, do szaleńczej jazdy, strachu, jaki mu wtedy towarzyszył, biegu za uciekającym złodziejem, widział swoje dłonie zakładające kajdanki na ręce obcego człowieka. A potem mozolne pisanie protokołów, przepychanki z oficerem dyżurnym i profosami. A teraz znowu ta monotonna, nudna jazda nie wiadomo, po co i na co, wciąż tymi samymi ulicami. Przeźroczyta szyba oddzielająca przednie fotele od tylnych odcinała go od większości dźwięków z przodu, uniemożliwiając swobodną rozmowę z osobami siedzącymi na przednich fotelach. Nawet radia nie słyszał, co potęgowało znudzenie. Czasem tylko nudę patrolu przerywała jakaś kontrola samochodu. Irytowało go to, że Karol z Andrzejem, gdy tylko zorientowali się, że coś jest nie tak z dokumentami czy też samo-

66

67

chodem, zapraszali kierowcę do radiowozu zostawiając Rafała na zewnątrz, każąc mu, jak to określili „dokonywać kontroli statycznej” aby, tu kolejne ich określenie „wprawiał się”. W przypadku, gdy coś by wzbudziło jego niepokój miał informować Karola albo Andrzeja.

- Rafał, siadaj, jedziemy - zawołał go wychylony przez przednią szybę Andrzej. Rafał z radością wsiadł do wozu. To było kilka minut temu.

- Co się dzieje? - spytał

- Nic, mamy interwencję zleconą - mruknął niechętnie Andrzej.

- Ale co się stało - podekscytowany pytał Rafał, mając cichą nadzieję na jakiś kolejny pościg, zasadzkę na złodziei, czy coś takiego.

- Jakiś pijak leży, mamy go podnieść i nadać kierunek do domu, lub zabrać na wytrzeźwialkę, jakby było bardzo źle - Andrzej, wyraźnie zbrzydzonego cedził słowa.

- Dzwonili do komendy z Polskiej Akademii Nauk, tu niedaleko w pałacyku mają jakieś swoje siedziby. Od rana trwa międzynarodowe sympozjum, ale z okien międzynarodowi goście podziwiają śpiącego w klombiku z różami i tulipanami jakiegoś zbląkanego lumpa - pośpieszył z wyjaśnieniami Karol. - Ochroniarz próbował go budzić, ale lump za przeproszeniem olał go i nadal śpi słodko wśród kwiecica.

Gdy tylko Karol skończył wyjaśnienia wjechali na dziedziniec pałacyku przez piękną, kutą bramę. Faktycznie w centralnym miejscu podwórka znajdował się klomb, w którego samym środku leżał w pozycji embrionalnej człowiek. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest to kloszard. Brudne spodnie i brudna przedpotopowa kurtka w kratkę. Opuchnięta, otoczona zarostem siwych kłaków twarz. Na głowie czapka narciarska z pomponem. To wszystko sprawiało, że leżący człowiek przypominał krasnoludka. Przeczył jednak temu ogromny wzrost. Gdy Karol odwrócił się w kierunku Rafała, ten bez dalszych słów wiedział, o co chodzi. Wysiadł z samochodu i zaczął iść w kierunku leżącego cielska. Smród bijący od niego był tak wielki, że Rafał odwracał głowę. Leżący krasnolud był wielkim mężczyzną, miał ponad 180 cm wzrostu. Był też dobrze zbudowany. Musiał być silny.

68

Gdy Rafał podszedł bliżej, zobaczył, że krasnolud łypie na niego okiem.

- Mam nadzieję, że nie rzuci się na mnie - z pewną obawą myślał Rafał.

- Dzień dobry panu, policja - odezwał się do leżącego Rafał i od razu poczuł się jak idiota. - Ma pan jakieś dokumenty? - Krasnolud łypnął okiem i wzruszył ramionami. Kilka much wzbilo się w powietrze, a fala nowego smrodu o mało nie powaliła Rafała o ziemię.

- Proszę pana, policja - bardziej stanowczym głosem odezwał się Rafał.

- Może pan wstać? - wciąż pytał ostrym, władczym tonem.

Krasnolud za każdym pytaniem wzruszał ramionami, a w końcu wyraźnie poirytowany odwrócił się na drugi bok, plecami do Rafała fukając przy tym groźnie. Młody człowiek w policyjnym mundurze był wyraźnie zagubiony. Wyprostował się, spojrzął w stronę radiowozu, szukając pomocy. Karol wytaszczył swoje cielsko zza kierownicy, stał oparty niedbale o samochód i obojętnym, znudzonym wzrokiem spoglądał na prychającą i wzruszającą ramionami wielką kupę smrodu w narciarskiej czapce leżącą na klombie z kwiatami, stojącego przy niej młodego policjanta z malującą się bezradnością w oczach oraz pięknie zarysowaną za nimi fasadę klasy cysty cznego pałacyku. Ciekawa kompozycja z malarskiego punktu widzenia - pomyślał. Dobiegł go głos Rafała sprowadzając na ziemię. - Musimy wezwać busa, bo nie załadujemy tego wieloryba do naszego wozu. Karol popatrzył na niego, jego jedyną reakcją było tylko mruganie oczami. Góra leżąca na kwietniku skwitowała te słowa dwoma parsknięciami i bardzo wyrazistymi wzruszeniami ramion. Karol pomyślał, że właściwie młody ma rację. Nie dadzą rady zapakować tego wielkoluda do Poloneza. Gdyby przyjechała załoga specjalnym busem, z okratowaną, przeznaczoną do przewozu osób zatrzymanych częścią z tyłu, można by spokojnie tego leżaka z klombu podnieść i położyć na podłodze przewoźówki.

Karol uśmiechnął się do siebie, przypominając sobie przygodę Jerzyka Kowalczaka, gdy zbierał on wraz załogantem leżaka z ulicy. Leżący na chodniku mężczyzna był tak pijany, że nie był

69

w stanie ruszyć ani ręką ani nogą. Leżał sobie we własnej kałuży ciepłego moczu i budził zgrozę i obrzydzenie przechodniów. Bardzo trudno podnieść jest bezwładne, leżące się ciało człowieka, wyslizgujące się z rąk. Jerzykowi udało się jednak ten trud i wraz z załogantem ułożyli pijusa w wozie. Niestety podczas tych manewrów zamknęła się za nimi wewnętrzna krata samochodu, więząc jego, kolegę i pijusa razem w swoim wnętrzu. Je-rzyk nie mógł otworzyć kraty kluczami od wewnątrz, przecież był to samochód przystosowany do przewozu zatrzymanych, nie mógł przełożyć rąk przez kratę, gdyż jej oczka miały zaledwie pół centymetra średnicy. Palca nie można włożyć, a co dopiero dłoń. Krótkofalówka jest zamontowana na stałe w szoferce, jednym słowem klops. Liczni przechodnie zachowywali się, jakby stojący na chodniku policyjny transporter z uwięzionymi w środku policjantami był wytworem wyobraźni i nie zwracali na prośby pomocy kierowane do nich z wnętrza pojazdu. Z opresji wybawiła ich druga załoga przejeżdżająca ulicą, a załoga Jerzyka stała się niewątpliwą atrakcją komendy i tematem do licznych radosnych opowieści.

-Tak, Rafale, chyba trzeba będzie wezwać przewoźówkę. Ten facet jest strasznie pijany.

Dawno nie widziałem tak nawalonego gościa - w miarę jak Karol mówił, krasnolud prychał coraz głośniejsze i coraz mocniej wzruszał ramionami wyrażając swoją dezaprobatę.

- Naprawdę, powiem ci Rafale, że wiele lat jeżdżę w patrolu, wiele już widziałem, ale takiego ożłopańca jak ten, to dawno nie widziałem - kontynuował Karol bacznie przyglądając się człowiekowi leżącemu na kwietniku. - Zobacz, Rafał, on nie może ruszać ręką ani nogą. W trakcie wypowiedzianych przez Karola słów wielki człowiek w narciarce z pomponem najpierw usiadł wpatrując się w Karola, a potem wstał najwyraźniej chcąc udowodnić, że Karol jest w błędzie. W końcu odezwał się, przerywając Karolo we wywody:

- Nie jestem pijany.

- Jesteś - powiedział Karol.

- Nie - krasnolud twardo stał przy swoim stanowisku. Założymy się? - wyraźnie ożywił się Karol.

- Dobra.

- Jesteś tak nawalony, że nie zrobisz nawet dwóch kroków.

- Zrobię więcej.
- A przejdiesz stąd, gdzie stoisz do radiowozu?
- A pewnie.

Rafał nie wierzył własnym oczom. Facet lekko zataczając się, ruszył ku otwartym drzwiom radiowozu, pobudzany gorącym dopingiem Karola i Andrzeja. Rafał nie wiedział, co jest bardziej niesamowite - czy to, że ten leżący przed chwilą mężczyzna niechętnie nawiązać żadnej rozmowy z Rafałem dał się podejść niczym dziecko, czy też ci policjanci, autentycznie zadowoleni z każdego kroku krasnoluda, razem z nim dzielący radość tych niepewnych kroków, niczym rodzice zachwyceni pierwszymi, niezdarnymi krokami swego potomka. Nie wiedział, czy są oni geniuszami, czy idiotami. Patrzył na gratulacje, jakie składali krasnoludowi ściskając jego brudną dłoń z długimi, zakrzywionymi jak u krogulca szponami.

- Wygrałeś, ale nie dasz rady wsiąść do radiowozu - Karol był konsekwentny.

-Dam, ha - ha, ha - ha, dam - powiedział krasnolud i wsiadł.

- Jeszcze jeden telefon, a kogoś zabiję - warknął przez zęby Chińczyk. Usiłował napisać notatkę opisującą w miarę klarownie to, co działo się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. A działo się dużo. Zostało wykonanych wiele czynności, a notatki i protokoły były rozproszone po różnych pokojach i osobach. Co chwila dzwonił telefon, wciąż ktoś o coś pytał, czegoś chciał, a Chińczyk usiłował się skupić. Ta notatka, którą w bólach tworzył jest podstawą do dalszych czynności dla wydziału dochodzeniowego i prokuratury. On, jako policjant operacyjny właściwie kończył swoją pracę. Teraz dochodzeniowcy rozpoczną swój taniec z kwitami, przesłuchaniami, oględzinami, opiniami biegłych. Po to, by sąd nie miał wątpliwości, kto jest zabójcą. Chińczyk zawzięcie walił w klawisze rozklekotanej maszyny do

70

71
pisania. Stuk, stuk, stuk waliły czcionki o biały papier, zapełniając kartkę czarnymi znakami. Stuk, stuk stuk. - W dniu... o godzinie ... z polecenia oficera dyżurnego... wraz z sierżantem... udałem się na ulicę... gdzie według uzyskanych informacji... stuk, stuk, stuk suche słowa, suche fakty zapełniały biel kartki. Nie wyrażały emocji, jakie targały wtedy wszystkimi. Chińczyk wspominał i zapełniał kartkę czarnymi znakami przekładającymi wspomnienia na suche fakty.

Pisząc, cofnął się myślami kilkadziesiąt godzin wstecz. Łup, łup, tratatach... Już mieli zakończyć nudny dzień, wybierali się do domów. Wpadł Giegie do pokoju i powiedział: - Panowie, mamy strzelaninę, zostajemy - i poleciał dalej, powiewając połami marynarki. Jak zwykle, oznaczało to jedno: wiele, wiele godzin pracy bez chwili przerwy. Znowu. Pojęcia takie jak: dom, rodzina, przyjaciele, umówione spotkanie, wizyta z dziećmi u lekarza, występ syna w przedszkolu były absolutnie pustymi, nic nieznaczącymi wyrazami. To był jego dom, jego życie, jego świat. Reszta była otoczką. Praca w policji, to nie jest praca. To jak wstąpienie do zakonu, gdzie wszystko trzeba poświęcić. Trzeba oddać swój czas i zapomnieć, że jest inne normalne życie. A wcześniej, czy później zapłacić za to rachunek.

Gdy Giegie zniknął za drzwiami, Chińczyk westchnął, wziął słuchawkę telefonu i wystukał numer. Agnieszka, jak zwykle nie była zachwycona. Ostatnio coraz rzadziej była zachwycona. Właściwie ze słuchawki powiało lodem, Arktyką i wszystkimi lodowcami świata.

Wyciągnął krótkofalówkę z szafy i włączył słuchając relacji załóg działających na miejscu. Szybko zorientował się, że doszło do napadu na sklep, padły tam strzały a sprawcy uciekli, wewnątrz załoga znalazła leżące ciało ekspedientki. Wszystkie załogi szalały, w eterze krzyżowały się komunikaty i sprzeczne polecenia. Sprawdził, czy ma broń w kaburze, narzucił na siebie kurtkę. Za moment wszyscy jechali na miejsce. Dwa cywilne samochody, w środku ściśnięci policjanci z sekcji zabójstw. Znow skazani na oglądanie swych gąb tak

dobrze znanych, na te same teksty i to samo zmęczenie, które zacznie ich niebawem nękać w miarę upływu czasu. Im dłużej będą ciągnąć sprawę, tym będą bliżej rozwiązania zagadki i zatrzymania sprawców A to wymaga opanowania, szybkości, refleksu. Tylko skąd je krzesać?... stuk, stuk - puk, ram tarira ram waliły, czcionki maszyny zaczerpniając kartkę treścią wypraną z emocji, suchą i treściwą ... po przybyciu na miejsce zastałem ... który poinformował mnie ... trata stuk tarira ... to była mała, wąska, szara uliczka z zabudową z lat pięćdziesiątych. Szklana witryna z napisem „U Halinki - artykuły spożywcze”, za szybą na parapecie siedział kot z zawiniętym wokół łap ogonem i łypiąc zielonymi oczami patrzył kpiąco na przybyłych.

Chińczyk zapamiętał tego kota, wydawało mu się, że wejdzie za próg sklepu, powie dzień dobry sprzedawczyni i kupi sobie bułkę, kefir i kawałek kiełbasy lub kaszanki. Tłum gapiów tłoczących się na chodniku, mundurowi policjanci biegający bez wyraźnego celu, usiłujący łapać nie wiadomo, kogo i gdzie, karetka pogotowia ze znużoną lekarką, która z wyraźną złością wypisywała kartę stwierdzającą zgon przed przybyciem. W progu stał mundurowy policjant z wypiekami na zdrowej, chłopskiej, puciatej twarzy i słuchał komunikatów radiowych z obławy za cieniami. Patrolówka szalała na mieście kontrolując na potęgę wszystkie samochody wydające im się podejrzane, podejrzanych przechodniów. W takich chwilach dla plutonów patrolowych wszyscy byli podejrzani. Najbardziej podejrzani z podejrzanych nieboraków tabunami ładowali na komendzie do wyjaśnienia. Młody policjant zauważył zbliżających się cywilów, zobaczył legitymacje służbowe i zerwał się do biegu niczym sprinter z bloków startowych. Chciał zapewne wykazać się odwagą i sprytem i dowieźć kilku kolejnych podejrzanych do wyjaśnienia.

- A dokąd, serdeńko? - Chińczyk zagroził młodemu d ro-gę, a ten z rozmachem wyrzucił nosem w jego ramię. Impet odrzucił mu głowę a czapka poturlała się po ziemi. Przez ułamek sekundy wyraz jego oczu wyrażał zdziwienie, a potem powieki zwęziły je w wąskie szparki. Twarz przybrała kolor purpurowo czerwony, co bardzo niekorzystnie kontrastowało z niebieskim kolorem munduru. Przybrał postawę bojową jakiejś wschodniej szkoły walki i miotając przekleństwa najwyraźniej szykował się do bójki z Chińczykiem.

- Śpieszysz się gdzieś? - zadał pytanie Chińczyk do szalejącego młodego byczka. To do reszty rozwścieczyło młodego, który runął do ataku. Chińczyk zręcznie uniknął ciosu, złapał rękę z zaciśniętą pięścią młodego i zawirował z nim w piruecie, w efekcie czego młody stał przyparty do framugi drzwi, unieruchomiony w objęciu Chińczyka. Z perspektywy gapiów stojących w pobliżu wyglądało to, jakby młodzi chłopcy przyjacielsko i radośnie się przywitali. Wiadomo, że policjanci to gbury, degeneraci niepotrafiący uszanować nawet majestatu śmierci.

- Wyluzuj kolezko - syknął przez zaciśnięte zęby Chińczyk - Zanim odfruniesz, to może byś tak powiedział, co tu się stało, czy są świadkowie, jakie ślady zabezpieczono ...

Młody, wciąż w stanie furii miotał obelgi usiłując się wyswobodzić i przyłożyć Chińczykowi. Do akcji wkroczył Giegie, ostrym głosem wydając komendę

- Baczość! Jak się nazywacie posterunkowy?

- Co cię to obchodzi, gnoju jeden!

- Wasze nazwisko posterunkowy! Rozmawiacie z oficerem. Co to za zachowanie? Czego uczyli was w szkole? Jak zabezpieczacie miejsce zdarzenia, pozostajecie do dyspozycji wydziału kryminalnego aż do odwołania! - młody wyraźnie ochłonął - Usiłowaliście pobić sierżanta, opuścić wyznaczone sobie miejsce służby! Wiecie, co za to grozi?

- Ale, bo ja ...

-Jakie „ja” posterunkowy? „Ja” to w wojsku no zrymujcie sobie sami co. W policji tak samo. Meldunek gdzie? - wciąż podniesionym kategorycznym głosem ciągnął Giegie. Słowa te podziały na mundurowego jak kubek zimnej wody. Dla odmiany zbladł, jego twarz przybrała kolor kredowo biały. Stał w postawie zasadniczej i złożył przepisowy meldunek

łamiącym się z emocji głosem. Następnie Giegie usiłował wydobyć z niego jakieś informacje, ale ledwo hamowana wściekłość młodego utrudniała to. W sumie niewiele wiedział. Na polecenie radiooperatora kilka załóg przyjechało do strzelaniny. Jemu przypadł w udziale zaszczyt zabezpieczenia miejsca zdarzenia do przyjazdu grupy do zebrania śladów. Podobno jacyś świadkowie są, podobno

74

ktos widział młodych mężczyzn wybiegających ze sklepu. jednym słowem standard... Łup tara ram... łupią czcionki w oszalałym tańcu o papier... po wejściu do wnętrza pomieszczenia... oględziny ciała wykazały... rozpytanie okolicznych mieszkańców... w wyniku czego ustalono świadków... na tej podstawie przyjęto następujący przebieg wydarzenia... ustalono... w wyniku podjętych czynności... Pamiętał tego nierealnego kota, siedzącego na parapecie okna i liżącego z wdziękiem łapki, jakby nic się nie stało. Półki, na nich towary, lada ze stojącą wagą i kasą fiskalną. Jakieś gablotki pełne ciasteczek, batoników, papierosów. Skrzynie ze smakowicie pachnącymi jabłkami, ziemniakami i tego typu artykułami. Normalny sklepik osiedlowy. Młoda dziewczyna, z rozsypanymi blond włosami wokół głowy, duże niebieskie szeroko otwarte oczy. Niebieski fartuch w absurdalne białe groszki narzucony na białą bluzkę. Niebieskie dzinsy zakończone adidasami. Otwarte usta, białe zęby. Ładna twarz, zgrabna sylwetka. Chciałoby się z taką laseczką umówić na dyskotekę, wyskoczyć na drinka. Gdyby żyła. Gdyby nie skorupa zakrzepłej krwi i jej wszechobecny odór, gdyby nie absolutny brak ruchu, gdyby nie trupio sine palce drobnej dłoni, czerwonosine uszy - początek plam opadowych.

Chińczyk długo nie mógł się otrząsnąć. Widział wielu nieboszczyków w swoim młodym życiu, widział opuchnięte i zdeformowane ciała a także „świeżyzny” jak ta w tym sklepie. Kontrast pomiędzy urodą dziewczyny i śmiercią dopiero delikatnie deformującą jej ciało silnie na niego podziałał. Potem długie godziny pracy grupy operacyjnej, żmudne zabezpieczanie śladów, oględziny miejsca i ciała. Giegie z czasem przejął koordynację nad działaniami wszystkich policjantów, zapał służb mundurowych opadł, udało się z pomocą dowódcy plutonu wyłuskać tych policjantów, którzy coś mogli wniesić do sprawy; załogi przybyłe pierwsze na miejsce, które na gorąco rozmawiały z rozgorączkowanymi mieszkańcami. Powoli udawało się opanować chaos, mundurowi pisali notatki, Chińczyk i reszta chłopaków ruszyli w obchód okolicznych domów dokonując tzw. „rozpoznania posesyjnego” - ciężkiej, ale bardzo ważnej czynności. Giegie

75

wstępnie wyznaczył osiem bloków do rozpoznania. W ciągu czterech godzin odwiedzili większość mieszkań. Osiem domów po sześć pięter każdy, po cztery klatki schodowe każdy. Na każdym piętrze każdej klatki po cztery mieszkania. Dawało to pełną paletę ludzi, zachowań, zapachów i różnych opowieści. Podzielili się blokami pomiędzy sobą i chodzili pojedynczo, od drzwi do drzwi. Potem każdy spisał szczegółową notatkę opisującą, w jakim bloku był, jakie lokale odwiedził, gdzie, kogo zastał i czego się dowiedział. Ten trud opłacił się. Znalaziono dziesięciu świadków. Każdy z nich co innego widział, ale ich opowieści złożone razem do kupy pozwalały na ustalenie przebiegu zbrodni.

Cały czas wydział dochodzeniowo-śledczy przesłuchiwał zgodnie z procedurami tych ludzi na protokoły. Notatki sporządzone z rozmów przez policjantów operacyjnych nie były dowodem w sądzie. Przesłuchanie tak. Po za tym przesłuchujący ma już większą wiedzę na temat zdarzenia, ma ją dzięki pracy wydziału operacyjnego. Przesłuchanie jest bardziej szczegółowe i dokładne. Tworzone są portrety pamięciowe. Prokurator już czeka, by zapoznać się z aktami. A Chińczyk tłucze w maszynę by napisać cholerną notatkę wstępną... Dzięki świadkom ustalono, że padły trzy lub sześć strzałów określanych jako wybuchy petard, bardzo głośne kłaśnięcia, jakby ktoś kijem o kij walił lub po prostu - strzały. Potem ze sklepu wybiegło trzech młodych mężczyzn, którzy wpadli do zaparkowanego przy chodniku

samochodu marki Ford Sierra w kolorze czerwonym. Miał on nr rej. WXJ i końcowe cyfry 397 lub 897 oraz lekko wgnieciony lewy przedni błotnik. Znane były rysopisy tych trzech mężczyzn. Trzech świadków stwierdziło, że ich rozpozna. Za kierownicą samochodu siedziała jeszcze jedna osoba. Gdy mężczyźni wsiedli do środka auto ruszyło z piskiem opon i rozplynęło się w niebycie. Potem żmudne rycie w systemach informatycznych, rozmowa z właścicielką sklepu, rodziną zmarłej dziewczyny. Pomimo bólu po stracie córki rodzina została przepytana o wszystko: o chłopaka, kolegów, koleżanki, czy się z kimś kłóciła, przejrane zostały jej rzeczy osobiste, notesy telefoniczne, zapiski i pamiętnik. I znowu rycie, pisanie, analiza, pisanie, obróbka zatrzymanych przez patrolówkę, ich sprawdzanie w bazach danych, analiza kontaktów, szukanie powiązań z denatką.

Litry kawy, siwe smugi dymu tytoniowego. Nowe twarze, Ir same wyjaśnienia, tony papieru. I czytanie na nowo tworzonych akt, szukanie tego, co się przeoczyło. Szukanie czerwonego samochodu, Forda Sierra z wgniecionym błotnikiem. Wytypowano trzysta samochodów odpowiadających kryteriom podawanym przez świadków. Trzysta czerwonych Fordów Sierra. Tylko jeden jedyny z nich miał wgnieciony błotnik, który? Ponownie rozpyta-na właścicielka sklepu powiedziała, że tydzień przed strzelaniną, do Doroty - tak miała na imię zabita dziewczyna, jakimś czerwonym samochodem przyjeżdżał Tomek. Mieszka gdzieś na osiedlu... do Doroty przyjeżdża Tomek... czerwonym wozem przyjeżdża Tomek....

Chińczyk poznał Dorotę bardzo dobrze. Poznał znajomych i znajomych znajomych, choć oni nie wiedzieli, że Chińczyk ich poznał. Tomka nie kojarzył. Znowu rycie, analiza szukanie właściciela czerwonego wozu o imieniu Tomek i ...JEST... Tomasz Kilon s. Tadeusza i Anny urodzony... zamieszkały... porusza się sam. marki Ford Sierra w kol. czerwonym nr rej...

PASUJE, WSZYSTKO PASUJE! notowany za rozbój i kradzieże samochodów! Wczoraj wieczorem pojechali po Tomka. Samochód stał zaparkowany pod blokiem. Miał wgnieciony błotnik. Krótka piłka. Tomek niczego się nie spodziewał. Chińczyk zapukał do drzwi, reszta ustawiła się rzędem wzdłuż ściany klatki schodowej. Przy kuleni, z przeładowaną bronią w rękach. Dwóch zostało na zewnątrz, pilnowali okien. Co prawda Tomek mieszkał na 4 piętrze, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Chińczyk swój pistolet też trzymał w dłoni tak, że nie było go widać przez wizjer w drzwiach.

Drzwi otworzyła siwiejąca kobieta- matka Tomka. Gdy Chińczyk ją minął zaczęła krzyczeć - O Jezu, o co chodzi, o Jezu... i tak do końca ich wizyty w tym mieszkaniu. Chińczyk brutalnie odrzucił ją na bok i wpadł do mieszkania krzycząc „Policja”, za nim wpadła reszta. Ostatni zakuł matkę w kajdanki. Musieli pamiętać, że wchodzi do mieszkania osoby podejrzanej o zabójstwo, prawdopodobnie posiadającą broń palną. Tu nie było czasu

76

77

i miejsca na sentymenty. Szybko opanowali wszystkie pomieszczenia. Tomek właśnie oglądał mecz, usłyszał krzyki „Policja, na ziemię” zobaczył wycelowaną lufę pistoletu prosto w swoje czoło. Nie zdążył zareagować. Z dłoni wypadła mu puszka piwa zalewając podkoszulek. Jakaś siła poderwała go z wersalki i zwała na podłogę. Wprost na rozlane piwo. Twarzą uderzył w leżącą puszkę. Czuł, że ma wykręcane ręce, poczuł ból na zaciskanych kajdankami nadgarstkach. Pomyślał sobie, że to koniec. Wtedy puściły mu zwieracze.

Godzinę później na komendzie sporządził szczegółowe pisemne wyjaśnienie. Uznał, że tak będzie lepiej. Przyznał się i opisał w nim wszystko. Zatrzymanie kolejnych sprawców było kwestią czasu. Nie udało się jak na razie odnaleźć broni, z której zginęła Dorota. Dziś reszta jego kolegów będzie pracować z zatrzymanymi, prowadzić z nimi rozmowy.

Dochodzeniowcy będą ich formalnie przesłuchiwać. Pojadą na kolejne przeszukania, świadkowie będą rozpoznawać podczas okazań... łup tara ra stuk.... na razie koniec.

Notatka do naczelnika, Chińczyk do domciu. Prześpi się trochę i znowu ruszy do roboty - trzeba ruszyć informatorów - co wiedzą o tych zatrzymanych? Czy działają na własną rękę, czy w jakiejś większej organizacji. Skąd mają broń, gdzie ją kupili, od kogo? Można jakoś do niej się dostać? Ale to potem. Później. Teraz dochodzeniówka musi się sprężyć, wszyscy świadkowie muszą być wysłuchani na protokół, okazania sprawców świadkom na oględziny samochodu Tomka, na cito porównywanie śladów zabezpieczonych na miejscu zdarzenia z odciskami palców, butów, włosów i co tam jeszcze zostało znalezione. Benedyktyńska robota. Ale to nie był problem operacyjnych. Teraz mogą tylko wspierać dochodzeniówkę uczestnicząc w przeszukaniach mieszkań osób w jakiś sposób powiązanych z zatrzymanymi i tego typu sprawami. A czy ta cała praca nie pójdzie na marne? Czy dowody okażą się wystarczająco mocne, aby ci ludzie wylądowali w aresztach, czy sąd ich skaze? Chińczyk był pewien, że ma do czynienia z zabójcami młodej ekspedientki. Dwóch w rozmowach i pisemnych wyjaśnieniach przyznało się do zbrodni, opisali przebieg i okoliczności zajścia. Czy po nocy na policyjnym dołku, oficjalnie przesłuchiwani, uprzedzeni o pra wie do odmowy zeznań podtrzymają to, co w nocy napisali? Czas pokaże. Chińczyk wiedział, że on i koledzy zrobili wszystko, co mogli, by dorwać zabójców. Notatka skończona. Czas do Sochackiego. Krasnolud wprost promieniał ze szczęścia. Początkowo był trochę niepewny, co właściwie z nim będzie.

- A dokąd jedziemy, panie władzo?

- Do lekarza - Karol w lusterku widział kosmatą twarz kloszarda. Patrzył na jego potężne barki i wielkie łapska. Ten facet musi być piekielnie silny. Czemu aż tak się stoczył? Zastanawiał się w duchu. Trochę obawiał się o siedzącego z tyłu młodego. Wyglądał przy pasażerze jak dobrze wypasiony pogrzebacz przy beczce z piwem. Karol czuł bardzo wyraźnie odór brudu, jakim zionął wielgachny facet z pomponiastą czapą, wyziewy przetrawionego denaturatu wprost zwały z nóg. Współczuł młodemu, za tą szybką z tyłu dopiero musi mieć czad. Niech się wprawia nasza nadzieja - myślał.

- A po co do lekarza... - lekko zbity z tropu spytał wielkolud - nic mi nie jest, zawieźcie mnie chłopaki do domu... - nieśmiało poprosił.

- Dobra, ale najpierw pojedziemy do lekarza, niech obejrzy twojego guza - faktycznie na czole kloszarda widniał sporej wielkości guz. Brodacz odruchowo dotknął go, uśmiechnął się szeroko i lekceważąco machnął ręką. - E tam, chłopaki, dajcie spokój, nic mi nie jest. Zawieźcie mnie do domu.

- Jak ci na imię? - spytał Karol.

- Mam na imię Ryszard.

- Posłuchaj Ryszardzie, masz guza, więc musi obejrzeć cię lekarz. Od tego lekarz jest lekarzem, żeby badał i leczył ludzi, którzy tego potrzebują. Skoro masz guza, potrzebujesz lekarza. To chyba jasne?

- No tak, ale naprawdę...

- Rysiek, jesteś, czy nie jesteś wolnym obywatelem tego kraju?

78

79

- Jestem wolnym obywatelem tego kraju.

- A więc należy ci się lekarz, prawda? I my cię do niego zawieziemy.

- Cholera, fakt. Jestem wolnym obywatelem i należy mi się lekarz. Chłopaki jesteście ekstra. Lubię was. - Rysiek aż podskoczył z emocji. Z wielkiej radości objął Rafała i uściśkał serdecznie. Rafał miał bardzo niewyraźną minę, jakby zaraz miał puścić pawia. Następnie Rysiek upewnił się, że chłopaki zawiozą go do domu, po czym zapewnił, że jak przyjadą do niego do chałupy, to da im, kurde na flaszkę. Karol bardzo wylewnie podziękował, a wtedy Rysio z wielkopańskim gestem krzyknął, że kurde da im po flaszcze na łeb, a co! Gdy

zajechali na podwórko szarego, klockowatego budynku przy ul. Kolskiej siedziby warszawskiej izby wytrzeźwień, Ryszard ponownie zmieszał się. Ale wyszedł dziarsko z samochodu o własnych siłach. Jeszcze szybciej wyskoczył z wozu Rafał, łapiąc powietrze niczym ryba wyjęta z wody. Jego twarz miała kolor zielono biały z wyraźną przewagą zieleni. W tylnych drzwiach radiowozu nie można było otworzyć okien, jeszcze jedno zabezpieczenie przed ewentualną próbą ucieczki. Rafał czuł, że jeszcze chwila radości Ryszarda a nie wytrzyma. Rysio cały czas usiłował ścisnąć go i całować w czoło jako przedstawiciela kochanej władzuni tak dbającej o wolnego obywatela w postaci Rysia, owiewając Rafała swą straszliwą wonią. Chciało mu się zwymiotować.

Rysio niepewnym, ale dziarskim krokiem wkroczył do pomieszczeń izby. Zajął miejsce na ławeczce wyściełanej skajem obok kilku mocno chwiejących się delikwentów. Instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Ale czekał grzecznie na lekarza. Po chwili pojawił się on sam. Przyjrzał się oczekującym na ławeczce mężczyznom, chwilę porozmawiał z dowożącymi ich policjantami, podpisał protokoły przyjęcia. Dopiero prowadzony przez czterech rosyjących pielęgniarzy Rysio zorientował się w podstępnie. Gwałtownie obrócił się ku Karolowi, jego twarz wyrażała wściekłość, krasnoludzka broda powiewała gwałtownie. Chciał ruszyć ku policjantom, ale uniemożliwili mu to pielęgniarze, z trudem utrzymując naładowane furią cielsko. Rysio w gniewnym geście wysunął rękę z wyciągniętym palcem wskazując na Karola

80

krzyczał w zapamiętaniu - ZDRADZIŁEŚ MNIE, ZDRADZIŁEŚ! NIGDY CI TEGO NIE ZAPOMNĘ! - a Karol stał oparty o framugę i smutno spoglądał za Ryszardem wciągany w wnętrze „cioci Kolskiej”, warszawskiej wytrzeźwiarki, przyjmującej zawsze gościnnie zmęczonych gwarem miasta mieszkańców stolicy.

Sama nazwa zasadzka, dla niewtajemniczonego tzw. „szarego człowieka” niesie ze sobą ładunek emocji, ryzyka i tajemniczości. Dla starego wygi policyjnego to samo słowo znaczy tyle, co piekielne nudy. To znaczy czajenie się po krzakach, klatkach schodowych, kisenie we wnętrzach samochodów. To oglądanie tych samych widoków przez wiele godzin a nawet dni. Z samego rana Warecki, po rozmowie z naczelnikiem zebrał swoich ludzi i ruszył „w teren”. Cekał na wiadomość od informatora dotyczącej kradzionych samochodów. Jak wjadą do namierzonych wcześniej warsztatów, jego ludzie wkroczą tam. Pytanie tylko, czy dostanie tę informację oraz co zrobić, jeśli nie dostanie. Wchodzić, czy nie wchodzić, oto jest pytanie. Warecki zdawał sobie sprawę, że naczelnik Sochacki żyje teraz sprawą zabójstwa, ale wiedział również, że tak zwany „proces wykrywczy” w tej sprawie jest już zakończony. Ale jak to bywa przy wykończeniach, pozostało wiele roboty: konwoje do prokuratury i aresztu, przeszukania, oględziny itp. gdyby sekcja Wareckiego została na miejscu, któryś z chłopaków w nieodpowiednim momencie wpadłby Sochackiemu w oko, a wtedy na pewno zaprzęglby ich do tej orki. Warecki wolał na zimne dmuchać. Pozostało tylko czekanie. Ciekaw był również tego, co ustalą jego chłopaki na Śródmieściu. Czy zatrzymani złodzieje coś trukną? Na pewno nie teraz, dziś to tylko wzajemne obwąchanie się. Jeśli dziś wyjdzie im zasadzka, wszystko nabierze innego wymiaru. Wtedy na pewno ktoś stanie się rozmowny. Ale teraz trzeba czekać... znów czekać.

81

- Panowie, proszę o spokój - wielki, gruby mężczyzna z bardzo wysokim czołem i pooraną zmarszczkami twarzą patrzył surowo z za swego biurka. Elegancki, niebieski, gabardynowy mundur nie potrafił ukryć jego sylwetki. Wysokie, sięgające daleko za czubek głowy czoło świeciło odbitym słonecznym blaskiem wlewającym się przez okno. Komendant rejonowy Jacek Malinowski był wyraźnie poirytowany. Znowu spory, znowu awantury, znowu trzeba podjąć decyzję. A komendant bardzo nie lubił podejmować decyzji. Szczególnie teraz, gdy

zostało mu pół roku do emerytury. Przecież mógłby podjąć błędną i trzydzieści lat pracy diabli wzięli. Nowo wybrani radni z innej opcji politycznej niż poprzednia patrzyli na komendanta bardzo nieprzychylnie. Co prawda przetrwał na tym stanowisku wiele kadencji radnych, ale już mu się nie chciało walczyć.

- No przecież panie komendancie, w ten sposób nie da się pracować. Moi ludzie dopiero dostali materiały wstępne do sprawy zabójstwa ekspedientki. Prokurator już się gotuje, chce zapoznać się z aktami, a tych akt jeszcze nie ma! - krzyczał wyraźnie poirytowany mężczyzna w zielonej marynarce i jaskrawopoma-rańczowym krawacie. Był to od niedawna pełniący funkcję naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego tutejszej komendy Andrzej Kowalski. Przyjechał tu z małego miasteczka, gdzie, jak sam twierdził, zlikwidował przestępczość i pragnął zmierzyć się z poważniejszymi wyzwaniami, jakie daje Warszawa. Do dnia, w którym objął to stanowisko, nie zdawał sobie sprawy z różnicy pomiędzy rodzajem przestępców działających na jego terenie a warszawskimi. Poza tym był przyzwyczajony pracując w tamtejszej komendzie wojewódzkiej, że nad jedną sprawą pracowało kilku policjantów. I że razem z tamtejszymi prokuratorami mieli coś, czego nie ma w dużym mieście. Mnóstwo czasu przy małej ilości wydarzeń. Teraz wpadł w panikę, bo dowiedział się od Sochackiego o zasadzce realizowanej przez samochód. Ego pana Kowalskiego zostało po raz kolejny mocno nadszarpięte, po wytykach w śledztwach, jakie otrzymał od prokuratora rejonowego. Prawda była taka, że wydział pod rządami pana Kowalskiego zaczął źle pracować, pomimo, że wcześniej pracował całkiem w porządku. Pan Kowalski winił za to wszystkich, tylko nie siebie.

82

- A kiedy mieli dostać te materiały, dostali je na gorąco Sochacki spojrzał z wyraźną niechęcią na Kowalskiego.

-No ale przecież mamy mnóstwo roboty, musimy przesłuchać świadków, oględziny, przeszukania ... - wykrzykiwał Kowalski - Będziemy musieli zostać po godzinach.

- Tak jak my zostajemy na zasadzkach - skwitował Sochacki.

- A jak zatrzymacie jeszcze tych złodziei, to nie wyrobimy się!

- Mamy do nich napisać podanie, żeby dziś nie kradli?

- A musicie zatrzymywać ich akurat dzisiaj? - Kowalski zapiał fałsetem.

- Faktycznie, musi to być dziś? - komendant spytał zza twierdzy swego biurka.

- Komendancie, przecież to nie my dyktujemy sobie czas pracy, tylko tamta strona robi to za nas. Musimy dostosować się do nich, bo oni nie dostosują się do naszych wymagań.

Samocho-dówka od kilku dni robi zasadzki, czeka na konkretną informację. Akurat tak się złożyło, że dziś spodziewają się konkretnej wiadomości o kradzionych samochodach. Jak pan komendant życzy sobie odwołać akcję, proszę o polecenie pisemne.

- Nie, nie, nie - Malinowski aż się uniósł za swoim biurkiem - Proszę kontynuować działania!

- Panie Kowalski, cóż panu poradzę. Dziś jest taki zwariowany dzień. Musicie się sprężyć i tyle. Wiem, że macie dużo pracy, ale niestety, musimy wykonywać swoje obowiązki. Jeśli to wszystko, to dziękuję panom.

Słońce pomału toczyło się po niebie rozgrzewając mury niczym piece. Ludzie snuli się jak muchy w smole. Dochodziła już jedenasta rano, gdy wielka żarówka wisząca za oknem skutecznie dogrzała klitkę, w jakiej gnieździł się Kruszyna. Spocony, zawinięty tylko w prześcieradło przetarł oczy. Przeciągnął swoje wielkie, umięśnione, napompowane sterydami cielsko. Sięgnął na stolik po papierosy, przypalił jednego i zaciągnął z lubością ponownie opadając na pościel. Zadzwoił leżący na stoliku telefon komórkowy.

83

- Witam szefa - Kruszyna szybko zidentyfikował rozmówcę dzięki informacji pojawiającej się na wyświetlaczu.

-No, co tam chłopaku, wstałeś? - odezwała się słuchawka dźwięcznym, silnym męskim głosem.

- Jeszcze sobie poleguję.

- To wstawaj, słońce wysoko, a ty w wyrze gnijesz?

- A gniję.

- Przyjdzie czas i na to... do roboty, parę groszy czas zarobić. -Aha.

- Chłopaku, liczę na ciebie.

- Się wie.

- Nie skop tego, zbyt dużo grosiwa w to włożyłem.

- Będzie wszystko na błysk i tip top.

- Za godzinkę czekam na ciebie tam, gdzie zawsze.

- Dobra.

Kruszyna odłożył telefon. Dziś dziewczynki z agencji towarzyskiej będą musiały obejść się bez niego. Kruszyna dziś miał złapać kilka groszy, aby móc na dziewczynki je wydawać. To najbardziej podobało mu się w gangsterce. Życ krótko, intensywnie i z klasą, a wszystko za łatwy szmal. Trzeba tylko robić to, co trzeba i nie wnikać. Wstał, wziął szybki prysznic, ogolił się. Pół godziny później wychodził z domu. Wychodził do pracy.

- No jak tam, chłopaku, zdrowy jesteś - powitał go postawny, czterdziestoletni mężczyzna o muskularnej sylwetce. Jego bystre, brązowe oczy zdradzały inteligencję, dobry garnitur, błyszczące eleganckie buty, wielki rolex na rękę, to wszystko krzyczało - jestem wielki.

Siedzieli tuż przy oknie za stolikiem modnej w pewnych kręgach restauracji. Tu omawiało się wielkie interesy, tu wykuwało się losy świata. Siedzieli na szczycie Olimpu, równi bogom i jak oni wszechwładni.

- Zdrowy i chętny do roboty - Kruszyna z uśmiechem wyszczerzył zęby.

- Do roboty to jest koń i traktor, my jesteśmy stworzeni do wyższych celów - starszy mężczyzna z wyraźną sympatią patrzył na Kruszyne.

- Cieszę się, że się wykaraskałeś z problemów - kontynuował.

84

- To dzięki tobie, Horko.

- Nie przesadzaj, przyjaciołom w biedzie trzeba pomóc, najważniejsze, że nie pękłeś.

-Ja, daj spokój, Horko. Co mi ta cała psiarnia może zrobić. Tyle ich, że sobie trochę poszczekają. Miałem ciut dłuższe wakacje.

- W kiepskim kurorcie.

Roześmieli się obaj. Przyglądali się młodej, zgrabnej kelnerce, która przyjęła od nich zamówienie. Kruszyna przypomniał sobie ostatnią „robótkę”. Przyszli do sklepu po należne im opłaty. Wydawało się, że właściciel sklepu nie miał wątpliwości, że za spokój trzeba płacić. Poprzednim razem, gdy Kruszyna zaprosił go na negocjacje biznesowe i przedstawił argumenty przemawiające za współpracą z nimi gość zgodził się ochoczo. Kruszyna pojechał tam ze swoimi żołnierzami Czają, Kondziem i Szaramem. Stanowili zgraną ekipę. Ekipę do specjalnych poruczeń. Wierni pretorianie Horka, jego pięść. Już widok tych trzech, łyso ogolonych, barczystych wielkich chłopów studził wszelkie zapały. Widok Kruszyny, przy którym tamci trzej wyglądali jak Tomcio paluch przy wielkoludzie po prostu dobijał resztki chęci oporu. A to dopiero początek negocjacji. Mieli opracowane kilka ich wariantów, w zależności czy przychodzili do sklepu, restauracji czy agencji towarzyskiej oraz kim był ich adwersarz. Tym razem wybrali wariant pokojowy. Kruszyna został w samochodzie, czarnym BMW z ciemnymi szybami. Czaja, Kondziu i Szaram weszli do środka i miło uśmiechając się oświadczyli nielicznym klientom, że bardzo przepraszają, ale sklep właśnie jest zamknięty z powodu remanentu. Ich uśmiechy sprawiły, że wszyscy nagle stracili ochotę do zakupów i szybko opuścili to miejsce. Szaram uśmiechnięty od ucha do ucha objął przyjacielsko sklepikarza i zaczął prowadzić do wyjścia. Powiedział mu, że sam Kruszyna chce z nim

porozmawiać i wytłumaczył mu, jaki to dla niego zaszczyt. Facet niewiele mówił wpatrzony w wystające zza pasków spodni kolby pistoletów. Czaja grzecznie poprosił gościa o klucze od sklepu, mówiąc, że co prawda za moment wrócą, ale lepiej sklep zamknąć. Facet bez słowa wręczył mu je. Gdy wyszli na zewnątrz i Czaja zamknął zamki odprowadzili go do czarnego

85

samochodu. Otworzyły się tylne drzwi i uśmiechnięty Kruszyna zaprosił gościa do środka. Następnie Kruszyna powiedział, że nazywa się Kruszyna i że ma pełnomocnictwo Horka do przeprowadzenia tych rozmów. Powiedział, że ten teren jest terenem pana Horka i że należy mu za zapewnienie bezpieczeństwa płacić. Powiedział też, że sklepik działa już od pół roku i pan Hor-ko wielkodusznie pozwolił na tę działalność, aby nasz szanowny partner zdołał jakoś rozkręcić interes. Stwierdził też, że nie musi się przedstawiać, bo on, Kruszyna doskonale zna naszego kochanego partnera. Wymienił następnie jego imię i nazwisko, podał adres pracy żony, wymienił samochody, którymi jeżdżą oraz adresy szkoły i przedszkola gdzie uczęszczały jego dzieci. Na zakończenie rozmowy wręczył mu kopertę ze zdjęciami rodziny; żony w pracy, dzieci w szkole i przedszkolu. Poklepał sklepikarza po ramieniu i zapewnił w imieniu własnym, że współpraca pomiędzy nimi na pewno dobrze się ułoży i żeby szczegóły omówił z chłopakami. Wyszło na to, że Kruszyna trochę pomylił się, oceniając skłonność do współpracy sklepikarza.

Gdy przyszedli następnym razem na umówioną wizytę po pieniądze czekała tam na nich policja. Szczęście w nieszczęściu, że tym razem nie mieli ze sobą broni. Przesiedział długi czterdzieści osiem godzin. Na rozmowach i przesłuchaniach twardo mówił, że nie wie, o co chodzi. Na zasadzie - odetną rękę i położą obok, mów, że nie twoja. To dobra strategia, pomimo półrocznego pobytu w areszcie. Okazało się, że miał rację. Sklepikarz stracił animusz do dalszej walki i wycofał oskarżenie. Tym bardziej, że mecenas od lat współpracujący z panem Horko wytknął mnóstwo błędów, jakie zrobili policjanci i prokuratura. Wykazał, że nie można mówić o przestępstwie, skoro sklepikarz nie przekazał żadnych pieniędzy Kruszynie. Stwierdził, że był to właściwie napad funkcjonariuszy na niewinnych obywateli. Kruszyna i jego ekipa zostali zwolnieni z aresztu, sprawa miała się toczyć z tzw. „wolnej stopy”. Parę spotkań pana Horko z prokuratorem, radnym, który otrzymał duże poparcie w kampanii wyborczej oraz paroma wysoko postawionymi urzędnikami w Ministerstwie Sprawiedliwości zrobiło swoje. Przecież nie odmawia się wpływowemu biznesmenowi tak drobnej prośby. Sprawa została

?96

umorzona, jak to przeczytał Kruszyna z pisma, z braku cech przestępstwa. Teraz, po krótkich wakacjach na słonecznych wybrzeżach Hiszpanii był gotów do dalszej pracy. Zresztą, z tego interesu nie wychodzi się tak łatwo. Chyba, że na wcześniejszą emeryturę, dwa metry pod ziemię. Sam kilkakrotnie wysłał kilka osób niewygodnych dla Horka na taki zasłużony odpoczynek. Tym razem kroila się łatwizna.

-Kruszynka, wiesz, że liczę na ciebie, chłopaku - Horko uśmiechnął się.

- Zawsze może pan na mnie liczyć.

-Wiem, Kruszyna, wiem. Pojedziesz z chłopakami nadać przesyłkę do Gdańska - Horko uśmiechając się puścił oko do Kruszyny. Kruszyna wraz ze swoją ekipą miał przewieźć 100 kilogramów świeżo wyprodukowanej amfetaminy do Gdańska. Tam ich kontakt umieszczał narkotyk na promie do Szwecji. Człowiek ten robił interesy z Horkiem od lat. Ten interes polegał na tym, że Horek dawał mu towar a on dawał swoje wejścia na Pomorzu, organizował logistycznie cały przerzut towaru do Szwecji i Niemiec. Jak, to już Horka ani tym bardziej Kruszyny nie interesowało. Ważne było to, że za każdy transport Horko dostawał swój udział.

- Po drodze wpadniesz do Heńka do warsztatu - ciągnął Horko. Dasz mu pięć kilo, weźmiesz kasę, a potem polecisz do Gdańska. Jasne?

- Oczywiście.

- Od razu wracajcie, będziecie mi tutaj potrzebni.
- Dobra, będziemy.
- No to w drogę, chłopaku.

Kruszyna jadąc taksówką zastanawiał się nad tym, co ma jeszcze do zrobienia. Od teraz musiał mieć napięte nerwy i uważać, cały czas uważać. W trakcie jazdy praktycznie cały czas głowę miał zwróconą ku tylnej szybie i bacznie lustrował to, co się z tyłu dzieje. Nie zauważył niczego niepokojącego. Wysiadł przy Kępie Potockiej, resztę drogi pokonał pieszo. Ktoś, kto obserwowałby Kruszyne, mocno by się zdziwił. Kruszyzna szedł wolno,

87

aby nagle zacząć biec po to by przebiec jezdnię na czerwonym świetle. Często zawracał i kluczył. Dopiero, gdy uzyskał pewność, że nikt za nim nie idzie skierował się do wysokiego, dzie-sięciopiętrowego wieżowca przy ulicy Deotymy. Tam, na siódmym piętrze znajdowała się wynajmowana przez Kruszyne kawalerka. Przychodził tu bardzo rzadko i zawsze sam. Przekręcił klucz w zamku i znalazł się w środku. Małe, ciasne, wręcz klaustrofobiczne wnętrze nie zachęcało do rozgoszczenia się. Ale nie o to chodziło. Tutaj Kruszyzna przechowywał wszystko to, co było potrzebne do prowadzenia biznesu a czego nie można trzymać w domu. Na środku pokoju stały w nieładzie pudła, kartony, foliowe worki, paki i skrzynie. Kruszyzna wyciągnął jeden z kartonów, otworzył wieczko i sprawdził zawartość. Były tam dwie siedemnastozłotowe CZ-ki, jeden pistolet maszynowy „Skorpion”, po dwa zapasowe magazynki. W osobnych przezroczystych torbach leżała amunicja do tej broni. To wszystko nówki sztuki, towar prima sort. Ponadto leżał tam chłam w postaci czterech rewolwerów gazowych przerobionych na ostrą amunicję. Dobre do strzałów z bliskiej odległości. Kruszyzna z czułością wziął do ręki „Skorpiona” zważył w dłoniach i z widoczną niechęcią odłożył. Wyjął dwa pistolety „CZ” oraz dwa rewolwery. Następnie załadował w magazynki naboje. Dwa magazynki schował do kieszeni bluzy a dwa podpiął pod pistolety. Sprawdził, czy w bębenkach rewolwerów jest amunicja i czy lekko się kręcą. Zadowolony z oględzin schował je do reklamówki z jakimś kolorowym napisem. Pistolety CZ zatknął na plecach za pasek spodni. Pozbierał z dna pudła leżącą luzem amunicję do rewolwerów nie licząc jej i wsunął do kieszeni spodni. Westchnął patrząc na sporą kupę foliowych toreb. Każda zawierała po pięć kilo białego proszku. Czysta, 94-procentowa amfetamina. Laboratoria Horka tylko taką produkowały. Kruszyzna niedawno wszystko tu wnosił, teraz odbędzie odwrotną drogę. Z kąta pomieszczenia wyciągnął dwie torby podróżne. Obie zapelniał reklamówkami z białym proszkiem, do jednej dorzucił torebkę z rewolwerami. Chwycił torby nie bacząc na ich ciężar wyrwywający mu ręce z barków i lekko rozkołysanym krokiem ruszył do wyjścia, do czekającego na dole samochodu. Przywiózł nim tutaj towar dwa dni temu. Pora ruszać po chłopaków i w drogę. Heniek i Gdańsk czekają.

Warecki siedział znudzony w nagrzanym, dusznym samo chodzie. Przez stację słuchał komunikatów przesyłanych przez dwa pozostałe radiowozy. Ustawieni byli około trzystu metrów od obserwowanego warsztatu. Z obu stron ulicy stały cywilne radiowozy, z których policjanci przekazywali na bieżąco to, co się dzieje. Mieli szczęście, że miejsce, w którym stał warsztat łatwo było obserwować. Samochody ustawili na parkingu wtapiając się w tłum. Z pozoru warsztat nie budził podejrzeń. Parterowy budynek, właściwie hala mogąca pomieścić cztery samochody. Czasem jakiś samochód wjeżdżał, czasem wyjeżdżał. Normalny ruch.

Ludzie Wareckiego ustawili się tak, by widzieć to, co wjeżdża i to, co wyjeżdża z terenu warsztatu. Czekali. Według informatorów dziś w nocy złodzieje współpracujący z właścicielem tego warsztatu skradli trzy samochody: dwa BMW i jednego mercedesa. Informacje te potwierdzał dzisiejszy biuletyn. Faktycznie między innymi takie samochody zaginęły. Prawdopodobnie złodzieje odstawili fury na parkingi w pobliżu miejsca kradzieży.

W nocy łatwo dostrzec samochody, ryzyko kontroli policyjnej jest duże. Dlatego złodzieje często skradzione wcześniej wózki dowozili do paserów w dzień, podczas dużego ruchu. Wszystko wskazywało, że Warecki natrafił na dziuplę. Warsztat prowadzony był przez Henryka Kurkiewicza „Grubego”.

„Gruby” miał równie bogatą kartotekę, jak przeszłość. Ogółem dziesięć lat swojego życia spędził w aresztach i więzieniach. Kiedyś był zwykłym złodziejem, teraz kierował sporą grupą. To była dosyć dobrze zorganizowana ekipa. Kradli samochody, w warsztacie „Grubego” przebijano im numery lub rozbierano na części w zależności od potrzeb. Ludzie współpracujący z „Grubym” potrafili zalegalizować skradzione samochody, rejestrując je na podstawie sfalszowanych dokumentów, lub przerzucić przez wschodnią granicę. Od niedawna zajęli się półhur-

88

89

towym handlem narkotykami. To wszystko Warecki i jego ludzie doskonale wiedzieli, nie mieli jednak dowodów.

- Wodzu, wodzu zgłoś - stacja nagle ożyła wytrącając Wareckiego z zamyślenia.

- Słucham cię, Spidi.

- Lesiu, widzisz to, co wjechało do „Grubego”?

- Tak, czarny opel astra, a co?

- A wiesz, kto obok kierowcy siedzi?

- Nie zwróciłem uwagi.

- Kruszyna.

- Zrozumiałem.

Gdy stacja umilkła, Warecki zaczął intensywnie myśleć. Kruszyna u Grubego. Kruszyna ściśle współpracuje z samym bossem, osławionym „Horkiem”, jest jego prawą ręką. Ale Kruszyna nie miesza się w wózki. On jest od poważniejszych spraw - napady, wymuszenia, broń. Stoi również za handlem narkotykami w tej dzielnicy. Jeżeli pojawił się u Grubego, to nie jest to przypadek.

- Wodzu, wodzu zgłoś.

- Czego?

- Co robimy?

Dobre pytanie. A może wizyta Kruszyny u Grubego to tylko przypadek? Jeżeli wejdą teraz a warsztat będzie czysty, to ich pracę diabli wezmą. Jeżeli Kruszyna wyjedzie, trzeba by go obserwować i zatrzymać dalej. Czyli zostawić warsztat Grubego bez dozoru. A jak nic nie będzie miał? Powiadomi Grubego o kontroli i znowu ich robota psu na budę się zda.

- Leszek, poszedłem „na patykach” koło warsztatu. Jak przechodziłem, koło bramy widziałem, że w astrze jeszcze trzech łbów siedzi. Kruszyna stał przy otwartym bagażniku i coś He-niutkowi dał.

- Co dał?

- Nie wiem, reklamówkę mu dał.

Warecki bił się z myślami, czuł, że coś tu się dzieje. Ale szybko obliczył, że jest ich za mało. Kruszyna i trzech z nim w samochodzie, Gruby i jego pracownicy. To dawało jeden na jednego. Biorąc pod uwagę, kim był Kruszyna i gabaryty jego i kompanów to stanowczo za mało.

-Lesiu, wchodzimy? Oni bardzo są elektryczni, cały czas na boki się patrzą.

- A jak nic nie mają? Czekamy na kradzione wózki. -Lesiu, oni zbyt nerwowo się zachowują, słuchaj, bardzo

prawdopodobne, że Gruby jakieś prochy dostał.

Warecki podjął decyzję. Gdy po latach, po skazującym go wyroku sądowym wspominał ten moment, dochodził do wniosku, że była to najważniejsza decyzja w jego życiu. Wtedy o tym wcale nie wiedział. W momencie, gdy ją podejmował, uważał za jedyną słuszną.

- Spidi, Karakan zgłóście się.

- Spidi zgłasza.

- Karakan zgłasza.

- Panowie, wchodzimy.

- Przyjąłem - Karakan i Spidi potwierdzili swoje włączenie do akcji.

- Czarny opel wyjeżdża, powtarzam, czarny opel wyjeżdża z warsztatu - meldowała stacja.

Cholera, akurat teraz. Zezłościł się w myślach Warecki.

- Karakan, atakuj Grubego, Spidi ze mną do opła, tempo! -wykrzykiwał komendy Warecki.

Widział włączającego się do ruchu ulicznego opła, za moment będzie trudno ich dogonić.

Jeszcze chwila i zorientują się o nas. Warecki bił się z myślami, ale było już za późno na wycofanie się. Chwilę później był tuż za nim.

- Spidi, wyprzedzę go i zablokuję drogę, a ty ustaw się za nim.

- Zrozumiałem.

Warecki wyprzedził opła i jechał teraz tuż przed nim. Zbliźali się do świateł, które zmieniały swój kolor na czerwony.

- Spidi gotów.

- Karakan do Wodza - zasapała stacja zadyszka.

- Co jest.

- Gruby związany wraz z nim cztery osoby. Znaleźliśmy reklamówkę z białym proszkiem.

- Bingo, wiesz, co masz robić! -Jasne.

- Spidi atakujemy!

90

91

Warecki zatrzymał samochód na światłach, zanim wyskoczył zza kierownicy, zaciągnął silnie ręczny hamulec. Chłopcy siedzący z nim w samochodzie już wyskakiwali otaczając opła, z bronią przygotowaną do strzału. Z tyłu nadbiegała załoga Spidie-go. Powietrze przeszył ryk silnika pracującego na pełnej mocy. Opel gwałtownie szarpnął w tył z całej siły uderzając w blokujący go z tyłu cywilny radiowóz. Rozległ się trzask miażdżonej blachy. Uderzony samochód zaczął cofać się przed wciąż napierającym oplem. Przednia maska dziwnie się wygięła i uniosła w górę. Gdy tylko zyskał miejsce opel ruszył w przód. Policjanci usiłujący otworzyć drzwiczki szarpiać za klamki i uderzając w szyby odskoczyli na boki. Jeden z nich nie zdążył uskoczyć i na moment wylądował na przedniej masce opła, rozplaszczając się na przedniej szybie, aby po chwili wyrzucony siłą odśrodkową gwałtownie skręcającego pojazdu wyfrunąć w powietrze. Część biegła z powrotem do wozu Wareckiego, który wykrzykiwał do stacji komunikaty. Rozległy się głuche głośnie kłaśnie-cia policyjnych pistoletów. Warecki rzucił kluczyki do swojego wozu jednemu z policjantów, sam podbiegł do rannego kolegi. W tym czasie jeden nieoznakowany radiowóz ruszył z piskiem opon w pościg za oplem z rykiem syreny policyjnej. Za moment wszystko ucichło. Jedyne strzaskany samochód, leżący na ziemi policjant i nerwowo biegający wokół niego koledzy świadczyli o tym, co się tu działo przed chwilą. Warecki klęczał przy koledze, w rękę trzymał radiostację. Dzięki niej wiedział, że wielkie łowy trwają. Łowy, w których nie do końca wiadomo, kto jest myśliwym, a kto zwierzyną.

- Oskar 210, do wszystkich załóg. Cywilny radiowóz ściga czarnego opła astrę o numerach rejestracyjnych Wanda Zenon Natalia 2030, powtarzam Wanda Zenon Natalia 2030. Jadą ulicą Czerniakowską w kierunku Śródmieścia. Zachować szczególną ostrożność przy zatrzymaniu...

Radiooperator skończył nadawanie komunikatu. Słuchał potwierdzeń załóg włączających się do pościgu. Przełączył radio-
92

stację na kanał używany przez kryminalnych, skontaktował się z Wareckim, powiadomił go o jadącej do niego karetce pogotowia. Teraz jedyne, co mógł zrobić, to nie wtrącać się. W dyżurce kłębiło się. Wciąż ktoś przychodził, coś krzyczał, wbiegał i wybiegał. Dzwoniły telefony, stacja krzyczała. Jednym słowem horror. W drzwiach stanął oficer dyżurny.

- Grupę wysłałeś? - spytał.
- Gdzie miałem wysłać?
- No do warsztatu! I załogę mundurową!
- A śniadanie do łóżka chcesz?
- O co ci chodzi!
- Załogi ścigają opla! Nie mam kogo wysłać!
- A grupa do oględzin?
- Chyba, że pojedą z kierowcą komendanta.

Oficer zaklął szpetnie widząc, że perspektywa ruszenia świętej krowy z miejsca nie ominie go.

- Dobra, załatwię to ze starym. Aha, powiadom komendę stołeczną i inne komendy rejonowe, potrzebujemy wsparcia.

- Już to zrobiłem.

Gdy usłyszeli dramatyczny komunikat, byli akurat w pobliżu. Mieli szczęście, dostrzegli pędzącego opla, za nim cywilny radiowóz z migającą lampką na dachu. Włączyli się do pościgu, po raz kolejny tej służby. Karol z zaciętą miną prowadził radiowóz, ostrymi szarpnięciami kierownicy manewrował wozem omijając inne, ustępujące z drogi pojazdy. Andrzej jedną ręką trzymał rączkę nad swoimi drzwiami, drugą opierał tuż nad skrytką samochodu, amortyzując szarpnięcia i przeciążenia. Rafał siedział z tyłu, zaparty o pleksiglasową szybę. Czuł, jak z emocji drżą mu łydki. Patrzył, jak w przedniej szybie migają wyprzedzane samochody. Zbliżali się do mostu Syreny, opel wciąż był przed nimi, jechał, jakby go szatan prowadził. Po chodnikach i trawnikach, pod prąd, byle w przód. Za nim mozolnie przebijały się radiowozy. Matki z wózkami, dziadkowie na spacerku jednakowo uciekały tak samo przed oplem, jak i ścigającymi go radiowo-

93

zami. Nagle opel gwałtownym manewrem wchodząc w poślizg skręcił w lewo, obracając się wokół własnej osi. Ostro jadąc bokiem zajechał drogę jadącym z przeciwnej strony samochodom, wśród pisku opon i ryku klaksonów ruszył w powrotnym kierunku.

Zamieszanie spotęgowały radiowozy pędzące na oślep za nim. Straszliwy łoskot zmusił Rafała do obejrzenia się w tył. Fruwające blachy szczepionych ze sobą samochodów uświadomiły mu, że są jedyną załogą ścigającą opla.

- Zatrzymaj się - krzyknął Andrzej - widziałeś, co się stało?
- Widziałem - mruknął Karol przez zaciśnięte zęby- nie przerwiemy pościgu.
- Ale może są ranni, może trzeba im pomóc?
- No to na co czekasz, wezwij poinformuj przez stację dyżurnego, niech wysła pogotowie. My kontynuujemy pościg.
- Do cholery z tobą, człowieku zatrzymaj ten wóz! - błady z wściekłości krzyczał Andrzej.
- Nie! - wrzasnął Karol nie mniej wściekły. - Nie pozwolimy im uciec, tylko my siedzimy im na ogonie! Jeśli tam są ranni, lub zabici i tak im nie pomożemy! Rozbili się, trudno, szkoda. Szkoda niewinnych cywili, szkoda naszych kolegów, ale stało się! Po za tym nasi koledzy, tak jak i my wiedzieli, gdzie i po co jadą! I co może się stać! Więc zamknij się do cholery, weź tę szcze-kaczkę i powiadom dyżurnego o wypadku. A mnie pozwól prowadzić samochód!

Rafał siedzący z tyłu przypomniał sobie słowa popularnej piosenki „... co ja tutaj robię ooo! Co ja robię tu !! ...”

Zanim Andrzej zdążył podnieść gruszkę radiotelefonu do ust, stacja ożyła. Okazało się, że skończyło się na porządnym strachu i zniszczonych kompletnie wozach. Komendant rejonowy, siedzący za swoim biurkiem i słuchający komunikatów z pościgu właśnie pobladł i poczuł silne ukłucie w okolicy serca. Jak wytłumaczy się stołecznemu z kolejnego rozbitego wozu, jak?

Kruszyna był wściekły. Ledwo przebili się przez blokadę policyjną przy warsztacie Grubego zadzwonił do Horka. Powie-

dział mu, co się stało. Horko pytał, czy do Grubego psy też wpadły? Skąd miał Kruszyna to wiedzieć. Dał dyla i tyle. Horko kazał mu zabezpieczyć towar w awaryjnej skrytce, a potem wszyscy mają się zamelinować i czekać na sygnał. Przestać używać telefonów komórkowych do czasu zmiany numerów. Czekać na sygnał Horka. Teraz najważniejsze, to zgubić pościg i pozbyć się tego samochodu. Jeden radiowóz przyczepił się do nich jak rzep do psiego ogona. Muszę go zgubić za wszelką cenę - myślał Kruszyna. Straty takiej ilości towaru Horko mu nie wybaczy. Nieważne, czy zostawi wóz i dalej ucieknie pieszo, czy też psy dopadną go z towarem - Horko wyśle go na emeryturę, a ta perspektywa wcale Kruszynie nie odpowiadała. Nie chciał skończyć w jakimś leśnym dole przysypany piachem, lub jako pokarm dla rybek w jeziorze Czerniakowskim. Musi zgubić pogoń, ukryć towar, a potem zniknąć na jakiś czas.

Byłe ukryć towar.

- 140 00 zgłoś do 229 - wołał Andrzej przez gruszkowatą manetkę radiotelefonu.

- Słucham ciebie.

- Słuchaj, zgubiłem ścigany samochód tuż przy wale przeciwpowodziowym na Wiśle. Tutaj są jakieś ogródki, pola, zabudowania i szopy. Nie wiem, czy wyjechał stąd, czy też tutaj gdzieś się schował, pokręcę się, może go wypatrzę.

Andrzej odłożył manetkę, wszyscy trzej pilnie wypatrywali na boki, czy nie zobaczą gdzieś szukanego wozu. Ze stacji popłynęły zgłoszenia innych załóg kręcących się w pobliżu jak i oni wypatrujących zguby.

- Pojechali? - spytał Kruszyna, ukryty za pryzmą kompostu.

- Tak - Szaram wychynął zza drzwi szopki. Wjechali na teren posesji sprawiającej wrażenie opuszczonej. Dziedziniec porastała wysoka trawa, krzewy i zdziczałe drzewa owocowe.

Teren posesji ogrodzony był pordzewiałą, w wielu miejscach naderwaną

94

95

siatką. Część słupków było ułamanych. Wjazd na teren posesji oznaczała połamana, częściowo otwarta brama. Dzięki temu udało im się szybko wjechać na dziedziniec.

Samochód zaparkowali w krzakach za szopką, a sami ukryli się w zaroślach i zabudowaniach. Mieli szczęście, radiowóz ich minął. Mieli teraz bardzo mało czasu, by wydobyć towar i ukryć. Choć pozornie posesja była opuszczona, było to mylne wrażenie. Często ktoś tu bywał. Zabudowania gospodarskie, szopka, składzik były zaniedbane i wpółotwarte, wszędzie walały się śmieci, takie jak stare felgi do kół, opony, stare maszyny ponuro wystawały z trawy. Dom również był zaniedbany, jak wszystko wokół. Ale zamknięty na głucho, solidne rolety zasłaniały wewnątrz nie pozwalając zajrzeć do środka.

Kruszyna poszperał chwilę w trawie w okolicach schodów, znalazł metalową skrytkę taką, w jakiej znajdują się hydranty. Otworzył i wyjął klucze. Dom stał otworem. Kruszyna szybko wszedł do środka, otworzył drzwi znajdujące się z drugiej strony sieni. Zawsze trzeba mieć jakieś wyjście ewakuacyjne. Tego nauczyło go doświadczenie. Wszedł do kuchni, schylił się i otworzył drewniane drzwiczki od spiżarki znajdujące się pod parapetem. Szybko zaczął ściągać z półek nieliczne słoiki z dżemami i innymi domowymi przetworami. Wszystkie pokryte grubą warstwą kurzu. Gdy się z tym uporał wyjął półkę, a następnie deskę leżącą na

podłodze spiżarki. Ukazały się drzwiczki zbrojne w zamek „Yale”. Otworzył je i ukazała się czelusia wybetonowanej skrytki. Kruszyna sprawdził ręką, wewnątrz suche. Powinno wszystko się zmieścić.

Wyszedł na podwórze, dobiegły go przekleństwa i sapania z krzaków, gdzie ukryli samochód.

- Co jest - spytał.

- Nic, jak gwizdnęliśmy w tą cholerną radiolę przy warsztacie Grubego, to teraz ten pieprzony bagażnik nie chce się otworzyć.

Faktycznie, tył samochodu był mocno wgnieciony.

- No to z tyłu półkę rozwalicie, szybciej matoly nie mamy czasu.

- A co my robimy? - gniewnie sapnął Kondzio, czerwony z wysiłku.

Po chwili tylna półka poddała się pod silnymi ciosami pięści mężczyzn. Popękana półkę wyrzucili na i tak zagracony dziedziniec. Kruszyna zajrzał do bagażnika. Bał się, że uderzenie, które zmiażdżyło tył ich samochodu zmasakrowało również torby z towarami. Na szczęście wszystko wyglądało w porządku. Rozsunął suwaki w torbach. Część reklamówek popękała, wysypując swą białą, zgranulowaną zawartość do wnętrza toreb podróżnych, ale poza tym nie było większych strat. Dźwignęli torby, przelożyli na tylne fotele samochodu. Kosztowało ich to dużo wysiłku. Torby były piekielnie ciężkie, w samochodzie zaś było ciasno, mieli mało miejsca do manewrów. Ale udało się. Kruszyna z pomocą chłopaków wniósł torby do wnętrza domu. Pokazał im skrytkę, Szaram i Kondzio zaczęli upychać tam torby, a potem zamknęli drzwiczki, położyli dechę imitującą podłogę, zamontowali półkę. Kruszyna zajrzał do jednego z pokoi. Tabletkownica stała tam cały czas. Kruszyna spędził tu kilka nocy przerabiając bezkształtny, biały proszek na eleganckie pigułki. To dopiero był hit sezonu, szły, jak ciepłe bułeczki - uśmiechnął się błogo. Jak się wszystko uspokoi, trzeba będzie zmienić metę, pomyślał. Teraz, gdy zawitali tu Kondzio, Czaja i Szaram wiedziało o tym miejscu zbyt wielu ludzi, ale to w przyszłości. Teraz trzeba było zabrać stąd samochód. Nie mogli go tu zostawić. Zbyt duże ryzyko, gdyby policjanci zwęszyli, że tu stoi. A wcześniej, czy później zwęszą. Trzeba odjechać z tego miejsca jak najszybciej, ze dwa kilometry dalej porzucić wóz. Podszedł do szafki, jedyne mebla stojące w sieni, wygrzebał z niej kilka szmat oraz rozpuszczalnik w półlitrowej butelce. Sprawdził w kieszeni, zapalniczka była na miejscu. Na odchodne podpalił maszynę - niezawodny środek na zatarcie śladów. Zajrzał do kuchni, gdzie Szaram z Kondziem układali ostatnie słoiki na półce.

- Jak skończycie, biegiem do wozu, spadamy stąd.

- Dobra, kończymy - Szaram spojrzął spod swoich krzaczastych brwi i błysnął białymi zębami w uśmiechu.

- Czaja, wystawiaj brykę, lecimy.

- A wy zamknijcie chałupę jak będziecie wychodzić - rzucił w kierunku kuchni.

- Dobra, dobra.

96

97

Czaja wyskoczył na zewnątrz, zapuścił silnik i wyjechał na środek podwórka. Kruszyna zajął miejsce obok niego. W chwilę później na schodach pojawił się Kondzio, biegł w kierunku samochodu, Szaram zamykał drzwi wejściowe.

- Cholera - zaklął nagle - zapomniałem zamknąć tamtych drugich - krzyknął i gwałtownie wbiegł do środka. I wtedy nastąpiło spotkanie.

- Są, są - darł się Andrzej. Karol gwałtownie nadepnął na hamulec, radiowóz zarył w miejscu, wzniesając tuman kurzu. Andrzej ze wzrokiem utkwionym w oplu, pasażerach i biegnącym do samochodu mężczyźnie ręką wymacał klamkę i silnie szarpnął jednocześnie łokciem pchając drzwi. Rafał z tyłu z sercem walącym jak młotem w nagle za małej dla niego piersi robił to

samo.

- Uważajcie, coś mi tu śmierdzi - krzyknął Karol za Andrzejem - za radiowóz chłopaki! - krzyczał, jednocześnie chwycił gruszkę manetki radiostacji, wcisnął guzik nadawania i zaczął wykrzykiwać komunikat. Chłopak biegnący do opla ręką dosięgnął klamki tylnych drzwi a w drugiej dłoni pojawił się rewolwer. Nagle z przedniego bocznego okna wynurzyła się wielka głowa z twarzą wykrzywioną wściekłością. Facet coś krzyczał. Głośna palba przeszła powietrze, coś piasnęło w przednią szybę radiowozu, gdzie pojawiła się mała dziurka otoczona pajęczyną licznych pęknięć. Karol otworzył swoje drzwi, i wyturlał się z samochodu. Zdażył zobaczyć, że Andrzej przykulony obiega samochód chowając się za maskę z przedniej strony radiowozu, Rafał wielkimi susami sadził za jego tył. Wszyscy trzej zdołali wyjąć broń z kabur i przeładować. Rafał miał z tym duży kłopot, trzęsły mu się ręce. Karol klęknął wykorzystując fotel kierowcy jako osłonę. Przez otwarte drzwi od strony pasażera widział tamten samochód, młodego mężczyznę wsiadającego na tylny fotel, wychylonego z przedniego okna furiata strzelającego na oslep w ich kierunku. Słyszał, jak kule dźwięczą o metal samochodu. Palba ze strony tamtego opla mieszała się z głośnymi plaśnięciami -

98

to Andrzej odpowiadał pięknym za nadobne. Karol kilka razy szybko pociągnął za spust. Zobaczył, jak młody wsiadający do wozu mężczyzna złapał się za pierś - Dostał - pomyślał z satysfakcją.

-Uważajcie - krzyknął widząc rozpedzone auto pędzące wprost na nich. Odruchowo odskoczył w tył, kątem oka zobaczył, że Andrzej robi to samo. Opel wyjeżdżając na pełnym gazie z posesji zahaczył swoim przodem o drzwi, które Andrzej zostawił otwarte. Opel wyrwał je, pęd wyrzucił je trzy metry w górę. Za moment upadły tuż za skulonym z rękami na głowie Rafałem.

- Stój, policja! - darł się Andrzej i biegł w stronę domu. Za nim natychmiast ruszył Rafał.

- Będą z niego ludzie - pomyślał Karol.

- Uważajcie chłopaki - darł się za nimi, ale rozsądnie chwycił radiostację i ponownie wykrzykiwał komunikaty. Potrzebowali wsparcia.

W tym czasie siedząca za swoim biurkiem Pani Zofia Rybak, wieloletnia sekretarka komendanta rejonowego Jacka Malinowskiego usłyszała łoskot zza drzwi swojego szefa. Wezwana przez nią załoga pogotowia ratunkowego stwierdziła pół godziny później „nawicę sytuacyjną” i zabrała nieszczęsnego oficera do szpitala. Kolejna ofiara wojny z przestępczością.

Andrzej wpadł do domu, zobaczył po drugiej stronie długiego korytarza młodego, muskularnego mężczyznę

- Stój, policja - krzyknął. Mężczyzna obrócił się. Andrzej dostrzegł w jego dłoni pistolet.

- Rzuć broń - krzyknął Andrzej. Stał na wprost tamtego w odległości pięciu, sześciu metrów. Miał go na muszce.

- Rzuć broń - powtórzył spokojnie - nie rób głupstw, człowieku - mówił. Widział, że tamten jest bardzo zdenerwowany.

99

Krople potu pokryły jego twarz. Bardzo szybko oddychał. Andrzej pomału ruszył w jego kierunku. Wiedział, że za moment pojawi się tu Rafał i Karol. - Rzuć broń, nie rób głupstw - powtarzał jak mantrę. Widział, że jego słowa docierają do mężczyzny. Usłyszał za sobą tupot. Domyślił się, że to Kanał. Nagły hałas zdenerwował osaczonego przy drzwiach mężczyznę -O rany, robi to - pomyślał Andrzej, zdażył złowić okiem moment, gdy tamten podnosił uzbrojoną rękę. Powietrze przeszły strzały, krzyk Rafała i łoskot padających ciał. Karol wbiegający tuż za Rafałem, klął straszliwie. Świadomość, że spóźnił się nie opuściła go do końca życia. Rafał klęczał, wpatrując się w leżącego nieruchomo Andrzeja. Kula przebiła serce, zginął na miejscu. Mężczyzna na wpółsiadający pod drzwiami żył jeszcze, choć widać

było, że jest ciężko ranny. Karol ze stężałą twarzą podszedł do niego mierząc z pistoletu. Nogą odsunął od niego leżący nieopodal pistolet a potem cofnął się dwa kroki.

- Wyjdź stąd Rafał - powiedział martwym głosem - wyjdź, wskażesz drogę innym załogom. Patrzył, jak tamten wychodzi, jak automat. Nie spuszczał oczu z rannego kucnął przy Andrzeju, sprawdził puls, po czym przesunął dłonią po jego twarzy, zamykając otwarte, patrzące martwo oczy. Czuł jak po policzkach ciekną mu łzy.

-Na co czekasz, wezwij pogotowie - wyszeptał osaczony. Karol nie reagował, wpatrując się w niego z nienawiścią.

- Gdzie dostałeś? - spytał rzeczowo. Tamten bez słowa podniósł okrwawioną dłoń, którą dotychczas przyciskał do brzucha. Karol zobaczył dużą powiększającą się krwawą plamę.

- Chcesz żyć, tak? - retorycznie spytał Karol - Zabiłeś mojego przyjaciela gnido. Karol podszedł szybkim krokiem do rannego, wprawnie obszukał szukając broni. W wewnętrznej kieszeni natrafił na portfel. Wyjął z niego prawo jazdy, spojrzął na zdjęcie i schował dokument do swojej kieszeni, portfel włożył rannemu z powrotem do kieszeni. Kucnął tak, że ich oczy były na jednej wysokości.

- Wezwę pogotowie, jak powiesz mi, kto tu z tobą był. Pośpiesz się, masz coraz mniej czasu - Karol wskazał na zakrwawioną koszulę rannego. Tamten uśmiechnął się, ironicznie. Karol szybkim krótkim, wprawnym ruchem rąbnął rannego prosto w ranę, raz a potem drugi i trzeci, a potem coraz szybciej, jak w jakimś zapamiętaniu. Walił wciąż w to samo miejsce, z chirurgiczną precyzją. Ranny skulił się z bólu, zwinął w kłębek. Po chwili coś zaczął szeptać. Karol schylił się, łowił każde słowo. Gdy usłyszał, co chciał usłyszeć wyprostował się, zimno wpatrując się w leżącego na ziemi rannego.

- Wezwij pogotowie - wyszeptał tamten. Był blady, spocony. Twarz wykrzywił mu grymas bólu, przerażenia i rezygnacji -powiedziałem, co chcesz - szeptał wolno z wysiłkiem. Jego ruchy były powolne, ociężałe. - Umieram, człowieku, na co czekasz?

Karol wpatrywał się wciąż nieruchomo - umierasz, to umrzyj z godnością - nagłym ruchem nogi kopnął w kierunku rannego jego pistolet, a sam ponownie wyjął broń z kabury i wycelował w rannego - nie wyjdiesz stąd żywy, zastrzelę cię gnido jak psa, wykonam na tobie wyrok kanalio.

Leżący na ziemi patrzył na Karola z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczami - Nie zrobisz tego, nie zrobisz... - szeptał. Zaczął się cały trząść, pot wystąpił jeszcze obficie na jego ciało -powiedziałem ci wszystko co chciałeś, wszystko, nie zrobisz tego - powtarzał wciąż w kółko, jak zaklęcie.

- Zrobię. Powiem, że sięgnąłeś po pistolet, a ja zadziałałem w samoobronie. Daję ci szansę, możesz jeszcze trafić mnie pierwszy, przestań skamleć jak tchórz, walcz gnido! - Karol cały napiął się wpatrując w tamtego. Ranny patrzył z niedowierzaniem w zaciętą, zimną twarz Karola. Zrozumiał, że to koniec. Stażeli mu przed oczami ludzie, których sam kiedyś wyprawiał na tamten świat. Niektórzy płakali, błagali o litość. On nie poniżył się do błagań. Chwycił pistolet podnosząc z ziemi. Powietrze znów przeszła trzykrotna palba. Wbiegł Rafał z trzema innymi policjantami.

- Co pan zrobił, sierżancie, co pan zrobił? - Karol stał z opuszczoną bronią, z lufy wciąż unosił się dym.

-Oszczędziłem podatnikom kosztów procesu i utrzymania skazańca. Jak nic, dostałby dożywocie - powiedział, spojrzawszy na świeżo przybyłych. - Próbował jeszcze do mnie walnąć, skubaniec.

Rafał gwałtownie wybiegł, roztrącając świeżo przybyłych, stanął na ganku wejściowym, oparł się o futrynę, zgiął wpół i za-

czął wymiotować. Wnętrze domu wypełniało się coraz większą liczbą policjantów, chodzili, wychodzili robiąc zamieszanie. Patrzyli na trupy, przyglądali się z niedowierzaniem martwemu koledze.

- No dobra, wyjdźcie panowie, zdepczecie wszystkie ślady

- Karol przejął inicjatywę. Pozostali, niechętnie wychodzili na zewnątrz. Na podwórzu i drodze stały już trzy świeżo przybyłe radiowozy, powietrze wypełniał jazgot krótkofalówek zamontowanych w pojazdach. Policjanci zbierali się w grupki, rozmawiali między sobą, oglądali przestrzelony radiowóz Karola.

- Śliwa, Grędkowski, zostańcie tutaj z nami - zakomenderował Karol. - Reszta w rejon. Może jeszcze uda się tych kutasów dopaść. Jeden jest prawdopodobnie ranny - relacjonował Karol. Niepisane prawo mówiło, że podczas interwencji dowodzi ta załoga, która przybyła na miejsce pierwsza, do czasu przybycia dowódcy kompanii lub innych wyższych szarż.

- Czy ktoś poinformował już dyżurnego o tym, co się stało? - spytał Karol.

- Ja to zrobię - powiedział Śliwa i skierował się do swojego radiowozu. Karol zwrócił się do Rafała, który siedział na schodach, ciasno obejmując siebie ramionami. Kiwał się silnie w przód i w tył, był blady, spojrzenie miał nieobecne a z oczu ciekły mu ciurkiem łzy.

- Rafał - Karol patrzył na młodego z troską. Ten nie reagował, kiwał się wciąż zapamiętale.

- Rafał - Karol położył mu rękę na ramieniu. Chłopak drgnął, popatrzył na Karola zamglonym spojrzeniem zza szkieł swoich okularów.

- Dlaczego to się stało, to nie jest prawda, to sen - patrzył na niego z nadzieją.

- Niestety, to nie jest sen.

- Co my, w filmie jakimś gramy? O co tu chodzi? To nie może być prawdą. - Rafał wykrzyczał ostatnie zdanie, opuścił głowę na pierś i zaczął głośno płakać szlochając niczym dziecko, głośno, spazmatycznie.

- Płacz, Rafał, płacz, to ci dobrze zrobi. Wyrzuć to z siebie...

- Karol mówił spokojnie i kojąco.

- Jak to jest, był chłopak i go nie ma? Tak po prostu? - Rafał krzyczał patrząc Karolowi w oczy. - To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, jak to tak, koniec?

Karol objął chłopaka, który przytulił się do niego drżący i przerażony.

- Niestety, to nie jest koniec - powiedział. Jeszcze dziś będziemy przesłuchiwani w tej sprawie. Uważaj, jesteś zdenerwowany. Najlepiej powiedz, że dziś odmawiasz wyjaśnień, że nie jesteś w stanie mówić. Nie mają prawa cię zmuszać do niczego. Jutro, jak się prześpisz powiesz, co i jak. Dziś sam na siebie wydasz wyrok.

- Wyrok? - Rafał wyrwał się z objęć Karola - o co tu chodzi? - To my tu bandziorów łapiemy, bandziorów, co strzelają do nas jak do kaczek i jeszcze nas mają za to sądzić? - Rafał darł się, aż nabrzmiałe żyły wystąpiły mu na szyi i twarzy. - Andrzej nie żyje, a oni nas sądzić? - z emocji aż głos uwiązł mu w gardle.

- Tak to już jest, synu - zginęli ludzie, sprawa ta będzie badana. Uważaj na to, co powiesz, abyś sam sobie krzywdy nie zrobił.

- Jedzie tutaj Sosnowski z Noim - powiedział Śliwa - będą też z komendy stołecznej. Zdaje się, że prokurator też będzie. Karol skinął głową, że rozumie.

- Jak kiedykolwiek będę z jakimś bandziorem sam na sam, zabiję, tak jak pan dziś. Tylko nie będę czekał aż on pierwszy podniesie na mnie broń. Rozwalę od razu. Rozgniotę plugastwo. A potem powiem, że on próbował pierwszy. Oni nie mają prawa żyć. - Rafał mówił w przestrzeń, nie adresując tej wypowiedzi do nikogo. Grędkowski i Śliwa wymienili między sobą spojrzenia. Karol drgnął, wyraźnie zbladł. Podszedł do Rafała, położył mu dłoń na ramieniu.

- Obyś nie musiał synu. - powiedział patrząc mu w oczy - A tak w ogóle to mam na imię Karol.

- Mamusiu, niech mamusia wraca, gdzie tam lezie - ostry, gderliwy głos coraz natarczywiej wzbijał się nasilającym się jazgotem. Droga szparko sunęła staruszka, zgięta w pałąk, podpierając się laską z jakiegoś kijka wystruganą. Ubrana była w zieloną spódnicę, jaskrawoczerwony sweter, głowę wiejskim oby-

102

103

czajem zawiniętą miała w kwiecistą chustę. Jakies 100 metrów za nią biegła druga młodsza kobieta, najwyraźniej córka starszej. To ona tak krzyczała. Staruszka stanęła przy płocie chwilę patrzyła na policjantów. Śliwa zrobił dwa kroki w jej kierunku, kobiecina widząc go zapytała w najwyższym zdenerwowaniu, aż jej bezzębna szczęka się trzęsła. - Panie, a kto to tak strzela? Ruskie, czy Niemce?

*

Sochacki opadł w swój fotel. Słuchał w swoim gabinecie krótkofalówki, słuchał głównie kanału używanego przez jego ludzi, ale od dłuższego czasu nasłuchiwał ogólnego, użytkowanego przez mundurowych zakresu. Pomyślał sobie, że są takie dni, kiedy nie warto nosa wyściubiać spod koldry. Bardzo chciał zrobić tak, jak jego poprzednik. W trudnych chwilach opuszczał z godnością komendę prosząc kierownika, aby informował go na bieżąco, cokolwiek ten zwrot miał oznaczać. Bardzo chciał stąd zniknąć. Nie wierzył w to, co słyszał. Rozbite w pościgu dwa radiowozy, ranny policjant, strzelanina a w niej zabity drugi. I jeszcze trup sprawy. Próbował przypomnieć sobie twarz tego zabitego, jak mu tam... Andrzej? Nie mógł sobie przypomnieć, który to. Ale wiedział, że go zna. Znał wszystkich z widzenia, tego Andrzeja też. Mój Boże, taka tragedia, młody chłopak. Jeden z nas. To mógł być każdy z nas - pomyślał.

- Można? - w uchylonych drzwiach stanął Warecki.

- Chodź, chodź - Sochacki machnął zachęcająco ręką - siadaj. No jak tam z Kropem?

- Operują go. Prawa noga-masakra. Poszły więzadła, kość udowa, biodro. Lewa noga nie lepsza.

- Do roboty wróci?

- Lekarz nie daje dużych nadziei.

- Rodzina powiadomiona?

- Tak, on sam przed operacją dzwonił do żony.

- Co z Grubym?

-Już osadzony u nas na dołku, papierologia zrobiona. Tnie niemca, nie wie, o co chodzi ale widać, że myśli. Oprócz niego

zapudłowaliśmy jego dwóch pracowników. Orzech pisze notatkę.

- Co znaleźliście?

- Pięć kilo amfetaminy, dwa kradzione radia i silnik. Trwają jeszcze oględziny uszkodzonego radiowozu i miejsca potrącenia Kropa. Są tutaj kolesie z wydziału narkotyków z komendy stołecznej. Dzwonili też z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną

- Mieli coś konkretnego?

- Nie, chcieli od nas dowiedzieć się, o co chodzi

- Nic im nie mów, fajansiarzom.

- A narkotyki? Są z nami od początku, pomagali zabezpieczyć towar...

- Z nimi pełna współpraca, wymiana informacji. Przyślij później do mnie kogoś od nich.

- Dobra

- Jakies ustalenia w sprawie?

- Został rozpoznany niejaki Kruszyna, on przywiózł narkotyki Grubemu. Został rozpoznany jak tam zajechał. Razem z nim było trzech gości. Sprawdzamy legitymowania, informacje i nasze bazy komputerowe. Typujemy, kto mógł z nim być.

- Wypiszcie nasze policyjne nakazy przeszukania i walcie na znane adresy Kruszyny.
- Wytypowaliśmy dwa adresy: zameldowania i jakiś nam się przewija w sprawie. Wynajmowane mieszkanie czy coś.
- Masz już ekipę do wejścia?
- Tak. Jeszcze chłopaki z narkotyków załatwiają antyterrorystów.
- Bardzo dobrze. Ciągnij temat. Za moment dorzucę ci kogoś z zabójstw. Potem niech oni przejmą prowadzenie sprawy. Nie krzyw się, mamy nieboszczyków, strzelaninę. To z natury rzeczy przynależy do sekcji zabójstw.
- Dobra, kogo dasz?
- Nie wiem. Nie mam sumienia ich obarczać, ale cóż, taki mus... Aleś, chłopie, wynik trzepnął, niech cię gęś kopnie.

Warecki spojrział przeciągle na naczelnika. Na jego twarzy widać było napięcie i zmęczenie.

104

105

- Wiesz - powiedział po dłuższej chwili - nie wiem, co o tym myśleć. Czuję się w jakimś stopniu winien. - Warecki nie zważał na przeczące gesty Sochackiego, ciągnął swą myśl dalej. - Może gdybym wcześniej wydał decyzję wejścia do Grubego, zanim tamci wyjechali... albo gdybym ich w cholere odpuścił, to Krop nie zostałby kaleką, a ten młody z patrolu by żył nadal...
- Dobrze wiesz, że mówisz głupoty. Trafiłeś na zdeterminowanych bandziorów. Pomimo zasadzki, przebili się. To się zdarza, czy nam się to podoba, czy nie, taki scenariusz jest wkalkulowany w ryzyko naszego zawodu - Sochacki ostro mu przerwał, ale Warecki ciągnął nadal, widać było, że to go męczy.
- No, ale gdybyśmy wcześniej wyskoczyli z samochodów...
- Zatrzymywaliscie samochód w dynamicznej sytuacji, zajechałeś mu drogę z przodu, druga załoga z tyłu. Pojawiła się inna sytuacja, niż zakładaliśmy. Tam mieli przyjechać złodzieje z kradzionymi furami, a nie dealerzy narkotyków. Byliśmy na co innego przygotowani. Zablokowaliście wyjeżdżający wózek z przodu i z tyłu. Oni mieli po prostu w tym momencie więcej farta. Uderzając w tylny radiowóz powinni swój samochód uszkodzić na tyle, by nie móc nim dalej jechać. Mieli szczęście, udało im się. Takich rzeczy nigdy nie przewidzisz.
- No, ale ta strzelanina ...
- To był ich wybór i ich konsekwentne działanie. Natrafili na ścigający radiowóz. Udało im się ponownie przebić z blokady, ale jakim kosztem? Mają jednego zabitego, drugiego rannego. Niedługo będziemy sprawdzać szpitale, natrafimy na niego. Albo będzie informacja z przychodni lub innego lekarza, że zgłosił się ranny z ranami postrzałowymi. Albo wpłynie zgłoszenie o uprowadzeniu lekarza.
- Ale jeden policjant ranny, drugi zabity. Mam moralniaka.
- Na pewno. Ale powiedz mi, mogłeś zrobić coś więcej? -Nie.
- No właśnie.
- Dobra, idę do roboty - Warecki wstał i ruszył do wyjścia.
- Jak zobaczysz Buczkę, powiedz mu, że siedzimy do odwołania, jego ludzie są do twojej dyspozycji.
- On wie, jego chłopaki oględziny trzepią.
- Dobra.
- Jak zobaczysz gdzieś Giegie, to daj go do mnie.
- Dobra.

Warecki wyszedł. Sochacki zaczął intensywnie myśleć. Na pewno ktoś od Giegie musi przejąć pieczę nad całością sprawy. Główny wątek dotyczy zabójstwa, w dodatku sprawcy mieli broń palną. Trzeba natychmiast tam nad wał kogoś wysłać, zabezpieczyć dokładnie miejsce zdarzenia, zanim patrolówka zادةpcze wszelkie ślady. Trzeba powiadomić oficera

miasta i wydział zabójstw z komendy stołecznej. Wątek narkotyczny na pewno łącznie wydział narkotyków. Ale trzeba zapewnić sobie przepływ informacji, te wątki się wiążą. Czemu ci klienci uciekali? Co wieźli? Trupa w bagażniku czy narkotyki? Broń? Na pewno musieli sobie skalkulować ryzyko starcia z policjantami, byli na nie przygotowani. To gruba sprawa. Sam Kruszyna i jego komando. Ale dorwiemy ich. Na pewno ich dorwiemy. To tylko kwestia czasu. Tym razem szanowny pan Kruszyna już się nie wywinie. Skrzypnęły drzwi. Sochacki spojrzął, uśmiechnął się.

- Wejdźcie - zaprosił gości do środka. Wchodzili, obaj z podkrążonymi oczami, bladzi ze ściągniętymi rysami. Giegie i Chińczyk.

-Już wiesz? - Sochacki zwrócił się do Giegie. Ten milcząco skinął głową.

- Słuchałem stacji, słyszałem. Zakończyliśmy sprawę ekspedientki, sprawcy dostali areszty. Dalej to już prokuratura i sąd.

- Jasne.

- Jesteśmy urąbani, jak konie po wielkiej pardubickiej.

- Zdaję sobie z tego sprawę - Sochacki bystro popatrzył na zmęczoną, jakby wymiętą twarz Giegie.

- I dlatego bez zmrużenia okiem dorzucisz nam sprawę tej strzelaniny.

- Nie mam innego wyjścia.

- Wiem - Giegie zrezygnowany kiwnął głową.

- Kogo tam wyślesz? — Sochacki od razu przeszedł do konkretów.

- A musi jechać ktoś dziś? Wstępne czynności, mam na myśli zabezpieczanie śladów, oględziny miejsca zdarzenia, rozpoznanie

106

107

posesyjno-terenowe nie wymagają bezpośredniego zaangażowania moich ludzi. No wiesz, wszyscy dwie doby tyrali, są zmęczeni...

- No, ale jak ty to sobie wyobrażasz?

- Przecież oględziny miejsca robi grupa oficera prawda? Oględziny zwłok robi biegły z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego wraz z prokuratorem? Rozpoznanie mogą grzecznościowo pociągnąć chłopaki z mieszkaniówki i samo-chodówki? I tak przy tych wstępnych czynnościach zejdzie się do rana. Jutro ktoś zbierze wszystkie kwity do kupy, przeanalizuje i tyle.

- Nie do końca jest tak, jak mówisz. Są już pierwsze ustalenia w sprawie. Wiadomo, że od Grubego nawiewał nam Kruszyna, zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - Giegie kiwnął głową, Sochacki kontynuował - nieboszczyk, jest z jego ekipy. Znacie przecież ich ze spraw dotyczących haraczy, napadów.

- Faktycznie, Kruszyna i jego załoga są naszymi stałymi figurantami, co z tego, jak nigdy dowodów nie ma.

- Ale trzeba ustalić tożsamość tego zabitego, najprawdopodobniej drugi jest ranny.

- Do szpitali trzeba uderzyć.

- No właśnie, po za tym na miejscu będzie ekipa z zabójstw ze stołecznej, może coś mają na temat Kruszyny, trzeba dogadać się z gośćmi z narkotyków, są tu na miejscu - wyliczał Sochacki. - Kilka adresów Kruszyny Warecki wygrzebał, trzeba sprawdzić, które, może coś mu dorzucisz.

- Rozumiem, że zdecydowałeś o wejściach na nie?

- A na co czekać?

- Masz rację, trzeba atakować od razu.

- Poza tym możemy spodziewać się inspektoratu, wiesz, policjant zastrzelił człowieka, będzie wielkie rycie.

- Fakt.

- A po za tym dzwonił już z PZ-tów, nie wiem, czy słuchali stacji, czy co, na razie nikt ich nie informował o wydarzeniu, a już wiedzą. Skąd?

- Co sugerujesz?

- Nic, zastanawiam się głośno.

Giegie zaklął długo i przeciągle. Odreagował zmęczenie, frustrację i widmo kolejnych nieprzespanych nocy. Chińczyk siedział nieruchomo, przysłuchiwał się rozmowie przełożonych.

- Naczelniku - odezwał się po raz pierwszy, odkąd wszedł do tego pokoju - proszę mi dać tę sprawę.

- Chłopie, jesteś po niezłym maratonie. Twój koledzy załapali chociaż kilka godzin snu, ty jesteś w robocie cały czas. Jesteś zmęczony, nie jesteś w stanie tego ciągnąć. Ten temat powinien prowadzić ktoś inny. Giegie, kto się tym zajmie?

- Naczelniku, proszę dać mi tę sprawę - Chińczyk wpatrywał się w Sochackiego. - Potem da mi pan kilka dni wolnego.

-Nie.

- Naczelniku, prowadziłem kilka poważnych spraw na tę grupę. Wiem, kto, co, z kim i jak. Przymknąłbym ich dawno, ale właściciele sklepików, restauratorzy nie chcą oficjalnie zeznawać, nie mamy dowodów, ale znam skład, znam dużo adresów, miejsc spotykania się ...

- Wiem, Chińczyk, jesteś bardzo dobrym policjantem. Ale jesteś przemęczony, wiesz czym to grozi?

- Daj mi tę sprawę, proszę - Giegie położył rękę na ramieniu Sochackiego - Andrzej Barczycki, ten, co zginął ... znali się, rozumiesz?

Sochacki zamyślił się głęboko. Popatrzył na Chińczyka, na jego zmęczone oczy, wyostrome rysy twarzy, na szarą, ziemistą cerę.

- Na co czekasz? - spytał patrząc w skośne oczy pracownika.

- Mam iść do domu? - spytał Chińczyk ściskając ze złością szczękę. Czuł, że serce ze złości wali mu jak młotem a ręce drżą.

- Dom? A co to znaczy dom?

- Dziękuję szefie.

- Nie dziękuj, bo jak spieprzysz ten temat to...

- Wiem, za co mnie pan powiesi - wszedł mu w słowo Chińczyk.

- No właśnie. A ty odpowiadasz mi głową za jego ewentualne wyczyny - Sochacki powiedział to bezpośrednio do Giegie.

- Jasne, słuchaj, zrobimy tak: Chińczyk zajmie się koordynacją całości, zbieraniem informacji i składaniem ich do kupy. Sprawę

108

109

wejścia na adresy Kruszyny niech bezpośrednio nadal nadzoruje Warecki, na miejsce strzelaniny pojedzie grupa przy oficerze. Chińczyk pojawi się tam, pogada, zorientuje w topografii, poza tym tu na miejscu będzie współpracował z dochodzeniówką, czyli analiza przesłuchań świadków itp. jednym słowem złoży wszystko do kupy. Trzeba ruszyć komisariat, niech dają ludzi na rozpoznanie posesyjno-terenowe. Oni najlepiej orientują się tam u siebie. Niech on po prostu nadzoruje całość działań, czuwa nad wszystkim. Zobaczymy, co nam wyjdzie z przeszukań u Kruszyny. Albo go dopadniemy i wtedy finito, albo trzeba będzie zabrać się do tego kompleksowo, wtedy Chińczyk już wszystko będzie wiedział.

- To dobry plan. Chińczyk, jesteś odąd odpowiedzialny za koordynację działań, wal do Wareckiego, niech cię wprowadzi w całość i działaj.

- Tak jest, panie naczelniku.

Gdy mężczyźni wyszli, Sochacki opadł ponownie w fotel, podparł głowę na łokciach spoczywających na blacie. Zapowiadał się cholernie, ale to naprawdę cholernie długi dzień.

Rozdział 3

Dawno już nie siedział na tylnym fotelu radiowozu, za pleksiglasową szybką. Zawsze prowadził samochód, teraz kierował nim Noi. Karol pomyślał sobie, że właśnie przestał kierować swoim życiem, że robi to kto inny.

- W niezły gips wpakowałem się - myślał poirytowany. Zdawał sobie sprawę, że teraz zaczął się balans na cienkiej linii. Chwila nieuwagi i wyląduje do końca życia za kratami. Ale nie żałował tego, co zrobił. Wiedział, że w ocenie społecznej, jeśli sprawa się wyda będzie po prostu zabójcą. Takie są fakty, zabił człowieka z zimną krwią. Ale Karol patrzył na to inaczej. To jest wojna, zimna i bezpardonowa. Strona, którą on reprezentował, czyli państwo prawa ponosiło w tej wojnie klęskę za klęską. Wywiady z bossami gangów w gazetach, pyszniących się swoim bogactwem przy aplauzie pismaków cieszących się z nieudolności policji. Mówili w swoich artykułach - my dziennikarze wiemy, kto kieruje mafią w Polsce a policja tego nie wie. Bo jakby wiedziała, to bossowie siedzieliby w więzieniach. Tylko dziennikarze nie patrzyli na zdezelowane radiowozy, bzdurne limity kilometrów, zastraszonego świadków, adresy, których same sądy w aktach podsuwały bandziorom. Sprawy ciągnące się latami, bo pan oskarżony źle się czuje lub zmienił adwokata. Niechęć do wprowadzania nowoczesnych rozwiązań prawnych, które umożliwiłyby skuteczną walkę z przestępczością. A on, stróż porządku patrzył na to i wstydził się za cały ten chory system, skutecznie gnębiący starszuskę przechodzącą w złym miejscu na pasach

lub bezdomnego pijanego lumpa odwożonego do izby wytrzeźwień. A bandyci wymuszający coraz bezczelniej haracze, porywający ludzi dla okupu, handlujący narkotykami, bronią i strzelający do ludzi jak do kaczek byli poza zasięgiem tego dziwnego państwa, które miał nieszczęście reprezentować. To była wojna, a na wojnie obowiązują inne prawa.

Karol uważał, że każdy człowiek wolnego kraju jest pod opieką tegoż kraju. Ale obywatel sprzeciwiający się swojemu państwu i jego przedstawicielom, obywatel z bronią w ręku atakujący przedstawicieli tego państwa powinien przestać być obywatelem chronionym przez prawo a stać się bandytą wyjętym spod prawa. Jeżeli ktoś przemocą włamuje się do czyjegoś domu, to powinien zdawać sobie sprawę, że właściciel może się bronić. Skutecznie, do zabicia włamywacza włącznie. Teraz taki włamywacz, jeżeli zostanie złapany, będzie natychmiast zwolniony z aresztu a jego sprawa odbędzie się za lat sześć. A przez ten czas złodziej dalej kradnie. A jeżeli jakiś dziwny okradany właściciel broniąc swojego domu i swojego mienia zrani złodzieja nożem lub w inny sposób zrobi mu kuku, to jako niebezpieczny przestępca ląduje natychmiast w areszcie, w którym siedzi rok czy dwa do sprawy. A potem na tej sprawie spotyka tego samego złodzieja, który zeznaje jako pokrzywdzony. Złodziej dostaje za kradzież wyrok roku w zawieszeniu na dwa lata, uczciwy obywatel broniący swego mienia dostaje sześć lat bezwzględnej odsiadki. I tyle w kwestii idei państwa prawa, o której bezproduktywnie rozprawiali mądrzogłowcy, co dzień w telewizji. A Karol za nich wziął na swoje sumienie obronę zwykłych ludzi. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, żadnych. Ten młody chłopak, którego zabił już teraz w wieku dwudziestu trzech lat z bronią w ręku strzelał do policjanta, a na pewno wcześniej parę rzeczy miał na sumieniu. Co z niego wyrośnie? Zabijałby. Po prostu. Karol dokonał zwykłego aktu samoobrony społecznej eliminując z niej jednostkę będącą zagrożeniem. Nawet, jeżeli resztę życia spędzi za kratami, warto było.

Jechał z tyłu, zamyślony. Obok niego, wtulony w drzwi za kierowcą siedział Rafał. Noi prowadził maszynę spokojnie, bez zrywów. Obok niego siedział dostojnie komisarz Sosnowski.

Jechali na komendę, na przesłuchanie. Zostawili za sobą na wpół wiejskie zabudowania przytulone do wału wiślanego na obrzeżach miasta, ostrzelany samochód - niemych świadków dramatycznych wydarzeń. Teren został wzięty w posiadanie przez ekipę techników z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego, techników z ich komendy, cywilów z

wydziałów kryminalnych ich komendy oraz komendy stołecznej. Cały teren został otoczony białą-czerwoną taśmą z napisem „Policja”. Na zewnątrz niej zebrały się grupki gapiów, cicho komentujących zajście i swój strach, gdy słyszeli strzały. Została też jedna załoga mundurowa, w znużeniu lustrująca gapiów, pilnując, by żaden z nich nie przekroczył magicznej linii oddzielającej miejsce zdarzenia od normalnego świata. Zostały też ciała młodych mężczyzn, którzy spotkali się po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu. Teraz leżeli obaj, jeden na plecach, z rękami rozrzuconymi na boki, drugi skulony w kłębek, obojętni na ruch nad nimi, na błyski fleszy, obojętni na rozbierające ich ręce uzbrojone w lateksowe rękawice. Można powiedzieć, że jedyny protest, to sztywność ich członków zastygłych w swoich pozach niczym wielkie kukły. Tak jakby swą zimną sztywnością protestowali przed czekającym ich kamiennym stołem znajdującym się w Instytucie Medycyny Sądowej przy ul. Oczki, przed skalpelami „zimnych chirurgów” zaznaczających już w swych notesach termin. Termin, w którym jako jedyni poznają dogłębnie wnętrza obcych sobie ludzi.

Cztery samochody, dwa volkswageny transportery i dwa polonezy, bez żadnych oznakowań wyruszyły na dwa różne adresy. W polonezach jechało po trzech cywilnych policjantów: dwóch operacyjnych i jeden z dochodzeniówki. W volkswagenach za zaciemnionymi szybami kryli się policjanci z grup szturmowych, w kewlarowych hełmach, opasanych paskami gogli. Twarze ich skrywały czarne maski-kominiarki. Ubrani w kamizelki taktyczne z wieloma kieszeniami z dziwną i tylko im znaną zawartością, pod spodem mieli nowoczesne kamizelki kuloodporne, nadając i tak krępym i muskularnym sylwetkom jeszcze

112

113

potężniejsze wymiary. Czarne kombinezony dopełniały posępnej reszty. Obwieszeni kajdankami, pistoletami, pistoletami maszynowymi z rozkładanymi kolbami, strzelbami gładkolufowymi wyglądali niczym bożonarodzeniowe choinki. Wszyscy razem i każdy z osobna stanowili groźną broń. Szybcy, sprawni, wyszkoleni i zaprawieni w wielu akcjach. Grupy szturmowe pododdziałów antyterrorystycznych. Jechali spokojni, znużeni, rutynowo rozwalić drzwi wskazane przez kryminalnych i spętać wszystko, co się za tymi drzwiami rusza. Byli przygotowani na każdą ewentualność. Kieszenie ich kamizelek wypełnione były między innymi amunicją piaskową do przestrzeliwania zamków. Mieli tarany do rozwalania drzwi. Jeżeli natrafiali na podwójne, anty włamaniowe, mieli specjalne piły lub materiały pirotechniczne. Do wyboru, do koloru, co kto lubi.

Na skrzyżowaniu kolumna rozdzieliła się. Jeden polonez i volkswagen pojechał prosto, dalsze dwa wozy skręciły w prawo.

- Powiedzcie mi panowie, gdzie właściwie jedziemy - spytał z głupia frant siedzący na tylnej kanapie poloneza mężczyzna - bo właściwie nie wiem, o co chodzi. Ledwo wróciłem z sądu, a tu wparował Kanarek i krzyczy: jedź, bierz kwity i jedź. Nawet nie wiem, jakie kwity.

Wziąłem komplet: przeszukania, oględzin, przesłuchań.

-Jaki Kanarek - zainteresował się siedzący z przodu policjant. Pracował razem z prowadzącym teraz samochód kolegą w „mieszkaniówce” pod dowództwem Buczki. Siedzący z tyłu kolega pracował w sekcji dochodzeniowo-śledczej.

- No, Kanarek, nasz naczelnik - gruchnął śmiech siedzących z przodu mężczyzn. Porównanie podkomisarza Kowalskiego rozmiłowanego we wściekle kolorowych marynarkach i krawatach do kanarka było trafne.

- Słyszałeś o pościgu, strzelaninie?

- Co miałem słyszeć?

- No to nieźle, kolego, jesteś poinformowany.

- Nie pitoł, tylko mów, o co chodzi.

- Samochodziarze robili zasadzkę, wparowali na dziupłę akurat podczas dostawy prochów.

Znaleźli tam ładnych parę kilo amfetaminy.

- Niezły strzał, mają dobrego informatora chłopaki - gwizdnął z podziwem dochodzeniowiec.
- Tak, tylko że jeden wózek wyrwał im się, potracił jednego z naszych.
- Ja pierdziele, daj spokój, kogo?
- Ten wysoki z czarną czupryną - Krop.
- Co wy mówicie, Krop? Taki w porządku koleś, na podoficerce razem byliśmy.
- Nasi zaczęli napaść do tego wózka, ale gdzie tam, dał w długą a po drodze naszą fiacinę tempnę zdażył skasować. Drugi wózek poleciał za nim, po drodze dołączyli mundurowi i tak cięli przez miasto. Tamci zapylali, że niech cię, nie patrzyli, czy pieszy idzie, czy nie, darli naprzód. A potem, wyobraź sobie, tamci zrobili nawrotkę o 180 stopni i cięli nazad.
- I co, nasi ich zgubili?
- Nie, tylko nasi kolejną brykę w drobiazgi rozbili. Próbowali za tamtymi nawrócić i czołówkę zaliczyli. Nic się nikomu nie stało.
- Nie jechali na bulajach?
- Wszystko na legalu, syrena wyła, światła migąły, ale wiesz jak jest.
- No tak.
- Mundurowi za nim poszli. I to był ich pech. Bo jak dopadli w końcu tych uciekających, to okazało się, że to lepsze kozaki, wyciągnęli klamki i rozpoczęli regularną bitwę i... - opowiadający zawiesił głos.
- Co się stało? - dopytywał się dochodzeniowiec
- Jeden z naszych nie żyje. -I tamci uciekli?
- Jeden został martwy. Zastrzelili się nawzajem, a drugi prawdopodobnie ranny.
- Kto to, jak się nazywa, nazywał... ten mundurowy? - z widoczną obawą spytał dochodzeniowiec.
- Na pewno kojarzysz, taki wysoki z jasnymi włosami, blondyn. Z Karolem jeździł ...
- To już wiem, kto... Andrzej.
- I my jedziemy na zatrzymanie jednego z tych, co w tej strzelaninie brali udział.

114

115

- Żartujesz! - zachnął się dochodzeniowiec.
- Ale nie sami, z tyłu za nami antki jadą.
- A to chyba, że tak. A mamy nakazy prokuratorskie?
- Nie, tylko nasze, podpisane przez naszego naczelnika.
- A wiemy, kogo mamy zatrzymać?
- Tu mam dane, ale mówiąc szczerze nic mi nie mówią.
- Zdjęcia ani rysopisu nie macie koledzy szpiedzy? - dociekał dochodzeniowiec.
- Człowieku, Bozia cię opuściła? Skąd, kiedy i jak? To wszystko dzieje się z marszu, idziemy tak zwanym gorącym tropem.
- Nie mam więcej pytań.

Samochody wolno wjechały na parking przed blokiem. Cywile poszli znaleźć konkretne mieszkanie, potem wrócili i naradzali się chwilę z antyterrorystami. Mieszkaniowcy, ze względu na specyfikę swoich „podopiecznych” stroniących od rozwiązań siłowych, właściwie nigdy nie korzystali z usług pododdziałów antyterrorystycznych. Dlatego zadali nierozsądne pytanie niewłaściwej osobie. Zapytali się dowódca grupy, czy wchodzimy „na pukane” czy od razu rozwalamy drzwi. Pomimo kominiarki na twarzy, widać było, że oczy antyterrorysty zapaliły się niczym lampki. Dla policjantów z oddziałów specjalnych drzwi istniały tylko i wyłącznie po to, aby móc je wysadzić. Dziesięć minut później rozległ się na ósmym piętrze bloku straszliwy huk, posypał się tynk a korytarz wypełnił kurz.

Jak orzekła badająca później tę sprawę specjalna komisja nadzoru budowlanego i specjalistów Komendy Głównej, policjanci użyli zgodnej z procedurą ilości trotylu. Tyle tylko, że w latach siedemdziesiątych, gdy budowano ten blok użyto zbyt małej ilości cementu. Nieoficjalnie

mówiło się o tym, że przecież w tamtych czasach wszyscy kradli. Tym należy tłumaczyć naruszenie konstrukcji nośnej bloku. Tak, czy inaczej, Kruszyny w środku nie było. Kruszyna z Czają wysiadali z windy, gdy nagły wstrząs rzucił nimi o ziemię. Drzwi od klatki korytarza, wiodącej bezpoś-

rednio do jego kawalerki wywaliła jakaś potężna siła. Właściwie nie same drzwi, tylko ich szyby. Wyleciały milionem odłamków a za nimi kłębami pyłu.

- O co chodzi - powiedział Kruszyna otrzepując się z kurzu, po czym zamarł. Z korytarza wyszło krztusząc się trzech ubranych na czarno antyterrorystów i trzech cywili. Na kilometr śmierdzieli psiarnią. Kruszyna domyślił się, że policjanci przyszli do niego. Jak pech, to pech.

- Nic się panom nie stało?

- Nie, nie, dziękujemy wszystko w porządku - Czaja mówił szybko uśmiechając się nieszczerze, my właśnie wychodzimy u kolegi byliśmy tu pod 211.

- Aha, no to uciekajcie stąd panowie, uciekajcie. - Momencik - drugi cywil stanowczym głosem usadził ich

w miejscu, pokazał legitymację i wymamrotał nazwisko - Poproszę dowody panów.

- Nie mamy. Nazywam się Mariusz Kowalski a to mój brat Leszek. Mieszkamy dwa bloki stąd, na piwo do kumpla przyszliśmy, ale go nie ma. Wracamy do domu - cywil słuchał, wyjął notes i chciał zapisać to, co usłyszał, ale jego uwagę zaprzętnął komunikat radiowy. Wynikało z niego, że został odnaleziony samochód, czarny opel, prawdopodobnie ten, którego szukają. Ma rozbity bagażnik i płonie pięćset metrów stąd w lasu. Cywil machnął ręką, że mogą odejść, z czego Czaja i Kruszyna szybko skorzystali. Chwilę później policjanci w cywilu i dwóch antyterrorystów biegło po schodach usiłując dognać świeżo zwolnionych. Dosłuchali komunikatu do końca. Radiooperator podał rysopisy. Ale po ściganych ślad zaginęły. Chińczyk gotował się z wściekłości. Chodził po swoim pokoju nerwowo niczym lew w klatce, przeciskając się między biurkami. Dwaj niefortunni dowódcy nieszczęsnego oblężenia siedzieli ze skruszonymi minami, widać, że było im łyso. Chińczyk kłął jak szewc w poniedziałek, wyrzucał słowa niczym karabin maszynowy gęsto przy tym gestykułując.

116

117

- Czy wy macie dobrze w głowie! Ludzie, z przedszkola prosto przyszliście, od dwóch dni tutaj pracujecie? Nie dość, że pół bloku o mało nie wyleciało przez was w powietrze...

- Przepraszam, to dowódca antyterrorystów powiedział...

- A od kiedy to antyterrorysty mówią co należy zrobić, co? Oni nie są od myślenia, od tego jesteście wy! W dodatku pozwoliliście Kruszynie uciec, kretyni!

- Do diabła, a skąd miałem wiedzieć, że to on? Ani rysopisu, zdjęcia nie dostałem a teraz pretensja?

- Tak słucham - Chińczyk odebrał telefon, którego natarczywy dzwonek przerwał kłótnię. Chwilę przytrzymał słuchawkę rzucił krótkie „dobra” i rzucił ją z powrotem na widełki.

- Dzwonił Sochacki. Otrzymaliśmy informację, że półtorej godziny temu z czarnego opła wypchnięto pod szpitalem młodego mężczyznę. Opel odjechał. Świadkowie mówią, że miał wgnieciony bagażnik. Ten mężczyzna jest ranny, dwie rany postrzałowe klatki piersiowej. Leży na bloku operacyjnym. Na pewno nie ucieknie, bo jest pod narkozą, więc pojedźcie tam, znajdźcie odpowiedzialnego lekarza i dowiedźcie się wszystkiego, co trzeba. Mundurowi już tam są i będą do odwołania. Załatwicie to, bombowi chłopcy?

- Dobra. Ale jak się wszystko uspokoi to wrócę i dam ci w kły.

Karol stał przy swojej szafce i pomału przebierał się w cywilne łachy. Miał już wszystkiego szczerze dosyć. Na szczęście Sosnowski wyraził zgodę na wcześniejsze zwolnienie Karola do domu. I tak się do niczego nie nadawał. Dopadało go zmęczenie, adrenalina przestawała działać i czuł się jak przekłuty balon. Poważnie się zastanawiał, czy jutro nie zgłosić się do policyjnej poradni zdrowia psychicznego. Jako szanujący się policjant już od ładnych kilku lat

był tam zarejestrowany „lecząc” nerwicę. Chodziło o to, by mieć doliczony odpowiedni procent uszczerbku na zdrowiu odchodząc na emeryturę, oraz w przypadku nieprzewidzianych sytuacji, takich jak dziś, móc powiedzieć - Bardzo przepraszam, ale jestem wariatem, oto dokumenty, wysoki sędzie

118

i prokuratorze. Pocałujcie mnie w d...ę i wyślijcie na leczenie, bo nie odpowiadam za swe czyny.

Co prawda prokurator przesłuchujący Karola był pełen tolerancji. Zrozumiał odmowę składania zeznań przez Karola, nie stroił fochów. Powiedział, że w jego ocenie użycie broni przez policjantów było zasadne. Oczywiście wiążącą opinię wyda po zapoznaniu się z całością materiałów. Karol liczył się w duchu z tym, że zostanie rutynowo zatrzymany razem z Rafałem na 48 godzin, ale obeszło się bez tego. Zobaczył w wejściu zaaferowanego Noiego pracującego w jego kierunku i cicho westchnął.

- No i, no i Karol wszystko w porządku?

- Jasne.

- Karol, po co ci broń? Nigdy jej nie brałeś po służbie. No i, no i martwię się, czy ty jakiejś głupoty znowu nie walniesz.

- Daj spokój, Heniek, co to ja dziecko jestem.

- No i, no i po co ci ten złom? - Heniek wskazał palcem na kaburę z tkwiącym w niej pistoletem przy spodniach Karola.

- Rozkaz komendanta jasno mówi, że jest to moja broń osobista. Mam przechowywać ją w domu a jeśli nie mam warunków, komenda musi wtedy przyjąć. Dziś chcę się nią zaopiekować.

- Nigdy tego nie robiłeś, nigdy. Czemu akurat dziś, co? - Karol nie odpowiedział, ubierał się bez słowa. - A jak prokurator będzie ją chciał zabezpieczyć? No i, no i będzie problem, nie?

- Daj spokój Heniek, trzęsiesz się jak baba. Jak by chciał, to by już zabezpieczył. I pistolet i mnie. Nie ma o czym mówić. Trzymaj się Heniu, do jutra.

- Karol - słowa Heńka zatrzymały go w drodze do wyjścia - Jakby co ... no wiesz, trudny dzień, ciężki dla nas wszystkich ... no i, no i ... Zawsze możesz na mnie liczyć.

- Dziękuję - Karol podszedł do Heńka i mocno uściśnął mu dłoń. Na moment ich spojrzenia skrzyżowały się. Karol zrozumiał, że Noi wszystkiego się domyśla. W końcu znali się jak tyse konie.

- Karol, proszę cię, nie narozrabiaj, proszę. No i, no i obiecaj mi to.

- Postaram się Heniu. Musi ci to wystarczyć.

- No i, no i tego się obawiam.

119

Karol zmierzał do wyjścia. Jego marzeniem było dotrzeć do samochodu i jak najszybciej znaleźć się w domu. Przy schodach wpadł na niego Chińczyk.

- Cześć Karol. Bardzo mi przykro z powodu Andrzeja.

- Nic nie mów, proszę cię, ledwo się trzymam.

- Wiem. Ale chcę z tobą pogadać.

- Teraz?

- Tak. Bardzo mi na tym zależy.

- Daj spokój.

- Karol, znam cię i szanuję. Uczyłeś mnie roboty, jeździliśmy razem przez rok. Dużo ci zawdzięczam. Ale chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć.

- Wszystko powiedziałem prokuratorowi.

- Gównu powiedziałeś, odmówiłeś zeznań.

- Czytałeś protokół - bardziej stwierdził, niż spytał Karol.

- Prowadzę te sprawę.

-Powodzenia - Karol chciał ominąć Chińczyka, ale ten zagroził mu drogę, położył ręce na ramionach.

- Muszę wiedzieć - powtórzył twardo patrząc Karolowi w oczy. -Co?

- Czy nie będę ścigał ciebie?

-Oszalałeś, człowieku! - Karol wyraźnie zezłoszczony gniewnie targnął ramionami zrzucając ręce Chińczyka. Robił się na przemian krwistoczerwony lub blady na twarzy, a ręce zaczęły mu się wyraźnie trząść. Ponownie chciał minąć Chińczyka, ale ten złapał go za poły i przycisnął do ściany.

- Uspokój się. Chcę tylko pogadać. Bo jutro, pojutrze prokurator wpadnie na to samo co ja.

- A na co ty wpadłeś, jeśli łaska wiedzieć. Bo moim zdaniem, to szanowny pan nie wpadł a upadł i nie na coś, tylko na głowę!

- Zostałeś sam na sam z rannym bandziorem, bandziorem, który zabił Andrzeja, twojego przyjaciela. Nagle ten bandzior z poszarpanymi bebechami chwyta za pistolet, który odtrąciłeś wcześniej od niego o dobre trzy metry? Niespodziewany przypływ sił psychokinetycznych, czy też ktoś mu ten pistolet podał?

- Młody złożył wyjaśnienia? Mówiłem gnojkwowi, by wstrzymał się do jutra.

- Skąd krew na twoim ręku?

- Co? A krew na ręku, to z nosa. Krew leciała mi z nosa.

- To pewnie mundur też masz pochłapany?

- Nie, nie mam.

- Przestań, widziałem. Co prawda na czarnym słabo widać krew, ale widziałem ją. No co się patrzysz, jak na przesłuchanie przyjechałeś, minąłeś mnie na schodach, ale nie zwróciłeś na mnie uwagi. Nagle zacząłeś nosić broń do domu? Karol, co z tobą?

Karol milczał, wpatrywał się gniewnie w Chińczyka. Zastanawiał się, co powiedzieć. Czuł, że jest w potrzasku, że właśnie zatrzaskała się pułapka. Poczul, jak zaciska mu się gardło, nagle w ustach zrobiło mu się sucho. To koniec, koniec. Myślał gorączkowo.

- No i co teraz? Zatrzymasz mnie? Jak to wszystko chcesz udowodnić?

- Karol, rozmawiamy między nami. Chcę po prostu wiedzieć, na czym stoję.

- Krew z nosa mi poleciała, to według ciebie dowód?

- Nie, jeśli to twoja krew. I ta na mundurze. Nie rób z siebie dziecka, badania laboratoryjne szybko wykażą, czyja to krew.

- No, ładnie. Żmiję i hyla wychowałem. Proszę. Załóż kajdanki i prowadź do prokuratora. Potem premię weźmiesz, Judaszu.

- Obrażasz mnie Karol. Nie chcę twojej zguby. Chcę wiedzieć, co trzeba zanim zacznę prowadzić sprawę. Wiesz, jak już machina ruszy, nikt jej nie zatrzyma. Muszę wszystko wiedzieć, aby nad tym zapanować zanim będzie za późno. Co powinienem wiedzieć Karol? Kurczę, znasz mnie chyba, człowieku. Nie mam magnetofonu, tej rozmowy nie było. Karol, proszę, zaufaj mi. -Karol stał oparty o ścianę, z opuszczoną głową i rękami. Wyglądał jak szmaciana lalka.

- Co powinienem wiedzieć, Karol?

- Pod oknem w kuchni. -Co?

- Pod oknem w kuchni jest spizarka. Ona ma podwójne dno. W środku są prochy. Sto kilo czystej amfy - Karol wyrzucił to

120

121

z siebie, ciężar, który gniótł. Teraz jego życie leżało w rękach Chińczyka. Chińczyk nie mówił nic, patrzył na Karola mrugając oczami. - Nazywał się Mariusz Szaramczyk. -Kto?

- Ten zastrzelony.

- Skąd wiesz? - zadał pytanie Chińczyk. Nie dziwił się niczemu, po prostu zadawał pytania. Karol sięgnął do kieszeni i wyjął prawo jazdy zastrzelonego i bez słowa podał Chińczykowi. Ten wziął je, spojrzął na dane i schował do swojej kieszeni.

- Grzegorz Dak ksywa Kruszyna, Piotr Czajkowski pseudonim Czaja i Marek Kondziorek pseudonim Kondzio. Wszyscy pracują dla jakiegoś Borka, Korca czy Horka - kontynuował zrezygnowany Karol. - Co teraz? - spytał - idziemy do mojej szafki zabezpieczyć mundur?

-Daj spokój. Mundur wymień. Prawo jazdy znajdę tam na miejscu. Albo uzyskam te informacje od współpracującego ze mną informatora. Dzięki temu znajdziemy prochy.

- Dziękuję. Możesz mnie teraz łatwo wsadzić do mamra.

- Ty mnie teraz też. Powinienem napisać notatkę z rozmowy z tobą. Ale nie zrobię tego.

- Chińczyk - Karol zwrócił się do kolegi. -Tak?

- Jak by co, to chciałbym abyś to był ty.

- Co ja?

- Żebyś to ty po mnie przyjechał. Będzie mi łatwiej.

- Będę się starał. Ale wiesz, że czasami nie jest to takie proste.

- Wiem - westchnął Karol - na szczęście my policjanci mamy bardzo blisko do nieba.

- Jak to - uśmiechnął się Chińczyk - ile?

- To tylko 9 milimetrów. 9 milimetrów do nieba... ktoś mi to kiedyś powiedział.

Chińczyk patrzył za odchodzącym, jakby przygarbionym, przygaszonym Karolem. Nie wiedział, czy dobrze zrobił dowiadując się tego wszystkiego. Karol nie powiedział tego wprost, ale Chińczyk był przekonany, że Karol dokonał egzekucji na tym Szaramczyku. Jakże to tak naprawdę miało znaczenie? Równie dobrze mógł zginąć wcześniej, od Andrzejowej kuli.

Andrzej miał wyrzuty sumienia, zawahał się i zapłacił najwyższą cenę. Kiedyś, na lekcji religii, gdy przerabiali temat biblijnego drzewa dobrych i złych wiadomości zastanawiał się, czemu Bóg zabronił Adamowi i Ewie kosztować z niego owoców. Dlaczego Bóg chciał, aby ludzie żyli w niewiedzy? Dopiero teraz, po latach zrozumiał tę lekcję. Zrozumiał też, co Karol miał na myśli. 9 milimetrów do nieba. Tyle ile ma kaliber ich służbowej broni.

Kruszyna był po prostu wściekły. Nic dziś nie poszło tak, jak należy. Najbardziej przeraził go fakt, że policjanci już o nim wiedzą. Już jest szukany. Nie bardzo wiedział, gdzie się zaszyć.

Skoro mendi wiedziały o tym adresie, mogą tym bardziej znać jego adres zameldowania.

Teoretycznie, według dokumentów mieszkał razem z rodzicami. Ale teraz ten adres jest spalony. Nie wolno mu tam pójść, ani dzwonić. Psy niewątpliwie tam warują. W duchu dziękował Czaj za zimną krew. Gdy zobaczył na korytarzu policjantów, stracił głowę. Jedyne pomysły, jaki miał, to po prostu zacząć strzelać i próbować nawiać. Ale antyterrorysty nie dali by się tak łatwo zaskoczyć. Po za tym niewiele amunicji mu już zostało. Skąd policjanci znali ten adres? Czy śledzili jego, czy też Grubego? A może Gruby go wystawił? Ledwo od niego wyjechał a tu od razu blokada? To wszystko zbyt grubymi nićmi szyte. Wszystko się wyjaśni z czasem, ale teraz trzeba gdzieś zapaść, ukryć i przeczekać, a potem jakoś skontaktować z Horkiem.

Kruszyna siedział razem z Czają w Pubie Lolek na Polach Mokotowskich. Pomimo upału nie korzystali z ogródka na zewnątrz, lecz siedzieli w środku, za drewnianym stołem. Pili chłodne, szroniące szklanki piwo, mieniające się złotym kolorem, zwieńczone białą pianką. Ale nie w głowach im było rozkoszowanie się smakiem, aromatem i wyglądem tego boskiego napoju. Obaj wiedzieli, że mają niewiele czasu, aby coś postanowić, gdzieś się skryć.

Kruszyna wiedział, że ulice są teraz dla nich śmiertelną pułapką. Skoro policja dotarła do jego mieszkania, oznaczało to, że on na pewno jest szukany. Czaja być może

jeszcze nie. Ale to kwestia czasu, jak do jego drzwi też zapuka policja. Jego mieszkanie też jest spalone.

Postura Kruszyny, oprócz wielu zalet teraz była dużym problemem. Był bardzo charakterystyczny, rzucał się w oczy. Może powinni się rozdzielić z Czają? Ale wtedy straciłby nad nim kontrolę. Pytanie, czy policja zna adres magazynu na Żoliborzu? Może powinni tam z Czają dotrzeć. Potem musiałyby zmienić lokalizację tego magazynu, ale to nie stanowiło problemu. Postanowił posiedzieć tu do zmroku, a potem taksówką podjechać na Żoliborz i tam zapaść. To był dobry plan. Skinął na kelnera, zamówił po jeszcze jednym piwie.

- Mam jeszcze prośbę - powiedział wyciągając portfel i wyciągając z niego banknot dwustuzłotowy - ja i kolega trochę się przybrudziliśmy. Chcielibyśmy poprosić cię o to, byś skoczył tu niedaleko do pawilonów i w sklepie sportowym kupił nam koszulki. Zwykle T-shirty. W jakimś ciemnym kolorze, wzór obojętny. Jakies bluzy z kapturami - dorzucił po namyśle wyciągając kolejną dwusetkę. - Reszta dla ciebie, nam nie chce się chodzić. Zrobisz to dla nas? - Obsługujący ich stolik młody chłopak uśmiechnął się, schował pieniądze, zapisał ich rozmiary i zniknął za drzwiami.

Pół godziny później, Czaja i Kruszyna wyszli w głąb Pól Mokotowskich. W reklamówkach, w których kelner przyniósł nowe ubrania umieścili broń. Kruszyna w krzakach, w miękkiej ziemi wykopał nogą płytki dołek, umieścił tam reklamówkę i ponownie przysypał ziemią. Na wierzchu położył sporej wielkości kamień. Po czym oddalili się w głąb parku wmieszać się w tłum spacerowiczów. Tu byli na razie w miarę bezpieczni.

Chińczyk szedł korytarzem, zatopiony w myślach. Usiłował zebrać razem wszystkie informacje, jakie posiadał na temat sprawy. Najgorsze, że co chwila dochodziło coś nowego, tak jak teraz z Karolem. Nie pochwalał jego krucjaty przeciw złu. Uważał, że każdy człowiek ma jakieś powody, że robi tak jak robi. Weźmy takiego Kruszynę. Pochodził z patologicznej rodziny,

124

ledwo skończył zawodówkę. Dzięki swojemu sprytowi, inteligencji i bezwzględności bardzo wysoko zaszedł w gangu. Ale tak naprawdę, jakie miał szanse, aby normalnie żyć? Rodzice nie mieli żadnej ochoty zajmować się dzieckiem, robiła to ulica. Jaką może teraz znaleźć uczciwą pracę? Kto przyjmie karanego, bez kwalifikacji? Kruszyna i jemu podobni byli po prostu skazani na swój los. Albo zginą w wewnętrznych porachunkach lub z policyjnej kuli albo zgniją w więzieniach. Wcześniej, czy później trafia za kratki każdy zawodowy kryminalista. No chyba, że osiąga poziom legalizowania zagrabianych przez lata pieniędzy, kuma się z politykami, sponsoruje kampanie wyborcze i staje się szanowanym biznesmenem. Znajomości wśród tak zwanych elit politycznych gwarantowały bezkarność.

Karol widział tylko jedną stronę medalu, nie chciał widzieć racji tych z drugiej strony barykady. Chińczyk był zdania, że gdyby Karol w młodości miał trochę mniej szczęścia, to dziś pewnie Kruszyna byłby jego współpracownikiem. Obaj byli tak samo bezwzględni i bezkompromisowi w dążeniu do celu.

- No, jak sytuacja - zagadnął Chińczyka Sochacki, stojący w drzwiach sekretariatu.

- Naczelniku, na razie jeden wielki chaos. Dwóch chłopaków z mieszkaniówki pojechało do szpitala. Chyba nam się tam znalazł jeden z naszej ekipy. Nie wiem, jak oględziny na miejscu strzelaniny, trwają jeszcze?

- O, tak, jeszcze się im zejdzie. Słuchaj, grzebałeś w naszych bazach? Ustaliłeś może dane kompanów Kruszyny?

- Pracuję nad tym. Miałem kontakt z informatorem, mam dane wszystkich uczestników tego rajdu.

- No, to dawaj, na co czekasz?

- Muszę to potwierdzić. Za moment przyjdę z pisemnym raportem.
- Dobra, czekam - Sochacki zniknął za drzwiami. Miał tę dobrą cechę, że nie przeszkadzał swoim ludziom zbytnim ingerowaniem w ich pracę.

Chińczyk wystukał na maszynie raport ze spotkania z informatorem, w którym umieścił wszystkie dane uzyskane od Karola. Chciał zachować źródło informacji dla siebie. Zdawał sobie

125

sprawę, że działa na granicy legalności, ale praca operacyjna to było ciągle przekraczanie cienkiej linii. Raport ze spotkania z informatorem ostatecznie łądował w specjalnej teczce, gdzie gromadzone były tego typu informacje. Był on jednocześnie materiałem źródłowym do sprawy, którą prowadził Chińczyk. Na podstawie raportu sporządził dwie notatki, które znajdują się w teczce tej sprawy. Jedna notatka informowała, że na podstawie wykonanych czynności służbowych Chińczyk ustalił miejsce przechowywania narkotyków. W drugiej zdawał relację z podjętych działań, w których ustalił dane osób biorących udział w strzelaninie. Informacje te wzbogacił danymi z policyjnych baz i kartotek, które zdążył sprawdzić.

Z całością poszedł do Sochackiego. Zauważył, że w jego gabinecie siedzi trzech facetów. Kojarzył jednego - pracował w sekcji zabójstw komendy stołecznej, czyli jednostki nadzorującej poczynania ich wydziału. Stał w drzwiach, nie chcąc przeszkadzać w gorącej dyskusji, jaka się toczyła pomiędzy zgromadzonymi w salce.

- Jak mogliście wchodzić, kto wam pozwolił? - pieklił się jeden z nieznanym Chińczykowi policjantów.

- Nikt nie musiał nam pozwalać, Edmundzie - Sochacki, z właściwą sobie flegmą gasił gościa.
- Prowadzimy tę sprawę i tyle.

- I pół roku naszej roboty w plecy! - ciskał się Edmund - mieliśmy Kruszynę na widelcu, lada dzień mieliśmy go związać. Dziewięć podsłuchów telefonicznych, tajne obserwacje, nasi informatorzy - wylizali rozgorączkowany - to wszystko możemy wyrzucić na śmietnik. Dzięki waszej „fachowej” pracy, bo zamiast chociażby poobserwować te mieszkania, to wy od razu na hura! Kruszyna jest zastrzeżony, powtarzam ZASTRZEŻONY dla działań naszego wydziału!

- A co mnie to obchodzi! - Chińczyk dawno nie widział tak wnerwionego starego. - Zastrzeżony, też coś. Jakbyś nie wiedział, to prowadzimy sprawę dotyczącą zabójstwa policjanta i strzelaniny, w której zginął jeden z bandytów! Taka sprawa zawsze jest priorytetem!

- To jest powód, by niszczyć efekty czyjejś pracy! Amatorzy! - Edmund zerwał się z krzesła, czerwony na twarzy. Nie wiado-

126

mo, czym by się to skończyło, ale kolega przytrzymał Edmunda. Sochacki również zerwał się na nogi.

- Efekty waszej pracy! A gdzie one są, co? Kruszyna prochy rozwozi, a moi ludzie na podstawie dobrego źródła i własnego nosa nakryli Grubego z pięcioma kilogramami amfetaminy! Wasz wydział od roku łapie samych drobnych ćpunków - diler-ków. Do dupy z waszymi podsłuchami, obserwacjami. Przez was na rejonach nie ma normalnych warunków pracy, bo panowie hrabiowie rozbijają mafię. A informacji w środowisku zero! Bazujecie tylko na podsłuchach i nie wiecie nawet, kogo słuchacie!

Edmund zgrzytnął zębami ze złości, ale pomału opanowywał się.

- Czekaliśmy, aż pojedzie do laboratorium. Był tam kilka dni temu, namierzaliśmy je. Znamy chemika i pomagierów, laboratorium nadzorował właśnie Kruszyna. Dziś miał jechać na wybrzeże oddać towar. Tam chcieliśmy go nakryć razem z odbiorcą, a jednocześnie zawinąć tych, co bezpośrednio produkują amfetaminę. Ale po drodze napatoczył się na tę waszą

zasadzkę. Resztę znacie. Sochacki dostrzegł Chińczyka stojącego cały czas w tym samym miejscu.

- Co jest? - spytał

- Myślę, że to, co napisałem, jest ważne.

- Pokaż - Sochacki przeczytał, po czym opadł na fotel splatając na brzuchu ręce. Patrzył na siedzących za biurkami facetów.

- Panowie - zaczął poważnym tonem. - Jeszcze nie wszystko stracone.

Zanim wyjechali, Chińczyk zdążył zadzwonić do domu, do Agnieszki. Ale rozmowa jakoś nie kleiła się. Właściwie to był monolog ze strony Chińczyka. Poinformował ją o zaistniałej sytuacji, przeprosił, powiedział, że musi zostać w pracy. Odpowiedziała mu cisza po drugiej stronie słuchawki.

- Agnieszka, słyszysz mnie? Muszę zostać, kochanie.

- Wiesz co, jest mi wszystko jedno. Ja nie wiem, z kim ty brałaś ślub, ze mną, czy z kolegami? Nigdy cię nie ma, gdy jesteś potrzebny. Jak wychodzisz, dzieci jeszcze śpią. Jak wracasz, jeśli w ogóle wracasz, już śpią. Czasami lepiej, żebyś nie wracał, bo jesteś na bani, cuchniesz wodą na kilometr. Staczasz się. Nic cię

127

w domu nie interesuje, nic! Jak jesteś, to tylko siedzisz w swoim foteliku z pilotem w ręku i tylko pykasz w ukochany telewi-zorek. Na dzieci krzyczysz, jesteś dla nich obcym facetem! Mam tego dosyć, rozumiesz? Dostyć!

- Agnieszka, zrozum!

- Nie chcę tego słuchać, już nie.

- Kocham cię ...

Ale odpowiedziała mu cisza. Agnieszka odłożyła słuchawkę. Gdy Chińczyk, Edmund z kolegą i Jacek, policjant z wydziału zabójstw zajechali na miejsce, to technicy właśnie kończyli pracę. Radiowóz bez przednich drzwi, z gwiazdami przestrze-lin na przedniej szybie był właśnie wciągany na lawetę. Obok stał ponury furgon zakładu pogrzebowego, z tyłu, przez otwarte drzwiczki widać było nosze, a na nich opakowane w czarną folię ciało. Z budynku wychodzili z drugimi noszami pracownicy zakładu zmierzając do swojego samochodu, dźwigający swoje posępne brzemie. Weszli do środka. Technicy zwijali sprzęt do swoich walizek. Chińczyk podszedł do jednego z nich. Był to pracownik z ich komendy. Pozdrowili się.

- Cześć, co macie?

- Tradycyjnie, jak zwykle to samo.

- A bliżej?

-Zebraliśmy trochę odcisków palców, w kuchni, korytarzu i o tam, na tej pustej butelce na regale. Odciski buta. Pewnie kolegów z patrolówki, pięć łusek po pociskach, dwie jednostki broni - jedna nasza P-83, drugi rewolwer, prawdopodobnie przeróbka z gazowego. Łusek na podwórku nie udało nam się znaleźć, o przepraszam, przy radiowozie były dwie. I odcisk opon... prawdopodobnie z tego uciekającego opla.

- Przeszukanie było robione?

- Tak, ale nic ciekawego nie znaleziono.

- Muszę cię zmartwić, jest robota.

W chwilę później wszyscy zgromadzili się w kuchni. Prowadzący oględziny, dowodzący grupą przy oficerze dyżurnym policjant bardzo niechętnie usiadł za stołem, ponownie wyciągając jak już miał nadzieję zakończony protokół. Chińczyk spytał technika:

- Słuchaj, czy z tych klamek albo drzwiczek można zdjąć paluchy? - wskazał na niepozorne drzwiczki od spiżarki.

-Daj spokój, z tych metalowych haczyków to może by się udało, ale drzwiczki mają porowatą strukturę, nic z tego nie będzie.

- No to dawaj - Chińczyk zachęcił go gestem do pracy.
- Co ty, chłopie, diabli wiedzą, kto tych szafek dotykał, czy to ma sens?
- Nie gadaj. Wyciągaj ten swój pędzelek z piór marabuta, wyciągaj argenterat i jazda.
- A od kiedy ty mi rozkazujesz, co?
- Proszę cię, zrób to.

Technik przez chwilę mierzył Chińczyka wzrokiem, po czym z wyraźną niechęcią otworzył swój kuferek, a z niego pojemni-czek ze srebrzystym proszkiem, wyglądającym jak opiłki żelaza. Za moment całą powierzchnię drzwiczek pokrył tą szarą substancją posługując się specjalnym pędzlem.

- Oho, coś tu jest - powiedział technik. Faktycznie, na drzwiczkach w pobliżu metalowych haczyków pojawił się niewyraźny kształt kilku, nakładających się na siebie palców. Technik wyjął prostokątną karteczkę, przypominającą kliszę rentgenowską. Oddzielił górną, przezroczystą folię z karteczki, a dolną ostrożnie przyłożył do drzwiczek. Potem odlepił całość, a na czarnej kliszy przylepiona szara substancja argenteratu odwzorowała ślad. Technik następnie przyłożył na kartonik folię.

- Potem to zszyję, ale nie wiem, czy się będą nadawały do dalszej identyfikacji - powiedział tonem wyjaśnienia. Następnie otworzyli szafkę. Jeden z policjantów uczestniczący w oględzinach od samego początku powiedział, że tam już zaglądał i że stoją tam same słoiki z przetworami.

-Szkoda czasu - ocenił i odszedł na bok, zapalając papierosa, ostentacyjnie okazując lekceważenie prowadzonym czynnościom. Technik otworzył drzwi, ukazując wnętrze szafki.

- Wiesz, co robisz? - spytał, patrząc z dołu, z przykłęku na stojącego przy nim Chińczyka. Ten spojrział we wnętrze szafki, przedzielone w połowie półką, pełne zakurzonych słoików z przetworami.

128

129

- Cyknij fotkę - mruknął.

- Czy tu komuś coś się w głowinie nie poprzestawiało? Mało czasu tu już siedzimy? Porąbało tych ludzi, słoiczki są najważniejsze - powiedział wyraźnie poirytowany policjant z sekcji mieszkaniowej siedzący tu od rozpoczęcia oględzin. Chińczyk nie zważał na ironiczne spojrzenia i złośliwe komentarze.

- Rób, co do ciebie należy - zwrócił się do technika. Ten zdążył już wyjąć aparat fotograficzny. Błysnął flesz. Technik zajrzał do wnętrza szafki.

- Wiecie co? Ktoś niedawno te słoiczki przestawiał. Kurz jest częściowo starty na szkło, a słoiki stoją w innych miejscach -wskazał na białe odciski na poźółkłej gazecie. Powtórzył żmudną procedurę z pędzelkiem, proszkiem i kartonikami z każdym słoiczkiem. Dopiero po godzinie szafka została opróżniona, wyjęto półkę, a potem deskę na spodzie.

- No, teraz to już do północy nie wyjdziemy - skomentował technik widok ukrytych pod dolną półką drzwiczek - Trochę minie, zanim to sforsujemy.

Edmund z kolegą zostali, czekali na wynik otwarcia szafki. Stańło na tym, że technicy z CLK mieli przysłać specjalistów od zamków. Przez ten czas na miejscu został technik, który zabezpieczał ślady na słoikach i miał dokończyć zabezpieczenie skrytki, jak już zostanie otwarta. Został jeszcze protokolant piszący oględziny. Reszta grupy wróciła na komendę. Chińczyk z Jackiem ustalili z kolegami z wydziału do walki z przestępczością narkotykową, że jak otworzą skrytkę, to dadzą im znać. Sami mieli zająć się zaległą papierologią i przygotowaniem ekip na wejścia na adresy kolegów Kruszyny. Chińczyk był poza tym ciekaw, co ustalili koledzy w szpitalu.

*

Kruszyna kazał taksówkarzowi dwa razy objechać teren wokół bloku. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Wyglądało na to, że teren był czysty. Żadnych samochodów z siedzącymi w

środku pasażerami. Podał Czai numer mieszkania, aby ten poszedł na zwiad. Jakby co, Czaja miał uciekać na własną rękę. Lepiej było, aby to on poszedł, bo Kruszyna ze swoim wzrostem i gabarytami za bardzo rzucał się w oczy. Gdy Czaja wrócił, Kruszyna zapłacił taksówkarzowi i wysiadł z samochodu. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić z budki na numer alarmowy Horka, ale odrzucił ten pomysł. Swoje telefony komórkowe wyrzucili razem z Czają dawno do śmieci. Połamane karty SIM też tam wylądowały. Lepiej nie mieć przy sobie szpiega. Kruszyna nie wierzył, aby policja stosowała aż tak wyrafinowane techniki poszukiwawcze jak namierzanie telefonu, ale Horko dał im wyraźne instrukcje, jak postępować w awaryjnych sytuacjach. Nowa karta kupiona w systemie prepaid, niewymagająca imiennej rejestracji, nowy aparat telefoniczny. Mieli ustalony zupełnie inny numer telefonu Horka, inny niż ten używany do codziennych rozmów. Te telefony i tak dosyć często zmieniali. Horko dobrze wiedział, co robi. Miał jakieś dawne, datujące się jeszcze z czasów komuny układy z ludźmi pracującymi, jak to nazywał, w „służbach”, a ci z kolei mieli swoich kolegów w różnych instytucjach. Ale bezpieczniej było za dużo na ten temat nie wiedzieć.

*

Chińczykowi ze zmęczenia kleiły się oczy. Nie pomagały litry kawy. Siedział nad stertami dokumentów, które wciąż ktoś mu przynosił lub zabierał. Chińczyk nie panował już nad tym. Łapał się na tym, że trzy razy czytał treść notatki i nadal nie rozumiał, co tam jest napisane. Dobrze, że razem z nim był Jacek, pomału dołączali również koledzy z jego sekcji, choć byli równie zmęczeni. Chińczyk usiłował napisać notatkę z przeszukania, z którego właśnie wrócił. Był w mieszkaniu tego leżącego w szpitalu. Przeszukanie dało standartowe efekty, to znaczy nic nie znaleziono. Podobnie u pozostałych. Załogi pomału zjeżdżały do komendy, meldując się u Chińczyka. A ten czuł, że mu głowa puchnie. A w dodatku ktoś wołał go na stacji. Chińczyk niechętnie nawiązał kontakt, ale po wysłuchaniu komunikatu ożył.

- Chińczyk, zgłoś do Procha - Prochem nazwała się załoga Edmunda z wydziału narkotyków, załoga, która została nadzorować otwarcie skrytki.

130

131

- No mów, Prochu.

- Dwie torby podróżne pełne białego proszku. Tak jak mówiłeś stary. Testery wskazują na amfetaminę.

To, czego nie dokonało sześć filiżanek kawy, dokonała ta krótka wymiana informacji.

Chińczyk czuł, że adrenalina aż mu chłapie w organizmie. Niezły strzał.

-I jak chłopaki? - spytał Chińczyk po przyjeździe do szpitala dwóch pilnujących drzwi bloku operacyjnego policjantów. Wyglądali jak obraz nędzy i rozpaczy. Znudzeni, wymięci, przesiąknięci smrodem szpitalnym, moszcząc się na niewygodnych fotelach przyniesionych przez nich ze świetlicy. Siedzieli na korytarzu, po obu stronach drzwi, ostrzeliwani niechętnymi spojrzeniami pielęgniarek łomocących swoimi chodakami i lekarzy dostojnie sunącymi ku sobie tylko wiadomym celom. Ukradkiem oglądani przez pacjentów i odwiedzających, którzy chłonęli widok wystającej spod ubrań broni i kajdanek.

- Kiedy zmiana?

- A skąd mam to wiedzieć?

- Ile my tu jeszcze będziemy siedzieć?

- Skontaktuj się z Sochackim, niech coś kombinuje, ja nie mogę mieć wszystkiego na swojej głowie. Jak tam ranny?

- Jeszcze go operują. Lekarz określił jego stan jako ciężki. Dostał dwie kule w pierś. Miał silny krwotok wewnętrzny.

- Poproście potem lekarzy, aby zabezpieczyli kule.

- Wiesz, jak nas tutaj traktują? -Jak?

- Jak piąte koło u wozu. Przeszkadzamy im.
- No i trudno. Ale kule zabezpieczenie.
- Dobra. Ten ranny nie miał żadnych dokumentów.
- Wiemy już, jak się nazywa, nawet zdążyliśmy przeszukać u niego zrobić.
- Nie zasypiasz gruszek w popiele.
- No nie.

Po powrocie do komendy Chińczyk zajrzał do dochodzeniowca pracującego przy tej samej sprawie. Chłopak siedział za swoim biurkiem, otoczony z obu stron zwałami teczek i protokołów ułożonych na kupki.

- Cześć - rzucił Chińczyk. Tamten oderwał oczy znad protokołu, nad którym mozolnie śleczął, machnął ręką na przywitanie - Jak sytuacja u ciebie?
- Pomału odnajduję się. Zejdą mi tylko kwity z twojego wydziału i będzie dobrze.
- Jak to widzisz z procesowego punktu widzenia?
- Sprawa właściwie zakończona. Sprawcy ustaleni, jeden w kostnicy, drugi w szpitalu. Jutro prokurator wyda listy gończe za Kruszyzną i Czają. Przeszukania zakończone. Sekcje zwłok będą najprawdopodobniej w przyszłym miesiącu, ale wyniki nie będą się różniły od naszych przypuszczeń. Rewelacji tutaj nie będzie. Muszę napisać postanowienie o zarządzeniu badań balistycznych. Potrzebne będą kule...
- Już prosiłem chłopaków o zabezpieczenie ich po operacji.
- Bardzo dobrze. Niestety, będziemy musieli poczekać na wyjęcie kul z ciała, a to dopiero w czasie sekcji. Te łuski i broń, co mamy, to już mogę wysłać do badań.
- Kiedy wyniki?
- Ty byś chciał wyniki ot tak? Chłopie, to jest poważna sprawa - ironizował dochodzeniowiec.
- Nie czaruj, kiedy?
- Jak ty na emeryturę będziesz szedł, to może przyjdą.
- Nie gadaj głupot - zezłościł się Chińczyk.
- Nie gadam, po prostu tak jest. Ja wiem ile, dwa, trzy miesiące?
- Kogoś tam chyba pogięło! Przecież ta broń mogła zostać użyta do innych zabójstw!
- Mnie to mówisz? Nie przeskoczysz tego. Będą wyniki, będziesz się martwił. Teraz sprawę możesz zamykać.
- Jak to, zamykać, to jest sprawa rozwojowa. Mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą przestępczą. Mamy wiele informacji operacyjnych na temat tych osób, o wymuszeniach i napa

132

133

dach, handlu bronią i narkotykami. Prawdopodobnie są umoczeni w kilka zabójstw na terenie Polski i jedno w Niemczech. Ktoś ich przecież wysłał, ktoś im dał polecenie. To trzeba sprawdzić, nie sądzisz?

-No to sprawdzaj. Dobrze wiesz, że nawet najlepsza informacja operacyjna nie ma żadnej wartości dowodowej. To twoje zadanie - przełożyć materiał operacyjny na procesowy. Taki, co zadowoli prokuratora i sąd. Na razie mamy jedną sprawę Grubego, a drugą zabójstwa policjanta. Obie do zakończenia z wynikiem pozytywnym. A ja oprócz tych dzisiejszych mam na biegu trzydzieści śledztw i czterdzieści cztery dochodzenia. To nie to, co u ciebie, ciągniesz swoje rozpracowanie przez rok i jesteś szczęśliwy. Ja mam terminy, za które prokurator mnie ściga.

- Jakie dwie sprawy, one się łączą. Kruszyzna, Gruby i Horko to jedna ekipa - Chińczyk ominął zrećnienie niuanse pracy dochodzeniowej i śledczej, odwieczne źródło konfliktów.

- Ja to wiem i ty to wiesz. Ale prokuraturze niewygodnie jest prowadzić jedną dużą, wielowątkową sprawę. Oni są rozliczani z liczby spraw. Im sprawa szybciej schodzi z biurka, tym są szczęśliwsi. Nikt nie rozlicza prokuratorów z jakości postępowań. A im sprawa

bardziej rozwojowa, tym dłużej trwa i więcej, i dokładniej trzeba wykonywać czynności, prawda? Dla prokuratora najlepsze są sprawy niewykryte. Sprawa była? Była. Czynności wykonane? Wykonane. Sprawa do archiwum. Czysto, szybko i sprawnie. Jeśli zaś zakopie się w sprawy wymagające zaangażowania, to straci dużo czasu na jedno śledztwo, czyli będzie miał mało spraw na rozkładzie, czyli nie dostanie premii.

- Przecież to absurd.

- Nikt nie przeczy, ale tak to działa. Przynajmniej w prokuratorach rejonowych. Okręgówka to co innego.

- Ta sprawa powinna tam trafić.

-Gdybyś pracował w Pezetach albo w narkotykach w stołecznej albo głównej komendzie, to każda sprawa tam trafia. Ty jesteś robolem z rejonówki. Nie wnikaj za bardzo w rozbijanie mafii, bo ktoś ci noska utrże. My jesteśmy od gaszenia pożaru. Wybucho tu, gasimy, wybucho tam, gasimy. Pamiętaj, wyżej nerek nie podskoczysz.

134

Gdy Chińczyk wszedł na swoje piętro, zastał Edmunda z kolegą. Pisali dokumentację z wykonanych przez siebie czynności. Kiwnęli sobie głowami, gdy się nawzajem zobaczyli. Edmund wstał, podszedł do Chińczyka z wyciągniętą dłonią:

- Gratuluję. Dobra robota, masz dobre informacje.

- Nie ma o czym mówić - Chińczyk wolał nie myśleć o cenie, jaką przyszło za tę właśnie informację płacić. Ale nie był to problem rozpromienionego Edmunda.

- Słuchaj, kończymy papiery i lecimy do siebie. Towar masz zabezpieczony do sprawy. A my szykujemy u siebie wejście na laboratorium. Baliśmy się, że chłopaki zwinęli interes, ale nie. Mamy informację, że prawdopodobnie produkują kolejną partię prochów. Pojechała od nas załoga na rozpoznanie na miejscu. Jeśli zobaczą jakiś ruch na posesji, wchodzimy. Może ktoś z zatrzymanych będzie chciał mówić w twojej sprawie?

- Czekam na informacje.

- A może chcesz z nami pojechać? I tak uważam, że temat musimy ciągnąć wspólnie, więcej z niego wyciśniemy. Kruszyna i tak się zabunkrował, papiery praktycznie zrobione. To jak, jedziesz?

- Czekaj, skonsultuję to ze starym. Ale mówiąc szczerze, dwa dni nie byłem w domu.

- Rozumiem. Mielicie ciężki dzień. Ten zabity to twój kolega?

- Znaliśmy się.

- Przykro mi. Wiem, jak się czujesz. Jeden zabity, drugi ranny. Niezła jatka - westchnął. - Jutro do ciebie zadzwonię, jak trochę wypoczniesz. Daj do siebie numer telefonu. - Chińczyk podał mu telefony do siebie na biurko, do sekretariatu, wziął również telefon do Edmunda.

- Udanych łowów, uważajcie na siebie - pozdrowił ich. Pomału zmęczenie dawało o sobie znać.

Pojawił się w pracy mniej więcej koło jedenastej. Pozwoliło mu to nieco zregenerować siły, gotów był ostro przystąpić do

135

działań. Martwiło go zachowanie Agnieszki, nie odzywała się do niego. Zachowywała się tak, jakby go nie było. Próbował ją objąć, pocałować, ale ona zimno, obojętnie wyplątywała się z jego objęć. Czuł, że coś jest nie tak, nie miał pojęcia, jak przebić ten narosły nie wiedzieć kiedy mur obojętności. Agnieszka nigdy nie pytała go to, co się dzieje u niego w pracy, on nigdy nie mówił, a jeżeli to tylko tyle, ile to konieczne. A jeżeli coś zaczął opowiadać, żona reagowała zbyt nerwowo. Mówiła, że woli nie wiedzieć. A teraz ta obojętność, skąd to się wzięło? Nieprawda, doskonale wiedział skąd. Żyli obok siebie, on zatopiony w pracy, oddany służbie każdym swoim nerwem, wciąż zostający po godzinach, wychodzący na noc lub w ciągu dnia. A ona zostawała ze wszystkim na głowie, dziećmi, ich problemami w przedszkolu i szkole, zebraniami, rachunkami. Obiecał sobie, że jak zakończy tę sprawę, weźmie urlop i

wyjedzie gdzieś z rodziną. Czuł, że sytuacja jest ciężka. Kiedy to sobie obiecał, poczuł się lepiej. Wolał nie pamiętać, że obiecał to sobie przy sprawie ekspedientki i wcześniejszych. No, ale czy to jego wina, że taką ma poplątaną pracę? Odłożył sprawy domowe na bok, i tak miał wiele zmartwień na dziś.

- No cześć - przywitał go Sochacki. - Przynieś mi dokumenty wstępne do tej sprawy i plan czynności. Ja wiem, że sprawy nie wykrywa się planami, ale trzeba go napisać.

- Naczelniku, litości, dopiero przyszedłem.

- Wiem, wiem. Czekam na plan.

- Naczelniku, chcę zadzwonić do narkotyków, wie pan, mieli dziś w nocy wejść na laboratorium amfetaminy.

- Tam, skąd Kruszyna wziął towar?

- No właśnie.

- Faktycznie wspominałeś mi o tym. No to zadzwonisz. -Muszę się dowiedzieć, co z Markiem Kondziorkiem, tym rannym w strzelaninie.

- Jest po operacji, mamy zabezpieczone kule. Miał szczęście. Jedna przeszła pół centymetra od serca. Jest w ciężkim stanie, nie możemy go ani przesłuchać, ani rozmawiać. Czekamy na decyzję prokuratury. Jeśli dostanie areszt, zostanie przewieziony na Rakowiecką. Tam jest oddział szpitalny, będzie miał dobrą opiekę, a my spokój. Teraz pilnują go mundurowi, ale strasznie płaczą.

- A co z tym przewiezieniem? - zainteresował się Chińczyk. - To jedyne rozsądne wyjście. Ktoś może chcieć go sprzątnąć.

- Dochodzeniówka walczy z prokuraturą.

- Dobra - Chińczyk zbierał się do odejścia, ale naczelnik złapał go za ramię.

- Nie, dobra, tylko czekam na plan.

-Nie, chciałbym na spokojnie wszystkie dokumenty przejrzeć, sprawę ułożyć i przyszykować się do wstępnej analizy materiału.

- No właśnie. Ułóż, zapoznaj się i napisz plan. Przypominam, że bardzo ważnym elementem planu jest charakterystyka posiadanego materiału. Analiza znaczy, kochany Chińczyku.

Cieszę się, że się rozumiemy. Za godzinę plan ląduje na moim biurku!

- Za godzinę? To niemożliwe, a poszukiwania Kruszyny, Czai? Muszę dowiedzieć się, co Jacek z zabójstw ustalił, co Edmund z narkotyków - wykrzykiwał za oddalającym się korytarzem Sochackim, który przy ostatnich słowach przystanął, odwrócił się w kierunku Chińczyka i przesłał mu kpiarskiego „całusa”.

- Za godzinę - powtórzył i oddalił się, machając mu ręką.

- No, to jestem uziemiony - pomyślał poirytowany Chińczyk. Ale musiał przyznać staremu rację. Teraz, przy tym zalewie informacji potrzebne jest pierwsze sito. To, co trzeba było zrobić na biegu, zostało zrobione. Na tym etapie sprawy łatwo było coś przeoczyć lub pójść fałszywym tropem. Trzeba uporządkować, to, co się ma, i dopiero brać się za ciąg dalszy. Pogodzony usiadł za biurkiem, uprzednio zaparzywszy sobie kawy i wyciągając z szafy stos luźnych papierów, które należało przejrzeć, uporządkować i ułożyć. Zadzwonił do Jacka, ale niewiele się dowiedział. Jacek stwierdził, że musi sobie wszystko uporządkować, powie dział, że skontaktuje się z nim za jakiś czas. Albo go zbywał, albo rzeczywiście potrzebował czasu. Następnie wykręcił numer do wydziału narkotyków, połączył się z Edmundem.

-Cześć, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Dziś o czwartej weszliśmy na laborkę. Produkcja była w toku. Mamy chemika i dwóch pomocników. Na razie trwa obróbka, dopiero kompletujemy,

136

137

ogłędziny, przesłuchania. Jutro, najdalej pojutrze przyślę ci notatkę - relacjonował Edmund.

- No, to fajnie, gratuluje. Mam prośbę, chciałbym oprócz tego, co mi przyślesz, sam już sobie coś napisać. Wiesz, chcę pomału zrobić porządek w kwitach. Podaj mi, gdzie to laboratorium było, dane tych zatrzymanych.

- No, wiesz, to świeża sprawa, czynności w toku... - mętnie wykręcał się Edmund

- Weź nie gadaj, podobno współpracujemy, zabezpieczone u nas narkotyki mają pochodzić z waszego laboratorium. To dla nas ważny wątek, a po za tym potrzebuję jakiejś podkładki dla potwierdzenia informacji.

- Dobra, dobra. Niech ci będzie.

Chińczyk notował przez pewien czas dane. Jak się okazało, laboratorium znajdowało się w komórce zabudowań wiejskich, 50 kilometrów za Warszawą. Zatrzymany chemik był już notowany za podobne przestępstwa. A że produkcja narkotyków była zagrożona niższą karą niż handel nimi, facet zdążył odsiedzieć karę i zapomnieć, że ją odbywał. Taki odpoczynek, dłuższy urlop na koszt państwa, gdzie jeszcze można parę ciekawych kontaktów zdobyć. Chińczyk wysłuchał jeszcze krótkiej relacji o samym szturmie i odłożył słuchawkę. Zaczął od sporządzenia szczegółowej notatki z rozmowy z Edmundem. Następnie przejrzał starannie wszystkie skompletowane do tej pory dokumenty, ułożył je chronologicznie. Wyjął swoje notatki poczynione pośpiesznie na luźnych kartkach po-utykanych po kieszeniach, ułożył je przed sobą starannie. Pracę rozpoczął od sporządzenia szczegółowej notatki opisującej całokształt dotychczasowych działań. Na jej podstawie sporządził plan. Całość zajęła mu półtorej godziny, ale sytuacja pomału klarowała się. Mieli do czynienia ze zorganizowaną grupą przestępczą, zajmującą się produkcją i handlem narkotykami, kradzieżami samochodów, wymuszeniami rozbójniczymi, handlem bronią, zabójstwami. Znali skład tej grupy: Gruby i jego ludzie zajmowali się kradzieżami samochodów, przebijaniem numerów oraz handlem narkotykami. Znaleziono u Grubego pięć kilo amfetaminy, kradziony silnik i fałszywe dokumenty, na podstawie których legalizował kradzione samochody. Dodatkowo znani byli złodzieje dostarczający Grubemu towar, tych znał Warecki. Niestety, nadal nie było dowodów na ich działalność. Ale zlikwidowanie pasera na jakiś czas utrudni im działalność. Osobnym problemem było pięć kilo białego proszku. To duża ilość. Gruby musiał jakoś to rozprowadzać, jak? Prawdopodobnie miał sieć dilerów, którym dostarczał mniejsze partie amfetaminy. Chińczykowi bardziej był znany Kruszyna i jego kompani. Posiadał mnóstwo informacji na ich temat, ale nie udawało się zdobyć na nich dowodów. Głównym problemem był fakt, że najczęściej zastraszani sklepikarze nie chcieli współpracować z policją. Powszechnie było wiadomo, że Kruszyna zajmuje się handlem prochami, ale ten aspekt działalności tego człowieka z zawodowego punktu widzenia nie interesował Chińczyka. Jego działką była przemoc, czyli haracze, napady, broń i zabójstwa. Ale zbierał wszelkie informacje, jakie się trafiały. Lubił wiedzieć, z kim ma do czynienia. No, proszę, okazuje się, że Kruszyna nadzoruje również laboratoria. Chińczyk miał już tego typu informacje, ale żadnej na tyle konkretnej, aby można było coś zrobić. A teraz wszystko ewidentnie wyszło. Laboratorium, z którego Kruszyna zawiózł prochy do Grubego i chciał ukryć w tej nieszczęsnej wiosce przy wale przeciwpowodziowym, gdzie zginął Andrzej. Dodatkowo usiłował uciec, zabić policjanta, strzelał. Teraz to tylko kwestia czasu, kiedy Kruszyna wpadnie. Dowody były żelazne. Jego ekipa też poszła w rozsypkę: jeden nie żyje, drugi w szpitalu. Może złoży zeznania? Choć Chińczyk w to wątpił. Co mogli mu oferować w zamian? Pieniądzy to on miał więcej w ciągu tygodnia, niż Chińczyk zarabiał w miesiąc. Gdyby istniał program ochrony świadków, taki jak w Stanach, to można by się pokusić. Dostaje chłop bezpieczeństwo, nowe nazwisko, nowe miejsce do życia w zamian za zeznania. A teraz, kto go uchroni przed zemstą grupy? Nikt. Jeśli złoży zeznania, to wyda na siebie wyrok śmierci. Pozostał jeszcze na wolności Czaja. Ale on leżał tak jak Kruszyna. Chyba, że udałoby się dorwać go wcześniej i nakłonić do tajnej współpracy, zrobić z niego informatora.

To by było coś - rozmarzył się Chińczyk. Choć byłoby to straszliwe napięcie przepisów, Chińczyk był gotów iść na taki układ. Przymknąłby

138

139

oko na udział Czai w tej strzelaninie w zamian za informacje o Kruszynie. Fakt, to Czaja prowadził samochód i potrafił Kropa. A Czaja, nawet jeśli poszedłby na współpracę i tak byłby szukany i wcześniej lub trochę później poszedłby siedzieć. Ale Chińczyk zdążyłby wycisnąć go jak cytrynę. Był pewien, że Krop na jego miejscu myślałby tak samo. Informacje. Za wszelką cenę potrzebne są im informacje. Szczególnie te dotyczące pana Horko. To już inna półka. Facet niczego się nie dotyka. Od tego ma ludzi, takich jak Kruszyna, a ci mieli swoje ekipy. Takich ekip pracowało w Horkowym imperium multum. Zresztą, w tym środowisku nie istniały pionowe powiązania, takie jak w legalnych firmach czy instytucjach, tylko poziome. Przenikające się i płynne. Tacy ludzie jak Horko wydawali polecenia, zbierali pracę ludzi z dołów, ale nie znali ich bezpośrednio. Współpracowali z wąskim gronem pracowników i wykonawców, spotykali się z nielicznymi, wypróbowanymi przez lata kontrahentami. Tak ten biznes się kręcił. Ciężko, bardzo ciężko takim ludziom dobrać się do tyłków. Chińczyk westchnął i poszedł do Sochackiego z oficjalnym planem na papierze i nieoficjalnym w głowie.

- Nie, to nierealne, nie damy rady - Sochacki rzucił papiery na biurko.

- Dlaczego, naczelniku. Jest okazja, żeby to przetrzepać.

- A może... - Sochacki ponownie spojrzął na plan.

- Naczelniku, przynajmniej narobimy trochę zamieszania. Dla nich najboleśniej jest strata pieniędzy. A dzięki temu - Chińczyk wskazał na leżące na biurku dokumenty - tak właśnie się stanie.

- Ech, żebyśmy mieli możliwość założenia podsłuchów - rozmarzył się Sochacki.

- Naczelniku, przecież pan wie, że nikt nam na to nie pozwoli. Za chudzi w uszach jesteśmy - tym razem to Chińczyk zabawił się w tego dorosłego. - Sam pan to zawsze powtarza.

- No właśnie - Sochacki westchnął.

- Ale skontaktuję się z Edmundem, może coś tam jeszcze u nich chodzi, może nie wszystkie telefony wyłączyli.

- Masz na myśli Kruszynę i jego ludzi? - spytał rzeczowo Sochacki.

-Tak.

-Jak znam się cokolwiek na czymkolwiek, to teraz u nich Niemcy w lesie, nikt nic nie wie.

- A z Jackiem? - Chińczyk spojrzął na naczelnika.

- Możesz. Chociaż jeżeli coś tam wygrzebał, to sam to wykorzysta.

- Wiem, ale spróbuję.

- Dobra. Czekam na wykaz agencji towarzyskich, lokali gastronomicznych, podejrzanych warsztatów i innych miejsc kontrolowanych przez ludzi pana Horko. Jak też miejsc, w których bywają. Musimy ocenić, ilu ludzi potrzebujemy. Będę musiał z oficerem miasta uzgodnić użycie pododdziałów zwartych, naszej zomozy. Najpóźniej o osiemnastej, góra dziewiętnastej wejścia i kipsisze w tych wszystkich miejscach - Chińczyk właśnie zapewnił sobie kolejną noc w pracy. Nie tylko sobie zresztą.

- Naczelniku, spróbuję wywołać spotkanie z „Kalatanem”-Chińczyk miał na myśli informatora, z którym od kilku miesięcy zaczął współpracować. Człowiek ten był bliskim współpracownikiem pana Horko. Przekazał co prawda tylko dwie informacje, ale obie były strzałami w dziesiątkę. Chińczykowi ani Sochackiemu nie przeszkadzało, że „Kalatan” wystawia swoją konkurencję. Ważne, że zatrzymali cztery osoby podczas zakupu broni, odzyskali pistolet, strzelbę z lunetą, 300 sztuk amunicji. Za drugim razem powiedział, kto jest zabójcą ochroniarza pana Horko. Było to zabójstwo rozrachunkowe. Chińczyk musiał jeszcze sporo się napracować, aby zebrać dowody, ale udało się.

- Dobra, tylko uważaj z nim.
- Też mu nie ufam. On naszymi rękami załatwia swoje sprawy.
- No właśnie. Uważaj, to jest cwana figura.

Karol leżał na łóżku, w głowie jeszcze mu się kręciło, a jak podnosił głowę z poduszki, to zawartość żołądka podjeżdżała mu do gardła. Po prostu wczoraj przesadził. Kupił dwa litry wódki,

140

141

z czego sam ożłopał prawie litr. Szwagier na szczęście mieszkał dwie ulice dalej. Dobrze mieć szwagra. On, jako człowiek bardziej wstrzemięźliwy wchłonął nieco ponad pół litra i zakończył rodzinne spotkanie, zasypiając z twarzą w swoim talerzu. Zdaniem siostry żony Karola miał on tę wadę, że usiłował bezapelacyjnie do końca dotrzymać kroku Karolowi w alkoholowych ekscesach, ale jak zwykle źle skończył. Karol właściwie nie pił wódki. Zdarzało mu się to bardzo rzadko, czasem okazyjnie wypił kieliszek lub dwa. Czasami, raz w roku, raz na pół roku nachodziła go potrzeba „upodlenia się”. W takich chwilach mógł liczyć na szwagra. A wczoraj miał potrzebę zalania robaka. Udało mu się to w dwustu procentach. Nie miał zielonego pojęcia, czy zdoła wytrzeźwieć do godziny siedemnastej. Było to wskazane, bo dziś powinien zacząć służbę o osiemnastej. Nocna zmiana. Ale chyba to będzie nierealne. Do diabła, nie co dzień traci się partnera, nie co dzień robi polowania. Zamykał oczy i wciąż widział Andrzeja padającego jak kłoda i tamtego osuwającego się po ścianie. A później... Zabił człowieka, zamordował go. Rozmowa z Chińczykiem powstrzymała Karola przed prywatną krucjatą. Chciał iść i samodzielnie wymierzyć wyroki tym kanaliom, Czai i Kruszynie, a potem chciał dopaść odpowiedzialnego za wszystko tego Horko. A potem... potem było wszystko jedno. I tak nie ma już przyszłości. Sochacki, jak zwykle siedział w swoim gabinecie. Podpisał leżące przed nim dokumenty. Czekał ich olbrzymi wysiłek. Odebrał telefon dzwoniący na jego biurku. Dzwonił zastępca komendanta. Komendant nadal przebywał w szpitalu. Może to lepiej, że nie było go teraz. Teraz trzeba zdecydowania, a Malinowski nie lubił brać na siebie odpowiedzialności. Na szczęście miał dobrych zastępców.

- Witam pana naczelnika - powitała go słuchawka.
- Dzień dobry, komendancie.
- Panie naczelniku, zastanawiam się, jak rozwiązać problem tego pilnowanego w szpitalu.
- Tak, znam sprawę.
- Wiem, wiem, chodzi mi oto, że nie wiadomo, jak długo będzie tam leżał.
- A co z oddziałem na Rakowieckiej? Opieka lekarska jest tam na najwyższym poziomie.
- Lekarze nie wyrażają zgody na przewiezienie rannego. Zagraża to jego życiu. Dziś odbyła się sesja wyjazdowa sądu w szpitalu. Ze względu na stan zdrowia nie zastosowali aresztu.
- No to pięknie.
- Ale zgodzi się pan, że ucieczka rannego nam nie grozi.
- Tak, niemniej trzeba go pilnować, a jak stan zdrowia się poprawi, ponownie wystąpić o areszt.
- No właśnie, z tym problemem do pana dzwonię.
- Nie sądzi pan chyba, komendancie, że wyślę tam swoich ludzi do pilnowania? I bez tego są nadmiernie obciążeni pracą. Gdyby chcieli odebrać przysługujące im nadgodziny, to większość do końca roku mogłaby nie przychodzić w ogóle do pracy.
- No tak, faktycznie. Wydałem polecenie, aby pilnowali go policjanci mundurowi
- To chyba najwłaściwsze rozwiązanie, panie komendancie.
- Ale dezorganizuje grafiki służb. Zdaje pan sobie sprawę, panie naczelniku, że radiowozy oprócz patrolowania dzielnicy obsługują wszystkie inne wydarzenia. Interwencja domowa z

zatrzymaniem krewkiego małżonka zdejmuję mi załogę na dwie, trzy godziny. Niech się trafi zabezpieczenie miejsca zdarzenia...

- Komendancie, ja nie wyrażam zgody na wyznaczenie podległych mi ludzi do pilnowania rannego.

- Ale formalnie ten ranny podlega pod pański wydział - komendant powołał się na żelazną zasadę obowiązującą w policji. Każdą interwencję od początku, do końca obsługuje jedna załoga. Unika się sytuacji, gdy przekazuje się czynności innym funkcjonariuszom. Dzieje się tak tylko w wyjątkowych sytuacjach. Ale sytuacja z rannym taką właśnie była.

- Panie komendancie. Jeżeli wyda mi pan polecenie, wykonam je. Ale proszę zdawać sobie sprawę z obciążenia pracą moich ludzi i tym, że naszej pracy często nie widać. Widać tylko efekty, a na nie trzeba czasami czekać miesiącami. Chce pan, aby

142

143

to moi ludzie pilnowali rannego? Proszę bardzo, ale proszę nie wymagać ode mnie informacji, znajomości środowiska, udanych zasadzek i zatrzymań. To jest po prostu nierealne.

- Faktycznie, w pana wydziale toczy się „proces wykrywczy” - mruknął komendant.

- Dokładnie tak jest, panie komendancie.

- Co pan proponuje w takim razie?

- Może trzeba zwrócić się o pomoc do podległych nam komisariatów lub do komendanta stołecznego?

- Hm... może ma pan rację. Niech tak będzie. Biorę to na siebie. Dziękuję za rozmowę, panie naczelniku.

- Ja również

Głucho plasnęła słuchawka o plastikowe widełki.

Porucznik Zaremba wszedł na drugie piętro, gdzie kwaterowała 7 kompania III batalionu Oddziałów Prewencji Komendy Stołecznej Policji w Iwicznej koło Warszawy. Wracał z odprawy w sztabie. I stało się, jego kompanię trafił zaszczyt. Niech to jasny szlag trafi. To jeszcze banda przerażonych smarkaczy, dopiero półtora miesiąca szkolenia, a wysłała się ich do wykonania tak odpowiedzialnego zadania. Ale, jak mawiał porucznik Zaremba - rozkaz nie gazeta. Rozkazu nie czyta się, rozkaz się wykonuje. Porucznik prosto z klatki wszedł na korytarz kompanii. Korytarz biegł wzdłuż całego budynku, na przeciwległej ścianie widniały w równych odstępach drzwi do sal żołnierskich, obok wejść stały w równiutkich szeregach grube buciory mieszkańców. Pomimo że służyli w formacji policyjnej, obowiązywał regulamin i stopnie wojskowe. Pełniący dyżur przy stoliku podoficer dyżurny widząc dowódcę, zerwał się z krzesła, stanął w postawie zasadniczej, poczerwieniał natychmiast z emocji na piegowatej twarzy i ryknął gromkim głosem:

- UWAGA, KOMPAANIAAAA, BACZNOŚĆ!!!

Problemem każdego podoficera było wycucie tempa, z jakim dowódca przekraczał próg kompanii. Okrzyk „uwaga” powinien zabrzmieć, zanim oficer wszedł za próg. Jego zadaniem było zwrócenie uwagi obecnych na korytarzu ludzi i przygotowanie ich na dalsze komendy. Komenda „baczność” stawiała wszystkich w postawie zasadniczej, frontem do wchodzącego dowódcy. Podoficer musiał uważać, aby komendy „baczność” nie wydać po przekroczeniu obiema nogami progu przez oficera. Ideałem było wydanie rozkazu, gdy jedna noga wchodzącego oficera znajdowała się już za progiem, a druga jeszcze go nie przekroczyła. Postawienie kompanii na bacznosc przed całkowitym wejściem przełożonego na teren kompanii było traktowane przez oficera jak obraza i zwykle kończyła się musztrą w pełnym, to znaczy zimowym umundurowaniu na rozgrzanym upałem placu lub zakurzonym boisku. Jeżeli zaś podoficer wydał komendę, gdy przełożony znalazł się całą swoją osobą na terenie kompanii, oznaczało ni mniej, ni więcej, że niższy stopniem postawił na bacznosc wyższego

stopniem. Według wojskowej logiki wszyscy powinni stać do końca świata na baczność, bo podoficer nie miał prawa wydać komendy spoczynku zwalnającej wszystkich z osłupienia bacznościowego wyższemu stopniem, a wyższy stopniem nie miał prawa zrobić nic, dopóki nie padła komenda zwalnająca go z baczności. Wydanie komendy baczność po przekroczeniu progu przez oficera oznaczało po prostu KONIEC ŚWIATA dla całej kompanii, a pełniącego służbę dyżurnego podoficera w szczególności. A przecież mogło być tak, że na korytarzu oprócz szeregowców znajdował się ktoś z kadry zawodowej, chociażby szef kompanii albo któryś z dowódców plutonów. Oni mieli stopnie od sierżantów do chorążych. Niewątpliwie wyższe od dyżurnego, ale niższe od oficera. Albo na terenie kompanii mógł przebywać z inspekcją dowódca batalionu, szef sztabu, oficer dyżurny jednostki. Wszyscy mieli wyższe stopnie, a nawet jeżeli nie, to pełnili poważniejsze funkcje. Co miał zrobić podoficer? Baczność czy nie baczność? Oto jest pytanie - hamletowski dylemat był codziennym problemem setek młodych ludzi. I będzie nadal, dopóki będzie istniało wojsko i jego mutacje.

- WRRRRÓÓĆ STRZELEC!!!! - teoria bacznościowania teoria, ale istnieli na szczęście kaprale. Komenda „wróć” anulowała po przednią. Czujny kapral wybawił swojego dowódcę od stania na baczność do końca świata - CO Z TOBĄ, STRZELEC! DOWÓDCE

144

145

NA BACZNOŚĆ STAWIASZ? OPAAD, GLEBA, JEDZIESZ DZIESIĘĆ POMPEK, TEMPOOO! - darł się kapral, a nieszczęsny dyżurny wykonywał pompki, zadowolony, że tylko tak to się skończyło. Potem porucznik jeszcze raz przekroczył próg komendy, podoficer tym razem prawidłowo zakomenderował, przebrnął przez oddanie honorów i meldunek dowódcy. Czarne chmury rozwiały się wraz z porucznikiem Zarembą zmierzającym do swojego pokoju.

- Dyżurny do mnie! - warknął przez ramię Zaremba, znikając za drzwiami. Piegowaty dyżurny, który już pomału odzyskiwał równowagę ducha, ponownie zbladł. A więc jednak „koniec świata”, pomyślał z rezygnacją, biegnąc przepisowym kłusem po korytarzu. Zgodnie z obowiązującymi w koszarach zasadami młodzi żołnierze, czyli „strzelcy” po korytarzach kompanii poruszali się biegiem. Marsz zarezerwowany był dla wyższych szarż i starszych służbą. Zaremba usiadł za swoim biurkiem, patrzył na wyprężonego na baczność piegusa, meldującego swoje przybycie i proszącego o pozwolenie pozostania.

Zaremba patrzył i widział siebie sprzed kilkunastu lat. Też tak zaczynał, tak samo denerwował się jak ten młody teraz. Tak po prostu trzeba, każdy musi przez to przejść. Jak przygotować tych młodych ludzi do stresu, jaki im będzie towarzyszył w prawdziwych akcjach? Jak ich przygotować do starcia z agresywnym tłumem, do fruujących kamieni i śrub, desek, do furii wściekłych kiboli, których jedynym celem jest wyładowanie agresji? Trzeba ich jak najbardziej przerazić, zaskakiwać absurdalnymi zachowaniami i sytuacjami po to, aby nauczyli się żyć w dużym napięciu i radzić sobie z nim. Gdy przyjdzie im działać w realnych warunkach, to szkolenie bardzo im się przyda.

- Spocznij - Zaremba sięgnął do regału, wyjął teczkę, włożył do niej dokument. - Zarządzicie alarm dla kompanii, szeregowy.

- Tak jest, panie poruczniku. Jaki sprzęt pobieramy? Do rozpraszania tłumu? - Zaremba stwierdził, że z tego rudego piegusa będą ludzie. Myślał, strach nie paraliżował mu szarych komórek. To ważna cecha.

-Nie, szeregowy. Szef kompanii wyda KBK AK Kałasznikow i po dwa magazynki ostrej amunicji. Wszyscy pobierają też broń krótką, długie szturmowe pałki. Wezwijcie pisarza do mnie i wszystkich kaprali. Zakaz oddalania się z terenu kompanii do odwołania. Kierowcy oporzędzenie pobiorą na końcu. Teraz wyślij ich do samochodów, niech podjadą na plac przed kompanią.

- Tak jest, panie poruczniku.
- To nie są ćwiczenia, strzelec. Wykonać!

W ułamku sekundy zatrzasnęły się drzwi za dyżurnym, i rozległy się nieodłączne w koszarowym życiu donośnie krzyki:

- DOWÓDCY DRUŻYN, DO MNIE! KIEROWCY, DO MNIE! PISARZ DO MNIE! POMOCNIK SZEFA DO MNIE! OGŁASZAM NA KOMPANII ALARM, ALARM, ALARM!!!

Maszyneria poszła w ruch. Siódma kompania po raz pierwszy i jako pierwsza z młodego rocznika ruszała do prawdziwego zadania. Dwadzieścia minut później jeden volkswagen transporter z siedmioma policjantami w środku wyruszył z Iwicznej. Ich celem było objęcie posterunku w jednym z warszawskich szpitali przy postrzelonym przestępcy. Mieli rozkaz pilnować go do odwołania. 7 kompania dostała to zadanie jako służbę stałą. Dwóch miało pilnować sali z rannym, pozostali w samochodzie stanowili odwód. Reszta kompanii pozostawała w rezerwie, by do odwołania wystawiać zmienników.

Na tyłach szpitala praskiego, w ogródku stoi niepozorny, obity saidingiem budynek. Wewnątrz kilka plastikowych stoliczków, plastikowe krzeselka. Kawa w plastikowych kubkach. Ot, typowy barek, jakich wiele. Dziś weszło tam dwóch, trochę nietypowych klientów. Jeden o krępej sylwetce, muskularny o włosach krótko ostrzyżonych w wieku około pięćdziesięciu lat. Drugi o wiele młodszy, smuklejszy. Żaden tu nie pasował. Siedzieli przy jednym stoliku, pili kawę, prawili sobie uprzejmości i sypali dowcipami. Ale każdy z nich prowadził swoją grę.

- Tomek, jest prośba do ciebie - Chińczyk zwrócił się do swojego rozmówcy. - To będzie ostatnia robota i koniec.

Tomek słuchał uważnie. Trudno było wyczytać w jego oczach, o czym myśli. Chińczyk pozyskał go do współpracy parę

146

147

miesiący temu. Tomek przyszedł kompletnie pijany do agencji towarzyskiej. Zaczął straszyć panienki, że za moment załatwi im „wjazd ludzi z miasta”. Szefowa agencji współpracowała z Chińczykiem i załatwiła Tomkowi „wjazd” policjantów z samym Chińczykiem na czele. Tomek wyszedł jakiś czas temu z więzienia, gdzie odsiedział sześcioletni wyrok za wymuszenia. Chińczyk szybko zorientował się, że Tomek jest mocno powiązany z miastem. Wysoko postawiony w hierarchii. Tomek na rzuconą przez Chińczyka propozycję współpracy ku chińczy-kowemu zdziwieniu, przystał. Chińczyk bardzo szybko dzięki uzyskanym od niego informacjom zrealizował dwie poważne sprawy. Ale wiedział, że Tomek, nazwany przez Chińczyka Kalatanem, prowadził swoją rozgrywkę. I trochę się tego obawiał. Dlatego, pomimo bardzo dużej wartości informacji uzyskiwanych od Kalatana, postanowił zakończyć współpracę. Chciał tylko ostatni raz wykorzystać jego znajomości i dopaść samego Horko. Kalatan wysłuchał propozycji, spuścił głowę, jakby się namyślał.

- Teraz ty mnie posłuchaj - powiedział w końcu swoim charakterystycznym, przepitym i przepalonym głosem. - Wystawiłem ci już poważne tematy i więcej tego robić nie będę. Teraz ty będziesz pracował dla mnie.

- Co? - warknął Chińczyk, poirytowany bezczelnością swojego informatora. A ten położył przed nim małą kasetę do dyktafonu.

- Wysłuchaj tego i zadzwoń do mnie za godzinę - Kalatan wstał. - Jeżeli nie, oryginał tej kasety znajdzie się w Biurze Spraw Wewnętrznych.

- Co tam jest? - spytał pełen złych przeczuć Chińczyk. - Nasza rozmowa, gdzie uprzedziłeś o planowanym przez stołeczną zatrzymaniu mnie.

Kalatan wyszedł, zostawiając Chińczyka ze swoimi myślami. Niewesołymi. Nie da się ukryć.

- Czyś ty z byka spadł! - Sochacki aż się zagotował. Powiedziałeś mu o tym, że chcą go zamknąć? Podales termin? Jak można być takim kretynem!

- A co miałem robić? Kalatan jest bardzo cennym źródłem! Dogadałem się z pałacowymi, że nie wsadzą go do aresztu,

148

a jego namówiłem, by sam się zgłosił tydzień później. Pałacowi przesłuchali go, on nie poszedł siedzieć, a my nie straciliśmy źródła!

- A teraz źródło trzyma cię za jaja i mocno ściska!

- To co robimy, naczelniku?

-Zwijamy sukinsyna! Jeśli się nie uda odzyskać tej kasety, pójdziesz siedzieć. Sam o tym dobrze wiesz. Dzwon, bądź miły i umawiaj się.

- Do diabła, naczelniku. Wykonywałem swoją pracę i za to mam iść siedzieć?

- A ty co, pierwszy dzień tutaj pracujesz? Jest dobrze, dopóki jest dobrze. Na rozprawie możemy odtajnić twoje raporty ze spotkań z Kalatanem, co nie zmienia faktu, że uprzedziłeś go o planowanym zatrzymaniu. Popeliłeś przestępstwo. Twoje intencje nie mają znaczenia. Dzwon, tylko odzyskując kontrolę nad Kalatanem, uchronisz swój tyłek. Mówiłem ci, mówiłem tyle razy, że grasz za ostro. Doigrałeś się.

Chińczyk chwycił za słuchawkę, wykręcił numer telefonu komórkowego Kalatana. Umówili się w tureckim Kebab barze na dworcu centralnym, niedaleko wejścia do WKD-ki, podmiejskiej kolejki dojazdowej. Dobre miejsce. Łatwo je obserwować. Tłumy przewalające się w pasażu podmiejskim zapewniały anonimowość. Chińczyk usiadł i czekał, przy okazji jedząc kebaba. Nie był sam, wokół baru kręciło się ośmiu nieumundurowanych kolegów, wtopionych w tłum. Ciekawiło go, co Kalatan wymyśli. Nie będzie chyba takim idiotą i nie podejdzie do niego bezpośrednio. Musi przecież liczyć się z tym, że Chińczyk będzie chciał go przyskrzynić. Jedząc ciekącego niemilosiernie sosami słodko--kwaśnymi, zawiniętego w placek i papier kebaba, Chińczyk dostrzegł stojącego pod kolumną faceta, bystro mu się przyglądającego. Facet był tuż po czterdziestce, otyły. Nie poruszał się wraz z falującym, rozgorączkowanym tłumem, tylko patrzył. Nawiazali kontakt wzrokowy, facet podszedł do stolika Chińczyka.

- Czekasz na Tomka? - Chińczyk obruszył się w duchu. Wiedzą, że jest psem, a walą do niego per „ty”. Uważają, że jest już ich.

- Gdzie on jest - warknął Chińczyk, kończąc posiłek.

- Chodź za mną.

149

- Gdzie?

- Na co czekasz, chodź - grubas chciał go przeciągnąć pasażami, żeby jego ludzie tak samo jak gliniarze wtopieni w tłum, zorientowali się, czy ma „ogon”, czy nie. Sprytne.

- Prowadź, byle szybko, nie mam czasu na takie zabawy -grubas uśmiechnął się lekko i ruszył szparko przed siebie, czasem oglądając się i poganiając Chińczyka do szybszego marszu Chińczyk specjalnie ociągał się, aby jego „ogon” nadążył za nim Sam już zdążył namierzyć trzy grupy po czterech „karków” Niewątpliwie „żołnierze” Kalatana. Oceniał, że może być kiepsko. Grubas kluczył w podziemnym labiryncie dworca, przeszedł wzdłuż peronu, wyszli ponownie na galerię. W końcu wydobył się na powierzchnię na rogu Emilii Plater i Alei Jerozolimskich Stańeli na chodniku.

- Gdzie Tomek? - burknął Chińczyk.

- Spokojnie, zaraz będzie - grubas wyjął komórkę, wystukał numer, rzucił krótkie „dobra” do słuchawki i rozłączył się.

Chińczyk dostrzegł audi Kalatana wylatujące z drugiej strony alei i przejeżdżające szybko przez światła. Samochód wjechał w zatoczkę, zaparkował na chodniku. Wysiadł z niego

Kalatan. Gruby kiwnął mu głową i odszedł. Chińczyk gratulował Kalata-nowi sprytu. Był dobry, nie da się ukryć. Przywitali się krótko.

- Jaka decyzja? - spytał Kalatan

- A jak myślisz - spytał Chińczyk, patrząc na parkującego obok nich fiata bravo, z którego wysiedli koledzy. - Jedziesz z nami. To koniec naszej współpracy.

- Jak to - spytał Kalatan - Nic na mnie nie masz, nie!

- Mylisz się - uśmiechnął się Chińczyk - Jesteś szukany listem gończym przez prokuraturę w Lublinie. To jeszcze jakaś stara sprawa. Zdaje się, że chodzi o zabójstwo czy uprowadzenie.

- No widzisz? - Kalatan uśmiechnął się melancholijnie. - Dawno ci mówiłem, że jak człowiek chce zacząć uczciwie żyć, to dopada go jego przeszłość. Dobry jesteś. Ale ja mam taśmę.

- No to co? Dzięki swoim informacjom ustaliłem miejsce pobytu poszukiwanego przestępcy. Komu uwierzą, mnie - wzorowemu policjantowi, czy pomawiającemu go gangsterowi?

- Ale smrodu ci narobię.

- Fakt. A ja nadal mogę ci pomóc.

- Jeżeli zapomnimy o tej taśmie?

- Jeśli zapomnimy.

- Dobra, mam ją w domu, jedźmy tam - Kalatan wszedł na tylne siedzenie samochodu policjantów pogodzony z losem. Chińczyk poczuł, że kamień spadł mu z serca. Miał szczęście, coś go tknęło, aby sprawdzić Kalatana w bazie danych. To był strzał w dziesiątkę. Chwała Bogu, że Kalatan jest rozsądny. A więc gra toczy się nadal. Kolejna cegiełka do ich „szorstkiej przyjaźni”, jak tego typu zachowania za kilka lat nazwie znany polityk.

Kruszyna rano wysłał Czaję na zakupy. Miał kupić coś do żarcia i telefon komórkowy na kartę. Gdy już miał go w ręku, zszedł na dół do automatu telefonicznego. Zadzwoił do Hor ko na numer alarmowy, Hor ko pozwolił mu zadzwonić do siebie. Zrobił to z mieszkania. Zdał relację z ostatniej doby, powiedział, że jest na Żoliborzu w okolicy Kępy Potockiej. Szczegółów nie chciał zdradzać ze względu na możliwy podsłuch telefonu. Hor-ko powiedział, że za moment przyśle ekipę do ewakuacji magazynu. Kruszyna ma siedzieć i czekać na polecenia. Żarcie, picie papierosy będzie dostawał. Ma z Czają w ogóle nie wychodzić z domu. Teraz Kruszyna przyglądał się Bokserowi, który ze swoimi ludźmi oczyszczał lokal z trefnych towarów. Wynosili broń, amunicję, odczynniki chemiczne potrzebne do produkcji amfetaminy i resztę innych narkotyków, które Kruszyna miał tu na składzie. Od Boksera dowiedział się, że generalnie nie jest dobrze. Horko chodzi wkurzony i lepiej mu schodzić teraz z drogi. W telewizji w każdych wiadomościach pokazują zdjęcia Kruszyny i Czai, prosząc o pomoc w ujęciu groźnych przestępców. Wciąż wałkowane są szczegóły ich brawurowej ucieczki. Gdy Bokser wyniósł się, Kruszyna sięgnął po gazetę kupioną przez Czaję. Na pierwszej stronie były ich zdjęcia. Przeczytał napisany w sensacyjnym tonie artykuł. Dziennikarz wiązał ucieczkę Kruszyny z poważnym uszkodzeniem bloku mieszkalnego, gdzie policjanci szturmowali jeden z lokali. Dowiedział

150

151
się, że Kondzio żyje i jest pilnie strzeżony. Ale przeczytał coś, o czym Bokser mu nie powiedział. O zlikwidowaniu laboratorium amfetaminy łączonym z Kruszyną oraz o zatrzymaniu Grubego z narkotykami. Sytuacja była groźna. Po prostu nie było dobrze, o nie. Chińczyk siedział w swoim pokoju, był zmęczony, miał wszystkiego dosyć. Ekspedientka, strzelanina i prowadzone czynności, Kala tan. To wszystko w ciągu kilkudziesięciu godzin. Huśtawka nastrojów, emocji, napięcia zagrożenia. Zbierał resztki sił na kolejny wysiłek. Ile jeszcze jego organizm wytrzyma takiego katowania? Jeszcze trochę i zaczną się kłopoty z ciśnieniem, sercem. Otworzył oczy, sięgnął po słuchawkę. Wykręcił numer do domu.

- Agnieszka?

- Znowu cię nie będzie ?

- Zrozum, muszę zostać, taka praca.

Agnieszka przerwała połączenie. To nie była zwykła sprzeczka. Coś wisiało w powietrzu, coś bardzo złowrogiego. Ale z tym problemem zmierzy się później. Teraz musiał skupić się, przed nadciągającą akcją. Kiedy to się skończy?

To był piękny dom. Prosta, nawiązująca do dworku lub pałacyku symetryczna linia, zabudowania gospodarcze otoczone zielonym i prowadzonym ze smakiem ogrodem.

Wszystko dzięki jasnym kolorom i promieniom słonecznym tonęło w blasku. Kojarzyło się ze spokojem. Wewnątrz budynku, za szybą klimatyzowanego gabinetu, wśród pięknych roślin, akwariów z wielkimi kolorowymi rybami, wśród afrykańskich masek wiszących na ścianach, srebrnych bibelotów stojących na kredensie siedział na miękkim skórzanym fotelu Horko. Przez telefon komórkowy prowadził cały dzień nerwowe rozmowy. Obok niego stał wyglądając przez okno zaufany współnik.

- Cholera - Horko schował telefon do kieszeni - jasny szlag by to trafił.

- Co jest?

- Ten popapraniec Heniek straszy mnie naliczeniem, rozumiesz? Mnie!

- Co mu odbiło?

- Koszty poniósł posraniec, mówi mi - Horko był wyraźnie wzburzony. - Jakbym ja, do cholery, nie poniósł!

- O co mu chodzi?

- Miał dostać transport amfy i nie dostał. A tam opłaceni celnicy, statek wejścia, zejścia i cuda wianki.

- Nie ma co się dziwić, niemniej wejścia Heńka nie są jednorazowe. Jak w zeszłym roku psy z celnikami przejęli nasz transport koki na jego łajbie, to byliśmy wyrozumiali. Choć trzy miesiące naszej roboty poszło i kupę hajsu jak psu w dupę. Cypek cały czas siedzi, przyjął wszystko na siebie.

- No, a do mnie się, rozumiesz, przypierdziela! Gnojek.

- Przejdzie mu.

- Wiesz, gdzie go mam?

- Jasne. Mamy teraz poważniejsze problemy.

Horko zamyślił się. Sytuacja była ciężka. Gruby ze swoimi siedzi. Może mieć nadzieję, że przyciśnięty przez psiarnię nie pęknie ani nie pójdzie na układ. Jeżeli tak, Kruszyna jest zagrożony, to on obsługiwał Grubego. On dostarczał mu prochy, rozliczał się z nim i w ciężkich przypadkach zapewniał skuteczną ochronę. Kruszyna wywinął się, ale do diabła skąd się wzięła psiarnia przy Grubym akurat wtedy, gdy Kruszyna dostarczał towar? Skąd mieli cynk? Kruszyna wyrwał się, jak zwykle poszedł po kozacku. Nie musiał tego policjanta rozjeżdżać. Psiarnia tego nie lubi, nie popuszczą teraz. Dotąd będą węszyć, aż go dorwą. Tego nie zapominają, o nie. A to psuło Horkowi szyki. Jeden z ekipy Kruszyny nie żyje, drugi ranny w rękach mendow-ni. Stracili towar, stracili laboratorium i jego obsługę. Jak podejść do Kruszyny? A może to on wystawił Grubego i laboratorium? Albo któryś z jego chłopaków? Najgorsze, że jest szukany. Co będzie, jak go dorwą? Co znajdą? Na jaki układ pójdzie? Za dużo do stracenia, za dużo. Jeżeli Kruszyna sygnie, może zagrozić to

152

153

Horkowi, Kruszyna łączy Horko z tymi wydarzeniami. I wieloma, wieloma innymi.

Zadzwoił telefon, Horko odebrał, chwilę słuchał. Potem drugi, trzeci.

- Co jest? - spytał współnik.

- Katastrofa. Policja wchodzi na nasze agencje, knajpy, zatrzymują chłopaków do wyjaśnienia.

- No to co? Wejdą, zatrzymają mnóstwo osób, zaczną je przesłuchiwać, a jutro, pojutrze wypuszczą. Tylko się namordują, kretyni.

- Niezupełnie.
- No jak nie?
- Policz, ile dzisiaj i jutro stracimy?
- No parę złotych poszło.
- W takiej masie zgarniętych ktoś coś chlapnie, nawet niechcący, a oni już potrafią kombinować
- Do czego zmierzasz?
- Za dwa tygodnie powtórzą akcję i znów, i jeszcze raz.
- Ja piernicę, o co im chodzi?
- Dają nam sygnał.
- Jaki?
- Nie pozarabiamy sobie, dopóki nie dorwą tych, co skasowali ich kolegów.
- Jasny gwint. Może trzeba im wystawić tego, jak mu tam, Okruszka.
- Kruszyne.
- No mówię przecież, Kruszyne.
- A jak zacznie sypać?
- A zacznie?
- Raczej nie, ale stawka będzie wysoka. Grozi mu dożywocie. To nie są żarty. Sam wiesz, jak to jest, gdy walczysz o życie.
- Prawda. Co robimy?
- Wystawiamy, ale trochę inaczej.
- To znaczy jak?
- Likwidujemy - Horko powiedział to z wyraźnym bólem. Kruszyna był jednym z lojalniejszych ludzi. Lojalnych ludzi należy nagradzać. Ale nie miał wyboru. To wojna. A na wojnie wódz czasem poświęca kilku żołnierzy, aby ratować całość.

154

- Horko, proszę cię, przemyśl to jeszcze.
- Wiem, co chcesz powiedzieć. Gliniarze i tak dostają kota. Jak im dorzucimy kolejne trupy, dostaną większego szwungu.
- No właśnie.
- Ale na Kruszyńce i jego ludziach ślad prowadzący do nas urwie się. Zniknie ryzyko, że któryś się wygada. Sprawa jest poważna. Gliniarze nie są tacy głupi, powiążą bardzo łatwo prochy od Grubego, laboratorium i Kruszyne...
- Już to zrobili. To zorganizowana akcja.
- Fakt. Sam widzisz. Nie mamy pojęcia, co jeszcze wiedzą. Na pewno nie mają dowodów na nas, bo już by tu byli. Ale ryzyko jest bardzo duże. Musimy uciąć trop. Dostaną wszystkich sprawców strzelaniny, powęszą jeszcze trochę i na tym ślad im się urwie. Zamkną sprawę.
- Może masz rację.
- Nie mamy wyjścia - powtórzył Horko. - Wezwij Boksera.
- Jak chcesz zlikwidować tego ze szpitala? Jest pilnowany.
- Mam dobre wieści - Horko po podjęciu decyzji był spokojny i rzeczowy. - Świeżo po strzelaninie pilnowali go policjanci operacyjni, potem patrolówka. Wiesz, może najlotniejsi nie są, ale to są zawodowi gliniarze. Mają oczy i uszy otwarte. Ale niedawno przyjechały młode koty. Ci, co odrabiają wojsko w policji. Łatwo ich zrobić w jajco.
- Ale akcja musi być przeprowadzona równocześnie.
- To znaczy?
- Ten w szpitalu, Kruszyna i jego kompan muszą zginąć w tym samym momencie
- A tak. Pojadą dwie grupy. Jedna do szpitala, a druga do Kruszyńki. Czaja, ten jego kolega jest razem z nim. Ale szczegóły zostawmy Bokserowi. Ma zrobić tak, aby było dobrze. I szybko, miejmy to już za sobą.

Korytarzem szpitalnym jak zwykle niosło się echo stukotu drewniaków sióstr z lekami, opatrunkami, biegających do wzywających ich pacjentów. Niektóre siostrzyczki obdarzały zalot-

155

nymi spojrzeniami młodych policjantów siedzących przed jedną z sal. Z policjantów była duma z sensacji, jaką wzbudzali swoją obecnością. Nadrabiali miną udając, że jest absolutnie normalną sprawą w szpitalach obecność uzbrojonych w hełmy i długą broń mężczyzn. Czuli się niezwykle ważni. Ale wszystko, co dobre szybko się kończy.

- No, dobra chłopaki, uciekajcie. Przejmujemy sprawę - było ich czterech. Krępi, łysi, o kocich, miękkich ruchach. Jeden z nich podszedł bliżej mundurowych. Wyjął legitymację służbową, okazał ją. - Inspektor Jarosław Kowalczak z Grupy Zabezpieczenia Wydziału do Walki z Przestępczością Zorganizowaną Komendy Głównej Policji, spiszcie moje dane do notatników służbowych. No, ile do cywila chłopaki? - uśmiechnął się szeroko.

- Kosmos, panie inspektorze - powiedział wyższy z policjantów, zapisując skrzątnie imię i nazwisko z legitymacji świeżo przybyłego.

- Dajcie spokój, chłopaki. Wykonujemy tę samą robotę, szanujemy się nawzajem. Jarek jestem - wyciągnął dłoń do mundurowych. Widać było, że uścisk dłoni inspektora z Komendy Głównej wyrażnie im pochlebia. - Słuchajcie, wcale mi się nie uśmiecha sterczenie tutaj Bóg wie ile. Ja mam poważniejsze sprawy na głowie, ale komendant główny naszemu staremu kazał wziąć sprawę pod bezpośredni nadzór. Powiem wam, tak po znajomości, że ten temat wiąże się z wieloma naszymi rozpracowaniami na najgroźniejsze grupy. A ja zamiast prowadzić sprawę, będę musiał tu sterczeć. Do dupy z taką robotą - cywil cały czas mówił, był wyluzowany, uśmiechał się. Bił od niego autorytet i doświadczenie. - Mam prośbę, chłopaki. Im szybciej stąd znikniecie, tym lepiej. Umundurowani policjanci za bardzo rzucają tu się w oczy. Informacja o tym może dotrzeć do bandytów, mogą chcieć go odbić. Trzeba tego tam - głową wskazała na salę - pilnować dyskretnie.

- Panie in... to znaczy Jarek, czy mógłbym prosić o legitymacje twoich kolegów - spytał ten wyższy przyglądając się przybyłym razem z Jarkiem Kowalczakiem ludziom. Ci patrzyli nieruchomo, czujnie, rejestrowali każdy gest mundurowych. Stanowili przeciwieństwo Jarka.

- Daj spokój, chłopie - Jarek uśmiechnął się z wyższością - Ci ludzie są ze specjalnej tajnej grupy. Ich dane są ściśle tajne. Wykonują najtrudniejsze zadania. Ja jestem dowódcą, dlatego udostępniam swoje dane. I tylko swoje. Takie są procedury. Tego nie przeskoczysz. Chłopaki, nie chcę was wyganiać, ale wasza obecność stanowi dla nas duże utrudnienie. Lećcie już. Jak macie wątpliwości, skontaktujcie się z dyżurnym komendy głównej, ale ja na waszym miejscu nie zawracałbym mu głowy.

- Panie inspektorze, szeregowy Kukała plus jeden odmeldo-wuje się - mundurowy wyprężył się po wojskowemu, oddał honor. Jarek pomachał mu z uśmiechem, obserwował ich odejście.

- Ty, coś mi tu się nie podoba - po raz pierwszy odezwał się niższy policjant - nikt nic nam nie mówił.

- A bo to nam coś mówią. My mamy tylko wykonać rozkaz. A zresztą zejdziemy do radiowozu, niech nasz kapral przez stację dogada się z oficerem naszej jednostki, a ten niech sobie wyjaśnia z komendą główną.

- No, niby fakt - mruknął niższy, obcierając rękawem nos i poprawiając opadający na oczy za duży hełm.

Zibi ze swoimi ludźmi miał zlikwidować Kondzia. Nie wnikał czemu. Może Kondzio nie rozliczył się, a może przespał z dziewczyną szefa. To nie był problem Zibiego. Dostał kupę kasy za to zadanie i miał zamiar je wypełnić. Parę złotych musiał zainwestować znajomemu fałszerzowi. Ale to, co on robił, warte było każdego pieniędzy. Jedynie fachowiec przy użyciu specjalistycznego sprzętu mógłby wykryć różnice pomiędzy oryginalnym dokumentem a podrobionym. Tym razem znajomek musiał tylko wstawić fotografię Zibiego. Pusty blankiet

dostarczył mu Bokser. Oryginalny blankiet. Trzeba tylko było wpisać dane i dołączyć fotografię. W tym musiał maczać palce sam Hor ko. On miał wszędzie dojścia. Po zniknięciu w korytarzu prowadzącym do klatki schodowej policjantów Jarek skinął na stojących w oddaleniu swoich ludzi.

156

157

- Skąd wytrzasnąłeś grupę zabezpieczenia, Zibi? Wydział do Walki z Przystępnością Zorganizowaną rozumiem. Ale grupa zabezpieczenia?

- Bo brzmi tajemniczo i groźnie. Lopez i Ryba, idźcie i patrzcie, czy nie wracają. Jakby co, sygnał na komórkę.

- A ich puścić? - spytał Ryba.

- No coś ty. Rozwalić.

- To nie mogliśmy tego od razu zrobić?

- Jeśli można, trzeba unikać rozwalania gliniarzy. To tylko psuje interesy. Uwierz mi. Idźcie już. Kruczek, ze mną - grupa rozdzieliła się na dwa zespoły. Jeden zabezpieczał korytarz, drugi wszedł do sali. Była to typowa szpitalna sala. Stało w niej sześć łóżek zwróconych głowami do ściany. Stały po trzy po obu stronach sali, na wszystkich leżeli pacjenci. Kondzio leżał tuż przy wejściu. To bardzo ułatwiało Zibiemu robotę.

- Cześć Kondziu - powiedział Zibi do podnoszącego głowę, zbudzonego ze snu pacjenta. - Paciorek zmówiłeś?

- Nie - Kondzio jeszcze na wpół senny przecierał oczy.

- A szkoda - w rękach Zibiego i Kruczka nie wiadomo skąd pojawiły się pistolety z nakręconymi na lufy walcami tłumików. Równocześnie broń obu mężczyzn wydała kilkakrotne plaśnięcia nie głośniejsze niż klaskanie w dłonie. Kondzio opadł na poduszki, pościel powoli zaczęła zabarwiać się na ciemnoczerwony kolor.

- Bądźcie cicho, a nic się nikomu nie stanie - Zibi powiedział to do podnoszących głowy, zdezorientowanych pacjentów. Wcisnął się między łóżka, przyłożył lufę pistoletu do głowy leżącego bezwładnie Kondzia i po raz ostatni pociągnął spust. Potem obaj z Kruczkiem jak na komendę wyszli szybkim krokiem z sali. Kierowali się w przeciwną stronę niż wcześniej odeszli policjanci, do ewakuacyjnej klatki schodowej. W tym czasie grupa Ryby szła do ogólnej klatki schodowej. Zejdą piętro niżej, wejdą na oddział i dojdą do tej samej klatki, którą schodzili teraz Zibi i Kruczek. Dalej na dół, do samochodów. Poszło szybko, sprawnie i przyjemnie - pomyślał Zibi. Lubił takie zlecenia. Potem podział kasy i wypad za granicę, na ciepłe wybrzeże Hiszpanii, pełne gorących dziewczyn z całej Europy, czekających na przyjazd Zibiego i jego ludzi.

- Hej, Czaja, zjedź tutaj w prawo, w ten leśny dukt. Stąd mamy pięć kilometrów do szosy gdańskiej, a nią tylko godzina drogi do chałupy - Bokser wskazał palcem na las po prawej. Jechali do świeżo budowanej rezydencji pana Horko. Budował ją dla Brygidy, swojej nowej dziewczyny. Budynek był dopiero w środku wykańczany, ale kilka pokoi na parterze nadawało się do użycia. Akurat, aby przeczekać kilka dni przed wyjazdem. W pięknej okolicy. Kruszyna siedzący obok miał rozanielony wyraz twarzy. Pan Horko pozwolił na te kilka dni zaprosić parę dziewczyn z agentury. To będzie impreza. Trochę się zrelaksują. Samochód pomału toczył się po wybojach.

- Zatrzymaj tutaj, odlejemy się - poprosił Bokser. Samochód stanął. Kruszyna i Bokser wysiedli z samochodu, podeszli do drzewek. Czaja wyszedł trochę później, gdy nagle dostrzegł pistolet w dłoni towarzyszącego im w podróży kolegi Boksera. Wrzasnął „uwaga”, jednocześnie rzucając w uzbrojonego mężczyznę kluczykami od samochodu. Ten zaskoczony odruchowo zasłonił się rękami. Czaja wykorzystał to bez skrępowania, wałąc go pięścią w skroń z jednej i poprawiając z drugiej. Jeszcze w locie kopnął z rozmachem w opadającą głowę tamtego. Zdażył zarejestrować, że Kruszyna zaskoczony odwrócił głowę w jego

kierunku, chcąc zorientować się, o co chodzi. Nie zauważył złożonego do strzału Boksera, bo ten stał akurat z drugiej strony. Nie wiedział, że ginie. Czaja nie czekał na ciąg dalszy, darł na oślep przed siebie nie zważając na chłosczące go po twarzy witki stojących po drodze krzewów. Słyszał huk wystrzałów za sobą, raz kula świsnęła mu koło ucha i z głuchym plaśnięciem wbiła się w pień drzewa tuż przed nim.

Oddychał ciężko, twarz miał posiniaczoną i podrapaną, ale żył. Na razie. Dotarł do jakiś działek pracowniczych na obrzeżach miasta, włamał się do altanki. Leżał na wersalce i zastanawiał się, co dalej. Przeliczył pieniądze; miał przy sobie niecałe

158

159

osiemset złotych. Scyzoryk ze składanym ostrzem. Grzebień. Telefon komórkowy. To wszystko. Co dalej? Nie wiedział, co się stało: czy był jakiś „zamach stanu”, Horko został odstrzelony lub zamknięty, a władzę przejął kto inny? Było to prawdopodobne, bo Bokser miał jakieś kłopoty z ludźmi związanymi ze „Stryjem” - szefem silnej grupy działającej po drugiej stronie Wisły. Horko i Stryj nie pałali do siebie miłością, kilkakrotnie dochodziło do drobnych wojenek podjazdowych pomiędzy tymi dwoma. Może teraz tak się stało i Stryj likwiduje najwierniejszych pre-riana Horka? A może to Horko ich wystawił? Ale dlaczego? Nigdzie nie był teraz bezpieczny. Żeby miał na głowie tylko samą policję, pal sześć. Ale teraz nikomu nie może ufać. Postanowił zdrzemnąć się, a później pomyśleć, co dalej. Zasnął chwilę potem. Parę godzin później zadzwonił do matki, stwierdził, że może czegoś się dowie.

- Synku, synku coś ty najlepszego zrobił? - płaczliwy, kobiecy głos zawodził lamentem w słuchawce.

- Czemu mamusia pyta?

- Synku, byli tutaj, pytali o ciebie. W telewizji twoje zdjęcie widziałam. Mówią, że mój syn to bandyta. I na to ciebie chowałam, synku, coś ty zrobił, coś ty zrobił? - kobieta po drugiej stronie słuchawki zanosila się bezsilnym łkaniem. Czaja wiedział, że trudno będzie teraz coś ustalić. Ale musiał próbować. Ktoś był i pytał o niego. Kto?

- Niech mamusia powie, kto się o mnie pytał?

- A skąd ja mam wiedzieć, kto? Przyszli jedni, drzwi otworzyłam, to wpadli z pistoletami, szukali ciebie. Oj, doło moja, to po to ja ciebie na rękach nosiłam, po nocach niedosypiałam.

- Niech mamusia przestanie płakać, kto to był? Policjanci?

- Policjanci, pokazywali legitymacje, przeszukanie zrobili. W każdy kątęk zaglądali, po szafach, szufladach grzebali. I co ja teraz ludziom powiem? Taki wstyd przed sąsiadami, taki wstyd.

- Co mówili? Niech się mamusia skupi, na miłość Boską!

- Co mówili? Za pierwszym razem nic, tylko gdzie jesteś. A skąd ja to mam wiedzieć? A bo to opowiadasz mi się, gdzie idziesz i co robisz?

- To byli drugi raz?

- Jakoś tak godzinę temu. To dziwne, że przyszli po tych drugich...

- Jakich drugich? Niech mamusia mówi składnie. To bardzo ważne. Słyszysz mamusia?

- Słyszę, co mam nie słyszeć. Byli tacy duzi i wielcy. Jak ty syneczku. Łysi. Jeden miał płaski nos. Uderzyli mnie, grozili pistoletem. Rozgrzaną grzałkę do nóg mi przystawiali...

-Co...?

- Bili mnie, rozumiesz? Myśleli, że ciebie chronię...

- Policjantom mamusia to mówiła? Pokazywała rany?

- A bo to ja głupia jestem? Zaraz po sądach by mnie szargali...

- Do lekarza niech mamusia idzie!

- Pójdę. Synku, słuchaj mnie.

- Słucham.

- Ci policjanci powiedzieli, abyś się do nich zgłosił. Bo jesteś szukany. I wcześniej czy później zostaniesz złapany. Powiedzieli, że lepiej, aby to oni złapali ciebie pierwsi.

- Akurat.

- Powiedzieli, że Kondzio został zlikwidowany. Tak powiedzieli. Na kartce zapisałam. Zlikwidowany. Powiedzieli, że będziesz wiedział, o co chodzi... Poczekaj, podam ci nazwisko tego policjanta... i numer telefonu...

- Dziękuję mamusi. Zapisałam.

Czaja stwierdził, że jest już trupem. To nie ma znaczenia, że mówi, chodzi i czuje. To tylko kwestia czasu. Po chwili zapłonął gniewem. To, że jego szukają, w porządku. Ale dlaczego torturowali matkę? Nie daruje im tego. Wystukał numer do policjanta, jaki podała matka. Chińczyk był kilka godzin w domu. Przespał się trochę, wziął prysznic, zmienił bieliznę. Niepokoiło go zachowanie Agnieszki. Ignorowała go. Ale teraz znów był w pracy. Zbyt dużo się działo. Ta cała sprawa przerastała ich wydział i komendę. Ale, jak się

160

161

okazało, są zdani tylko na siebie. Wszystkie tajne wydziały do walki z przestępczością zorganizowaną, narkotykową lub jakąś inną milczały. Albo nie wiedziały nic o grupach przestępczych, albo nie chciały się z nimi kontaktować. Dlaczego, u diabła? Przecież teraz można dorwać samego Horko i rozbić w pył całe jego imperium. To było na wyciągnięcie ręki. Wystarczy usiąść i złożyć do kupy wszystkie informacje: te, które są w posiadaniu jego wydziału, wiadomości uzyskane od tajnych współpracowników i ustalenia poczynione w sprawie, ewentualna analiza podsłuchów, wyników skrytych obserwacji prowadzonych przez te wszystkie nadrzędne jednostki. Teraz albo nigdy. Dlaczego, u diabła, nikt z nimi się nie kontaktuje? Z niewesołych rozmyślań wyrwał go dźwięk telefonu.

- Tak, słucham?

- Dostałem ten numer. Abym skontaktowałem się.

- Kto mówi?

- Dodzwoniłem się do wydziału operacyjnego?

- Tak. Co pan chciał powiedzieć?

- Czaja z tej strony.

- Witam. Jak możemy się spotkać?

- Taki głupi to ja nie jestem. Zaraz mnie zamkną.

- To jedyne wyjście. Inaczej grozi panu śmierć.

- Tere fere.

- Kondzio zginął w szpitalu. Zastrzelony. Kruszynę też znaleźliśmy. Zastrzelony. Z ekipy uciekającej przed nami od Grubego tylko pan został przy życiu. Pójdzie pan siedzieć, zostanie wyrok. Jeśli zgłosi się pan sam, będzie to dla pana okoliczność łagodząca. Śmiało może pan złożyć zeznania dotyczące strzelaniny, tam gdzie zginął Szaram i policjant. Nikomu pan nie zaszkodzi, bo sprawcy i tak nie żyją. To kolejna okoliczność łagodząca dla sądu. A być może dogadamy się na temat szerszych wyjaśnień...

- Nie wchodzi to w grę.

- Niekoniecznie na protokół. Potrafię chronić swoje źródła...

- Nie wchodzi to w grę.

- Na pewno? Widziałem, co Bokser zrobił pana matce...

- Nie powinni tego robić.

- No właśnie. Jeśli liczy pan na pomoc pana Horko, to na mój nos przeliczy się pan... Czaja, jesteś tam?

-Tak.

-To wybór między życiem a śmiercią. Nie ryzykuj. I mam prośbę...

- Jaką?

- Jeśli wolisz dać się zabić, to nie na mojej dzielnicy. Ja mam tu do obrobienia wystarczającą ilość nieboszczyków jak na jeden dzień. Jedź na śródmieście. Tamtejsi funkcjonariusze działają mi na nerwy...

- Wal się, gliniarzu!

- Czaja, daj spokój. Nie gniewaj się. Posłuchaj, gwarantuję ci, że zatrzymanie twojej osoby odbędzie się spokojnie. Pomimo że to ty rozjechałeś naszego kolegę, zapewniam cię, że nic ci się nie stanie... Nie spadniesz ze schodów ani nic takiego. Ale zatrzymany będziesz.

- A nie możemy spotkać się, no wie pan, incognito?

- Normalnie poszedłbym na taki układ. Ale biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, nie wchodzi to w grę.

- Wiem dużo na temat pana Horko.

- Zdaje sobie z tego sprawę. Jak się spotkamy, pogadamy.

- Nie chcę iść siedzieć.

- Ktokolwiek z mojej firmy obiecałby ci, że nie będziesz zamknięty - będzie kłamał. Ale będziesz żył. Przemyśl to. Innej opcji nie ma...

Cały dzień minął Chińczykowi na rozmowie z Czają. Punktem wyjścia do rozmów było jego formalne zatrzymanie. Obaj z Chińczykiem stali przed dylematem, co dalej. Czaja zgodził się na rozmowę. Był to o tyle wygodny wybieg, że pozwalał mu zaznaczyć, co może powiedzieć w formalnym zeznaniu na protokół. Notatka w tym momencie nie miała żadnego znaczenia dowodnego, a pozwoliła prokuraturze ocenić wagę ewentualnych zeznań. Nie istniała żadna oficjalna procedura, ale w praktyce prokurator w rozmowie z policjantem godził się, że przed sądem

162

163

będzie żądał niższego wymiaru kary z tak zwanej dolnej półki. Skruszony świadek mógł albo zgodzić się, albo nie. To już był jego wybór i jego ryzyko. Teoretycznie zawsze mógł odwołać przed sądem zeznania złożone w śledztwie. Czaja postarał się, aby prokurator miał nad czym myśleć. On sam siedział spokojnie na krześle, obserwował dym unoszący się z papierosa. Chińczyk siedział po drugiej stronie biurka, kończył pisanie dokumentów. Czekali na załogę mundurową, która miała zawieźć Czają do policyjnej izby zatrzymań. Jutro czekał ich maraton w prokuraturze.

- Proszę pana, ta sprawa przerasta naszą prokuraturę - dzieliła ich szerokość blatu, fizyczna bliskość nie oznaczała bliskości zapatrywań. Widać było, że nadawali na zupełnie innych falach. Ufarbowana na czerwono z ostrym makijażem pani prokurator wyraźnie starała się zrobić wszystko, aby nie do niej trafiła ta sprawa. Zbyt dużo wątków, zbyt dużo czynności, zbyt dużo roboty.

- Nie rozumiem - Chińczyk starał się zachować spokój.

- No, co tu rozumieć - opryskliwie przerwała mu prokurator. - To nie ja powinnam prowadzić dalsze czynności, to chyba oczywiste!

- Rozstrzygnięcie, kto ma to prowadzić, nie należy do moich kompetencji. Miałem ustalić sprawców - ustaliłem. Zatrzymany nie tylko chce złożyć obszerne wyjaśnienia, ale chce zeznawać przeciwko swoim dotychczasowym mocodawcom. Dostaje pani wszystko na tacy. Wystarczy przepisać wszystko na protokół i postawić ważną pieczęć. Mam pani pokazać palcem gdzie?

- Obejdzie się - warknęła obrażona pani prokurator i zajęła się uważnie lekturą akt dostarczonych przez Chińczyka i docho-dzeniowca parsającego śmiechem w rękaw. Gdy Chińczyk znalazł się w końcu w domu, po szalonym tygodniu, gdzie tylko wpadał na kilka godzin trochę się zdrzemnąć i zmienić bieliznę, musiał zmierzyć się z kolejnym problemem.

Dom był pusty. Nie było Agnieszki ani dzieci. Został sam. Została pustka. Zostało mu najwyżej dziewięć milimetrów do nieba.

Lawina opadła, po jej przejściu nic już nie jest takie same. Pozostawiła po sobie gruzy i zgliszcza, ale na nich prędko powstanie coś nowego. Tak samo nagle, jak powstała, tak też skończyła się. Kilka dni z życia związanych z nią ludzi było treścią tej opowieści. Ich dalsze losy to już zupełnie inna historia. Ta była o zwykłych ludziach zaplątanych w niezwykle wydarzenia. Lawina opadła, w powietrzu jeszcze unosi się kurz...

Czas nieubłaganie mijał. Wciąż nowe wydarzenia odsuwały w kąt to, co już było, zasnuwając wciąż gęstszą mgłą niepamięci. Nie pozwalały zapomnieć wciąż pęczniejące tomy akt, wezwania na przesłuchania, wytyki w śledztwach i sny każące budzić się z krzykiem. Czaja po miesięcznym pobycie w areszcie został zwolniony. Według oficjalnego komunikatu wydanego przez prokuraturę nie było przesłanek do trzymania go w areszcie: nie zachodziła obawa matactwa, gdyż oskarżony przyznał się do winy i złożył obszernie wyjaśnienia. Od momentu wyjścia Czai na wolność słuch po nim zaginął. Widziano go, jak wsiadał do oczekującego pod bramą aresztu mercedesa z ciemnymi szybami.

Dwa tygodnie później prokuratura zawiesiła na czas nieokreślony śledztwo przeciwko panu Horko, argumentując to niesta-wianiem się świadka na przesłuchania. Pan Horko nie został ani razu wezwany do złożenia wyjaśnień. Prokurator dopatrzył się za to w zeznaniach Rafała i Karola sprzeczności. Usiłował dociec, jak to się stało, że ranny w brzuch Mariusz Szaramczyk zdołał chwycić leżący w oddaleniu pistolet. Według zeznań złożonych przez Rafała Wolejskiego, zanim zostawił on rannego Szaram-czyka z Karolem, ten odsunął od niego pistolet na znaczną odległość. Prokurator nie brał tutaj pod uwagę takich słów używanych przez Rafała, jak „chyba”, „wydaje mi się”, „nie pamiętam,

164

165

byłem zdenerwowany". Zeznanie Wolejskiego było jedynym dowodem w sprawie domniemanego zabójstwa Mariusza Szaram-czyka. Ale najwyraźniej nie przeszkadzało to nikomu.

Karol cały czas przebywał na zwolnieniu lekarskim, jednocześnie złożył podanie o przeniesienie na wcześniejszą emeryturę. Zmienił się. Schudł, zamknął się w sobie, nie chciał z nikim rozmawiać. Z kolegami z plutonu spotkał się raz, na pogrzebie Andrzeja. Gdy odczytano rozkaz Komendanta Głównego nadający Andrzejowi pośmiertnie stopień starszego posterunkowego, zaczął się w kułak śmiać. Rechotał przez całe kazanie.

Chińczyk tego samego dnia, gdy żona wyprowadziła się od niego z dziećmi, wdał się po pijanemu w bójkę z jakimiś nieznajomymi w barze. Po zatrzymaniu okazało się, że ma przy sobie broń służbową. Został zwolniony dyscyplinarnie z pracy.

Warecki cały czas pozostawał na zwolnieniu lekarskim po tym, jak prokuratura postawiła mu zarzut o przekroczenie uprawnień, narażenie zdrowia i życia osób postronnych.

Rafał Wolejski po trzech latach służby w patrolowce, wielokrotnie wyróżniany przeniósł się do wydziału Kryminalnego Komendy Stołecznej, a stamtąd w 2004 r. do Centralnego Biura Śledczego, gdzie pracuje do dzisiaj. Podobno działa jako „przy-krywkowiec”, wnikając pod przybraną tożsamością w struktury przestępcze.

Bokser zginął dwa lata później zastrzelony w restauracji przy stoliku. Pan Horko został zatrzymany i oskarżony w 2005 r. o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, zlecenie zabójstw, wymuszanie haraczy. Było to możliwe dzięki zeznaniom świadków koronnych, dawnych członków organizacji pana Horko. Ale to już zupełnie inna historia...

Warszawa, czerwiec 2005 - kwiecień 2006 r.

POCHURO

